

„Powieść pozwoliła mi się przenieść do czasów rewolucji hippisowskiej i poznać człowieka, który stał się ucieleśnieniem czystego zła. Świeża, intrygująca proza” – MAGDALENA CIELECKA

**Emma
Cline**

Najbardziej
oczekiwana
książka
2016 roku!

DZIEWCZYNY



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Emma Cline
DZIEWCZYNY

Z języka angielskiego przełożyła
Alina Siewior-Kuś



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:

THE GIRLS

Copyright © 2016 by Emma Cline

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Iwona Wyrwisz, Joanna Rodkiewicz, Marta Chmarzyńska

ISBN: 978-83-7999-796-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i może wiązać się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Podziękowania

Część pierwsza

1969

1

2

3

4

5

Część druga

1969

6

7

8

9

10

Część trzecia

1969

11

12

13

14

15

Część czwarta

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym podziękować Kate Medinie i Billowi Cleggowi za bezcenne wskazówki. Wyrazy wdzięczności kieruję też do Anny Pitoniak, Derrilla Hagooda, Petera Mendelsunda, Freda i Nancy Cline oraz do moich braci i sióstr: Ramseya, Hilary, Megan, Elsie, Mayme i Henry'ego.

Dziewczyny to dzieło fikcyjne. Imiona, postaci, miejsca i zdarzenia są produktem wyobraźni autorki albo zostały wykorzystane w sposób fikcyjny. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych wypadków, miejsc albo osób żyjących lub zmarłych jest całkowicie przypadkowe.

Śmiech zwrócił moją uwagę, dziewczęta przykuły wzrok.

Najpierw dostrzegłam ich włosy, długie i splątane. Potem biżuterię łapiącą promienie słońca. Były na tyle daleko, że widziałam jedynie kontury twarzy, ale to nie miało znaczenia – wszystkie trzy różniły się od ludzi w parku. Rodzin kręcących się w luźnej kolejce do kielbasek i burgerów z otwartego grilla. Kobiet w kraciastych bluzkach klejących się do swoich chłopaków, dzieci rzucających zdrewniałymi owocami eukaliptusów w zdziczałe kury biegające po parku. Te długowłose dziewczyny zdawały się płynąć ponad wszystkim, co wokół nich się działo, tragiczne i odizolowane. Jak rodzina królewska na wygnaniu.

Gapiałam się na nie bezwstydnie i otwarcie: wydawało się nieprawdopodobne, że się obejrzą i mnie zauważą. Na moich kolanach leżał zapomniany burger, wiatr przywiewał rybi odór z rzeki. Byłam w wieku, kiedy uważnie oceniałam inne dziewczęta, prowadząc nieustanny bilans własnych braków, i od razu stwierdziłam, że najładniejsza jest czarnowłosa. Spodziewałam się tego, zanim jeszcze zdołałam zobaczyć ich rysy. Emanowała aurą niezwykłości, brudna sukienka ledwo zakrywała jej pupę. Jej dwie towarzyszki, chuda rudowłosa i druga, wyraźnie starsza, ubrały się z tą samą nieprzemyślaną niedbałością. Jakby je wywleczono z jeziora. Tanie pierścionki były niczym drugi komplet kłykci. Dziewczyny igrały z niepewną granicą, na której uroda i brzydota istniały równocześnie, i w parku podążała za nimi fala czujności. Matki rozglądały się za dziećmi, poruszone uczuciem, którego nie potrafiły nazwać. Kobiety sięgały po dłonie partnerów. Słońce jak zawsze przedzierało się przez drzewa – leniwe wierzby, porywy gorącego wiatru nad kocami piknikowymi, ale swojskość dnia została zmacona szlakiem, który dziewczęta wytyczyły w normalnym świecie. Smukłe i bezmyślne jak rekiny przecinające wodę.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Zaczyna się od forda stojącego na jałowym biegu na wąskim podejździe, od słodkiego brzęczenia wiciokrzewów gęstniejącego w sierpniowym powietrzu. Od dziewcząt na tylnym siedzeniu trzymających się za ręce, szyb w samochodzie opuszczonych, by wpuścić do środka noc. Radia grającego do chwili, gdy wyłączą je nagle poirytowany kierowca.

Wspinają się na bramę, nadal ozdobioną bożonarodzeniowymi światełkami. Najpierw trafiają na otępiałą ciszę domu dozorczy, który ucina sobie wieczorną drzemkę na sofie – bose stopy leżą równo obok siebie jak bochenki. W łazience jego dziewczyna zmywa mgliste półksiężycy cieni z powiek.

A potem główny dom, gdzie na ich widok kobieta czytająca w gościnnym pokoju wzdryga się ze strachu. Drżąca woda w szklance na nocnym stoliku, wilgotna bawełna bielizny. Pięcioletni synek przy boku kobiety mamrocze tajemnicze nonsensy, walcząc ze snem.

Zaganiają wszystkich do salonu. Chwila, w której przerażeni ludzie rozumieją, że słodka codzienność życia – poranny łyk soku pomarańczowego, przechylenie ciała przy braniu zakrętu na rowerze – już minęła. Ich twarze zmieniają się jak otwierana żaluzja; mechanizm jest za oczami.

Tak często wyobrażałam sobie tę noc. Mroczna górską drogą, pozbawione słońca morze. Kobieta powalona na spowitym nocą trawniku. Chociaż przez lata szczegóły zbladły, obrosły drugą, trzecią skórą, kiedy koło północy usłyszałam szcęk otwieranego zamka, to była moja pierwsza myśl.

Obcy przed drzwiami.

Czekałam, aż odgłos ujawni swoje źródło. Dzieciak sąsiadów z rozmachem stawiający na chodniku kosz ze śmieciami. Jeleń przedzierający się przez zarośla. Może tylko tym jest, mówiłam w duchu, ten odległy grzechot w drugiej części domu, i próbowałam sobie wyobrazić, jak nieszkodliwie będzie znowu wyglądała przestrzeń w świetle dziennym, jaka będzie spokojna, poza zasięgiem niebezpieczeństwa.

Ale hałas nie ustawał, wyraźnie się urealniał. Teraz w drugim pokoju rozległ się śmiech. Głosy. Sprężone *szuu* lodówki. Szukałam wyjaśnień, ciągle jednak do głowy wpadała mi najgorsza myśl. Po wszystkim tak to się skończy. Uwięziona w cudzym domu, pomiędzy faktami i nawykami cudzego życia. Moje gołe, poznaczone żyłakami nogi – jaka słaba się wydam, kiedy po mnie przyjdą, kobieta w średnim wieku czołgająca się w kąt.

Leżałam na łóżku, płytko oddychałam i wpatrywałam się w zamknięte drzwi. Czekałam na intruzów, na koszmary z mojej wyobraźni przyjmujące ludzką postać i wypełniające pokój – nie będzie aktów heroicznym, to rozumiałam. Tylko tępe przerażenie, ból fizyczny, który trzeba przecierpieć do końca. Nie będę próbowała uciekać.

Wstałam z łóżka dopiero wtedy, gdy usłyszałam dziewczynę. Głos miała

wysoki i niegroźny. Chociaż to nie powinno uspokajać – Suzanne i pozostałe też były dziewczynami i nikomu to nie pomogło.

Mieszkałam w pożyczonym domu. Za oknem gęste gałęzie nadmorskich cyprysów, powiew słonego powietrza. Objadałam się jak w dzieciństwie: sterta spaghetti, na niej ser jak mech. W gardle nijaki smak wody gazowanej. Co tydzień podlewałam rośliny Dana, każdą donicę transportowałam do wanny i lałam wodę, aż ziemia bulgotała od wilgoci. Nieraz brałam prysznic z dywanem zeschniętych liści na dnie.

Spadek, który był resztkami po filmach mojej babki – wiele godzin jej jastrzębiego uśmiechu na taśmie, starannie uczesanych loków – wydałam dziesięć lat temu. Miałam skłonność do wciskania się w pustą przestrzeń w życiu innych ludzi, pracowałam jako opiekunka z mieszkaniem. Kultywowałam dystygowaną niewidzialność w bepcłciowych ubraniach, z rysami rozmazanymi przyjemnym, niejednoznacznym wyrazem twarzy trawnikowej ozdoby. Ten element przyjemny był ważny, magiczna sztuczka niewidzialności działała tylko wtedy, gdy stanowiła część właściwego porządku rzeczy. Jakby to było coś, czego ja także pragnęłam. Moi podopieczni się zmieniali. Dziecko ze specjalnymi potrzebami, bojące się kontaktów elektrycznych i świateł ulicznych. Starsza kobieta, która oglądała talk-show, kiedy ja odliczałam cały spodek tabletek, jasnoróżowych kapsułek jak delikatne cukierki.

Kiedy ostatnia praca się skończyła, a nowa nie pojawiła, Dan w troskliwym odruchu starego przyjaciela zaoferował mi swój letni dom, jakbym wyświadczała mu przysługę. Świetliki wypełniały pokoje mglistym półmrokiem akwarium, stolarka puchła i pokrywała się plamami od wilgoci. Jakby dom oddychał.

Plaża nie cieszyła się popularnością. Za zimno, nie było ostryg. Wzdłuż jedynej drogi w miasteczku, na rozległych działkach, stały przyczepy – wiatraczki furkotały na wietrze, na gankach leżały pobielające koła i kamizelki ratunkowe, ornamenty ludzi skromnych. Czasami wypalałam trochę puszystej i ostrej marihuany z zapasów mojego dawnego gospodarza, potem szłam do sklepu w miasteczku. To zadanie, jasno zdefiniowane jak umycie naczyń, umiałam wykonać. Naczynie było brudne albo czyste, z radością witałam takie zero-jedynkowe wybory – to, jak na nich opierał się dzień.

Rzadko widywałam kogoś za oknem. Wyglądało na to, że nieliczni nastolatki z miasteczka zabijają się w makabrycznie wiejskie sposoby – słyszałam pick-upy zderzające się o drugiej w nocy, nocleg w przyczepie kończył się zatruciem tlenkiem węgla, martwym rozgrywającym. Nie wiedziałam, czy to problem zrodzony z wiejskiego życia, z nadmiaru czasu, nudy i pojazdów rekreacyjnych, czy może rys typowy dla Kalifornii, coś w świetle popychało do ryzyka i głupich filmowych wyczynów.

Ani razu nie byłam nad oceanem. Kelnerka w kawiarni powiedziała mi, że to

wylęgarnia żarłaczy.

Podnieśli głowy w jasnym świetle kuchennych lamp jak szopy, które wpadły do kontenera na śmieci. Dziewczyna pisnęła. Chłopak stał prosto, na całą wysokość swojego szczupłego ciała. Tylko ich dwoje. Serce waliło mi mocno, ale byli tacy młodzi – uznałam, że to miejscowi, którzy włamują się do letnich domów. Jednak nie umrę.

– Co jest, kurwa? – Chłopak odstawił butelkę z piwem, dziewczyna przylgnęła do jego boku. On wyglądał na mniej więcej dwadzieścia lat, miał szorty bojówki, białe skarpety, różowe pryszcze pod zasłoną brody. Ale dziewczyna była młodziutka. Piętnasto-, szesnastoletnia, z posiniałymi bladymi nogami.

Próbowałam zebrać cały swój autorytet, przyciskając rąbek T-shirtu do ud. Kiedy powiedziałam, że zadzwonię na policję, chłopak parsknął.

– Proszę bardzo. – Mocniej przytulił dziewczynę. – Dzwon po gliny. Wiesz co? – Wyjął swoją komórkę. – Pierdolić to, sam zadzwonię.

Tafla strachu, którą nosiłam w piersiach, nagle się rozpuściła.

– Julian?

Chciało mi się śmiać – kiedy ostatni raz go widziałam, miał trzynaście lat, był kościsty i nieuformowany. Jedyne syn Dana i Allison. Strasznie się nad nim trzęśli, wozili go na konkursy wiolonczelowe po całym zachodzie Stanów Zjednoczonych. Nauczyciel mandaryńskiego w czwartki, ciemny chleb i witaminy w żelkach, rodzicielskie zapory przed porażką. Wszystko to spaliło na panewce i Julian skończył na Kalifornijskim Uniwersytecie Stanowym w Long Beach albo w Irvine. Pamiętałam, że były jakieś problemy. Relegowanie, a może łagodniejsza wersja, sugestia powrotu na rok do dwuletniego college'u. Julian był nieśmiałym, drażliwym dzieckiem, kulącym się ze strachu na widok radia w samochodzie, nieznanymi potraw. Teraz stał się wyrazisty, spod koszuli wypełzały tatuaże. Nie pamiętał mnie, bo i dlaczego? Byłam kobietą poza zasięgiem jego zainteresowań erotycznych.

– Zatrzymałam się tu na kilka tygodni – powiedziałam, świadoma swoich obnażonych nóg i zakłopotana melodramatyzmem, wzmianką o policji. – Jestem przyjaciółką twojego taty.

Widziałam, jak z wysiłkiem próbuje mnie umiejscowić, przypisać mi znaczenie.

– Evie – dodałam.

Nadal nic.

– Mieszkałam w tamtym mieszkaniu w Berkeley? Koło domu twojego nauczyciela gry na wiolonczeli? – Dan i Julian czasami odwiedzali mnie po lekcji. Julian łączywie pił mleko i znaczył nogi stołu automatycznymi kopniakami.

– O cholera – odparł. – Taa.

Nie umiałam stwierdzić, czy rzeczywiście sobie mnie przypomniał, czy po

prostu przywołałam wystarczająco dużo uspokajających szczegółów.

Dziewczyna odwróciła się do Juliana, twarz miała pustą jak łyżka.

– W porządku, skarbie. – Pocałował ją w czoło. Nieoczekiwany przejaw łagodności.

Uśmiechnął się do mnie i uświadomiłam sobie, że jest pijany, a może tylko naćpany. Rysy miał rozmazane, na czole niezdrową wilgoć, ale jego wychowanie z wyższych klas zadziało automatycznie.

– To jest Sasha – powiedział, szturchając dziewczynę.

– Cześć – pisnęła zakłopotana. Zapomniałam o tym otumanionym rysie nastoletnich dziewczyn: pragnienie miłości płonęło w jej twarzy tak jasno, że wprawiało mnie to w zażenowanie.

– Sasho – ciągnął Julian – to jest...

Z wysiłkiem próbował skupić na mnie wzrok.

– Evie – przypomniałam mu.

– Właśnie. Evie. O rany.

Napił się piwa, bursztynowa butelka rzuciła refleksy. Patrzył poza mną. Wodził wzrokiem po meblach, po zawartości półek z książkami, jakby dom należał do mnie, a on był tu obcy.

– Boże, musiałaś pomyśleć, że się włamujemy albo coś w tym rodzaju.

– Myślałam, że to miejscowi.

– Kiedyś się tu włamano – powiedział Julian. – Jak byłem mały. Nie było nas w domu. Ukradli tylko nasze mokre kostiumy i uchowce z lodówki. – Znowu się napił.

Sasha nie odrywała oczu od Juliana. Była w obciętych spodniach, całkiem nieodpowiednich na zimne wybrzeże, i w za dużej bluzie, którą musiał dać jej Julian, z pogryzionymi i wilgotnymi mankietami. Miała okropny makijaż, ale przypuszczam, że stanowił bardziej symbol. Widziałam, że się denerwuje, kiedy na nią patrzę. Rozumiałam jej niepokój. Kiedy byłam w tym wieku, nie wiedziałam, jak się poruszać, nie miałam pewności, czy nie chodzę za szybko, czy inni widzą mój dyskomfort i sztywność. Jakby każdy nieustannie oceniał moje zachowanie i odkrywał w nim braki. Przyszło mi do głowy, że Sasha jest bardzo młoda. Za młoda, żeby być tu z Julianem. Sprawiała wrażenie, jakby wiedziała, o czym myślę, i patrzyła na mnie zaskakująco buntowniczo.

– Przykro mi, że tata cię nie uprzedził, że tu jestem – powiedziałam. – Mogę spać w drugim pokoju, jeśli wolicie większe łóżko. A jeśli chcecie być sami, coś wykombinuję...

– Nie – odparł Julian. – Sasha i ja możemy spać gdziekolwiek, prawda, skarbie? I tylko robimy postój. W drodze na północ. Po trawkę. Przynajmniej raz w miesiącu jeżdżę z LA do Humboldt.

Julian myślał, że mi tym zaimponuje, widziałam to wyraźnie.

– Nie sprzedaję ani nic takiego – ciągnął, spuszczać z tonu. – Tylko przewożę. Właściwie nie potrzeba nic poza kilkoma wodoodpornymi torbami i skanerem częstotliwości policyjnych.

Sasha wyraźnie się martwiła. Wpakuję ich w kłopoty?

– Powtórz, skąd znasz mojego tatę? – zapytał Julian. Opróżnił jedną butelkę, otworzył następną. Przynieśli kilka sześciopaków. Inne zapasy w zasięgu wzroku: żwir mieszanki orzechowej, nieotwarte opakowanie kwaśnych żelków, zatęchła, zwinięta w kulkę torba z fast foodu.

– Poznaliśmy się w LA – odparłam. – Przez pewien czas mieszkaliśmy razem.

Pod koniec lat siedemdziesiątych Dan i ja dzieliliśmy mieszkanie w Venice Beach, Venice z zaułkami z Trzeciego Świata, palmami uderzającymi w okna w powiewach ciepłego nocnego wiatru. Żyłam z filmowych pieniędzy babki i uczyłam się w szkole pielęgniarskiej. Dan próbował zostać aktorem. Z aktorstwa nic nie wyszło, za to ożenił się z kobietą, która miała rodzinne pieniądze, i założył przedsiębiorstwo produkujące wegetariańskie mrożonki. Teraz był właścicielem domu sprzed trzęsienia ziemi w Pacific Heights.

– Zaraz, jego przyjaciółka z Venice? – Julian nagle jakby trochę oprzytomniał. – Powtórz, jak się nazywasz?

– Evie Boyd. – Zaskoczył mnie wyraz jego twarzy: rozpoznanie, po części, ale też prawdziwe zainteresowanie.

– Czekaj – powiedział. Cofnął rękę, którą obejmował swoją dziewczynę, a jego nieobecność jakby wyssała z niej siłę. – Ty jesteś tą kobietą?

Może Dan mu opowiedział, jak przytrafiły mi się złe rzeczy. Ta myśl wprawiła mnie w zakłopotanie i odruchowo dotknęłam twarzy. Stary wstydlawy nawyk z okresu dojrzewania, jakbym zakrywała pryszcz. Dłoń niby przypadkiem na brodzie, palce bawiące się ustami. Jakby to nie zwracało uwagi, nie pogarszało sprawy.

Teraz Julian był podekscytowany.

– Była w tej sekcje – zwrócił się do dziewczyny. – Prawda? – Znowu spojrzał na mnie.

W moim żołądku rozlała się fala strachu. Julian wpatrywał się we mnie, niecierpliwie i wyczekująco. Oddychał głośno, urywanie.

Tamtego lata miałam czternaście lat. Suzanne skończyła dziewiętnaście. Czasami grupa paliła kadzidełka, robiłyśmy się po nich senne i uległe. Suzanne czytała na głos coś ze starego „Playboya”. Obsceniczne i świetliste polaroidy, które chowałyśmy i którymi wymienialiśmy się jak kartami z baseballistami.

Wiedziałam, z jaką łatwością to może nastąpić – przeszłość pod ręką jak bezradne przesunięcie poznawcze iluzji optycznej. Ton dnia łączył się z jakimś konkretnym przedmiotem: szyfonowym szalem mojej matki, wilgotnością

pokrojonej dyni. Określonymi wzorami cieni. Nawet błysk słońca na masce białego samochodu potrafił wywołać we mnie chwilową falę, umożliwiającą powstanie wąskiej przestrzeni powrotu. Widziałam stare szminki Yardleya – teraz kosmetyk był tylko woskową grudą – sprzedawane w Internecie za prawie sto dolarów. Dorosłe kobiety znowu mogły je więc powąchać, poczuć ten chemiczny, kwietny zaduch. Ludzie tak strasznie pragnęli potwierdzenia, że ich życie rzeczywiście się zdarzyło, że osoba, którą kiedyś byli, nadal w ich wnętrzu istnieje.

Było tak wiele rzeczy, które mnie zavrażały. Posmak soi, dym w czyichś włosach, trawiaste wzgórza w czerwcu przybierające piaskową barwę. Układ dębów i głazów widziany kąciakiem oka mógł coś otworzyć w mojej piersi, sprawić, że dłonie nieoczekiwanie robiły się śliskie od adrenaliny.

Oczekiwałam od Juliana wstrętu, może nawet strachu. To była logiczna reakcja. Ale zbiło mnie z tropu jego spojrzenie. Przyglądał mi się z czymś w rodzaju podziwu.

Ojciec musiał mu powiedzieć. O lecie walącego się domu, spalonych słońcem kilkulatków. Kiedy po raz pierwszy próbowałam o tym opowiedzieć Danowi, w wieczór częściowego zaciemnienia w Venice, które przywołało świece, apokaliptyczną intymność, on wybuchnął śmiechem. Mój ściszony głos błędnie odczytał jako wesołość. Nawet gdy już go przekonałam, że mówię prawdę, wspominał o ranczu tym samym kpiącym tonem. Jak w horrorze z fatalnymi efektami specjalnymi, gdzie ramię mikrofonu wpada w kadr i rzeźnię zabarwia komedią. Ulgą było przesadne przedstawienie dystansu, uporządkowanie mojego zaangażowania, zamienienie go w starannie zapakowaną anegdotę.

Pomagało, że w większości książek o mnie nie wspomniano. Ani w wydaniach z miękkimi oprawami, tytułami ociekającymi krwią i błyszczącymi fotografiami z miejsca zbrodni. Ani w mniej popularnym, acz bliższym prawdy tomie napisanym przez prowadzącego sprawę prokuratora, pełnym obrzydliwych szczegółów, łącznie z niestrawionym spaghetti, które znaleziono w żołądku chłopczyka. Kilka wersów o mnie było pogrzebanych w książce byłego poety, której nakład się wyczerpał, ale on pomylił moje nazwisko i nie połączył mnie z moją babką. Ten sam poeta twierdził, że CIA produkowało filmy porno z naćpaną Marilyn Monroe w roli głównej i sprzedawało je politykom oraz głowom państw.

– To było dawno temu – powiedziałam do Sashy, ale jej twarz pozostała pusta.

– Nieważne – odparł Julian, jaśniejac. – Zawsze myślałem, że to było piękne. Chore, a mimo to piękne – powiedział. – Ekspresja. Popierdolona, ale ekspresja. Rozumiesz? Impuls artystyczny. Musisz zniszczyć, żeby stworzyć, całe to hinduistyczne gównno.

Widziałam wyraźnie, że mój pełen niedowierzania szok odczytuje jako aprobatę.

– Boże, nawet sobie nie potrafię tego wyobrazić – powiedział Julian. – Znaleźć się w środku czegoś takiego.

Czekał na moją reakcję. Zamroczył mnie podstępny atak kuchennych lamp: nie zauważyli, że tu jest za jasno? Zastanawiałam się, czy ta dziewczyna w ogóle jest ładna. Jej zęby miały żółtawy odcień.

Julian szturchnął ją łokciem.

– Sasha nie ma nawet pojęcia, o czym rozmawiamy.

Niemal wszyscy znali co najmniej jeden z upiornych detali. W Halloween studenci college'ów przebierali się czasem za Russella, dłonie chlapali keczupem zwędzonym ze stołówki. Zespół blackmetalowy wykorzystał na okładce albumu serce, to samo poszarpane serce, które Suzanne zostawiła na ścianie Mitcha. Namalowane krwią kobiety. Ale Sasha była taka młoda – dlaczego miałyby o tym słyszeć? Dlaczego miałyby ją to obchodzić? Tkwiła pogrążona w tym głębokim przekonaniu, że nie istnieje nic poza jej własnym doświadczeniem. Jakby sprawy mogły się toczyć tylko jednym torem, lata prowadziły nas korytarzem do pokoju, gdzie czekało nasze nieuchronne ja – embrioniczne, gotowe na ujawnienie. Jakże smutne jest uświadomienie sobie, że czasami nigdy tam nie docieramy. Że czasami przeżywamy całe życie, ślizgając się po powierzchni, a lata pozbawione szczęścia przemijają.

Julian pogłaskał Saszę po włosach.

– To była kurewsko wielka sprawa. Hippisi zabijający tych ludzi w Marin.

Widziałam znajomy żar w jego twarzy. Ten sam ferwor co u osób zaludniających fora internetowe, które nigdy nie zwalniają ani nie nikną. Szarpali się o prawa własności, przyjmowali ten sam wszechwiedzący ton, polor naukowy maskujący fundamentalną groźbę przedsięwzięcia. Czego szukali pomiędzy masą banalnych informacji? Jakby znaczenie miała pogoda tamtego dnia. Wszystkie te strzępy wydawały się ważne, kiedy dostatecznie długo je analizowano: stacja, na którą było nastawione radio w kuchni Mitcha, liczba i głębokość ran zadanych nożem. To, jak cienie mogły migotać na tym konkretnym samochodzie jadącym tą konkretną drogą.

– Byłam z nimi przez kilka miesięcy – powiedziałam. – W sumie nic wielkiego.

Julian wyglądał na rozczarowanego. Wyobraziłam sobie kobietę, którą widział, kiedy na mnie patrzył: rozczochrane włosy, wyrażające troskę zmarszczki wokół oczu.

– Ale owszem – powiedziałam – spędziłam tam dużo czasu.

Ta odpowiedź zdecydowanie przywróciła mnie w zasięg jego zainteresowania.

Pozwoliłam, żeby tamta chwila minęła.

Nie powiedziałam mu, że żałowałam, że poznałam Suzanne. Że żałowałam,

że nie zostałam w swojej bezpiecznej sypialni na suchych wzgórzach koło Petalumy z półkami zapakowanymi ciasno złotymi grzbietami moich ulubionych książek z dzieciństwa. I rzeczywiście żałowałam. Ale w niektóre noce, kiedy nie mogłam spać, nad zlewem wolno obierałam jabłko, pozwalając, by skórka wydłużała się pod błyskiem noża. Dom mroczniał wokół mnie. Czasami to nie był żal. Czasami przypominało to tęsknotę.

Julian zagonił Sashę do drugiej sypialni jak dobroduszny nastoletni pasterz. Zanim życzył mi dobrej nocy, zapytał, czy czegoś potrzebuję. Zdumiał mnie – przypominał mi chłopców w szkole, którzy na prochach stawiali się uprzejmiejsi i wysoko funkcjonujący. Na haju posłusznie zmywali naczynia po rodzinnym obiedzie, zafascynowani psychodeliczną magią piany.

– Dobrej nocy – powiedział Julian i skłonił się lekko jak gejsza, po czym zamknął drzwi.

Pościel na moim łóżku była skłębiona, w pokoju wciąż utrzymywał się odór strachu. Jaka byłam głupia. Tak się przestraszyć. Ale niepokoiła mnie nawet niespodziewana obecność nieszkodliwych innych w domu. Nie chciałam, choćby przypadkowo, ujawnić swojej wewnętrznej zgnilizny. Pod tym względem mieszkanie w pojedynkę było przerażające. Nikogo, kto pilnowałby naszych odruchów, sposobów, w jakie zdradzamy prymitywne żądze. Jakby otaczał nas kokon zbudowany z naszych nagich skłonności i nigdy nieprzycięty do wzorów prawdziwego ludzkiego życia.

Nadal byłam czujna, musiałam dołożyć starań, żeby się odprężyć, wyrównać oddech. Dom jest bezpieczny, mówiłam sobie, nic mi nie grozi. Nagle wydało się to idiotycznym bełkotliwym spotkaniem. Przez cienką ścianę słyszałam, jak Sasha i Julian przygotowują się do snu. Skrzypnięcie podłogi, otwarcie drzwi szafy. Przypuszczalnie kładli pościel na goły materac, strzepując nagromadzony przez lata kurz. Wyobraziłam sobie Sashę patrzącą na rodzinne fotografie na półce: Julian jako kilkulatek z ogromnym czerwonym telefonem, Julian jedenasto-, może dwunastoletni na łodzi, z której obserwowali wieloryby, jego twarz wysmagana solą i zadziwiona. Pewnie nakładała całą tę niewinność i słodycz na niemal dorosłego mężczyznę, który ściągnął szorty i poklepał łóżko, dając znak, żeby do niego dołączyła. Zamazane linie amatorskich tatuaży biegnące po jego ramionach.

Usłyszałam jęk materaca.

Nie zaskoczyło mnie, że się pieprzą. Ale później rozległ się głos Sashy, jęki jak w filmie porno. Wysokie i urywane. Nie wiedzieli, że jestem w sąsiednim pokoju? Odwróciłam się plecami do ściany i zamknęłam oczy.

Julian mruzczał.

– Jesteś cipą? – zapytał.

Wezgłowie uderzało w ścianę.

– Jesteś?

Później uznałam, że Julian musiał wiedzieć, że wszystko usłyszę.

1969

Był koniec lat sześćdziesiątych, czy raczej wakacje przed końcem, i to, co wydawało się wiecznym, bezkształtnym latem. W Haight roilo się od ubranych na biało członków sekty Process rozdających broszury barwy owsianki, jaśminy przy drogach kwitły szczególnie oszałamiająco i bogato. Wszyscy byli zdrowi, opaleni i obciążeni ozdobami, a jeśli nie, to także coś znaczyło – mogłeś być stworzeniem księżycowym, z szyfonem narzuconym na abażury lamp, na diecie oczyszczającej *kitchari*, która płamiła wszystkie naczynia kurkumą.

To wszystko jednak działo się gdzie indziej, nie w Petalumie z niskimi wiejskimi domami, z krytym wozem stale parkującym przed restauracją Hi-Ho, ze spieczonymi słońcem przejściami dla pieszych. Miałam czternaście lat, ale wyglądałam na o wiele młodszą. Ludzie lubili mi to powtarzać. Connie się zarzekała, że mogłabym uchodzić za szesnastolatkę, tylko że my opowiadałyśmy sobie mnóstwo kłamstw. Przyjaźniłyśmy się przez całe gimnazjum, Connie czekała na mnie przed klasami cierpliwie jak krowa, całą naszą energię pochłaniał teatr przyjaźni. Była pulchna, ale nie ubierała się odpowiednio, nosiła krótkie bawełniane bluzki z meksykańskim haftem, zbyt obcisłe spódnice zostawiające gniewne wgłębienia w górnej części ud. Zawsze lubiłam ją w sposób, nad którym nie musiałam się zastanawiać, jak nad faktem, że mam ręce.

We wrześniu miałam wyjechać do tej samej szkoły z internatem, w której uczyła się moja matka. Kampus zbudowany dokoła starego klasztoru w Monterey był doskonale utrzymany, gładkie trawniki schodziły w dół zbocza. Strzępy mgły rano, krótkie uderzenia bliskiej słonej wody. To szkoła dla dziewcząt, będę musiała nosić mundurek, buty na płaskich obcasach, bluzki z marynarskim kołnierzem i granatowym krawatem, ani śladu makijażu. Właściwie było to zamknięcie otoczone kamiennym murem i zaludnione przez nijakie córki o twarzach jak księżyc. Członkinie organizacji Camp Fire i Future Teachers przysłane tutaj na naukę stu sześćdziesięciu słów na minutę, stenografii. I by składać gorące obietnice, że będą wzajemnie dla siebie druhami na ślubach w ośrodku Royal Hawaiian.

Zbliżający się wyjazd wymusił nowy krytyczny dystans do mojej przyjaźni z Connie. Niemal wbrew sobie zaczęłam dostrzegać pewne rzeczy. Jak Connie mówiła: „Najlepszym sposobem zdobycia nad kimś przewagi jest położenie się pod kimś innym”, jakbyśmy były sprzedawczyniami w Londynie, a nie niedoświadczonymi nastolatkami w wiejskim pasie hrabstwa Sonoma. Lizwałyśmy baterie, żeby poczuć metaliczny wstrząs na języku, który jak głośny plotki, odpowiadał jednej osiemnastej orgazmu. Bolało mnie, kiedy sobie wyobrażałam, jak naszą dwójkę odbierają inni, klasyfikują jako rodzaj dziewczyn, które do siebie należą. Te bezpłciowe układy w gimnazjach.

Codziennie po szkole gładko wpadałyśmy w znajomą rutynę popołudnia. Marnowałyśmy godziny na pracowite zajęcia: zgodnie z radami Vidala Sassona przyrządzałyśmy koktajle z surowych jajek na wzmocnienie włosów albo nakłuwałyśmy wągry czubkiem wysterylizowanej igły. Wieczne przedsięwzięcie naszych dziewczęcych wcieleń najwyraźniej wymagało dziwnej i stałej troski.

Jako dorosła dziwię się samej objętości marnowanego czasu. Uczty i plagi głodu, których uczono nas oczekiwać od świata, odliczanie w czasopiśmie ponaglające nas do podjęcia przygotowań na trzydzieści dni przed rozpoczęciem szkoły.

Dzień 28.: nałóż na twarz maseczkę z awokado i miodu.

Dzień 14.: przetestuj makijaż w różnych oświetleniach (naturalne, biurowe, zmierzch).

W tamtych czasach byłam tak bardzo nastawiona na uwagę. Ubierałam się, żeby prowokować miłość, obniżałam dekolt, w miejscach publicznych przyjmowałam zadumany wyraz twarzy, który sugerował głębokie i obiecujące myśli, na wypadek gdyby ktoś na mnie spojrzał. W dzieciństwie brałam raz udział w dobroczynnym pokazie psów i prowadziłam na smyczy ślicznego owczarka collie z jedwabną bandaną na karku. Jaka byłam podekscytowana, że stanowią część tego usankcjonowanego przedstawienia: podchodziłam do obcych ludzi i pozwalałam, żeby podziwiali mojego psa, uśmiechając się wyrozumiale i nieprzerwanie jak sprzedawczyni, a potem ta pustka, którą czułam, kiedy to się skończyło, kiedy nikt już na mnie nie patrzył.

Czekałam, aż ktoś mi powie, co we mnie jest dobre. Później się zastanawiałam, czy dlatego na ranczu było o wiele więcej kobiet niż mężczyzn. Cały ten czas, który poświęciłam na przygotowanie siebie, te artykuły uczące mnie, że życie to w gruncie rzeczy poczekalnia, dopóki ktoś mnie nie zauważy, chłopcy spędzili na stawaniu się sobą.

Tamtego dnia w parku po raz pierwszy zobaczyłam Suzanne i pozostałe. Pojechałam tam na rowerze, za cel obierając dym snujący się z grilla. Nikt ze mną nie rozmawiał z wyjątkiem człowieka przyciskającego burgery do rusztu przy akompaniamencie znużonego wilgotnego syku. Cienie dębów przesuwają się po moich nagich ramionach, rower przechyłał w trawie. Kiedy starszy chłopak w kowbojskim kapeluszu wpadł na mnie, celowo zwolniłam, żeby znowu się ze mną zderzył. Rodzaj flirtu, który Connie mogłaby uprawiać, wyćwiczony jak manewr wojskowy.

– Co z tobą? – mruknął.

Otworzyłam usta, żeby przeprosić, ale on już odchodził. Jakby wiedział, że nie potrzebuje słuchać tego, co mam do powiedzenia.

Otwierało się przede mną lato – rozrzucone dni, marsz godzin, matka snująca się po domu jak obca. Kilka razy rozmawiałam z ojcem przez telefon. Jemu chyba

też sprawiało to ból. Zadał mi kilka dziwnie oficjalnych pytań, jak daleki wujek, który zna mnie tylko z serii faktów z drugiej ręki: Evie ma czternaście lat, Evie jest niska. Chwile milczenia byłyby lepsze, gdyby zabarwiały je smutek albo żal, ale było gorzej – w jego głosie słyszałam, jaki jest szczęśliwy, że odszedł.

Usiadłam sama na ławce z serwetkami rozłożonymi na kolanach i jadłam hamburgera.

To było moje pierwsze mięso od długiego czasu. Moja matka Jean przestała jeść mięso po czterech miesiącach od rozvodu. Przestała robić wiele rzeczy. Zniknęła matka, która pilnowała, żebym na każdy sezon kupowała nową bieliznę, która rolowała moje białe skarpetki słodko jak jajka. Która szyła moim lalkom piżamki w każdym szczególe, aż do perłowych guzików identyczne z moimi. Była gotowa zajmować się własnym życiem z zapałem uczennicy rozwiązującej trudne zadanie matematyczne. Każdą wolną chwilę przeciągała. Stawała na palcach, ćwicząc łydki. Zapalała kadzidełka sprzedawane w folii aluminiowej, od których łązały mi oczy. Zaczęła pić nową herbatę z jakiejś aromatycznej kory i człapała po domu z kubkiem, roztargnionym gestem dotykając gardła, jakby odzyskiwała siły po długiej chorobie.

Natura dolegliwości była mglista, za to remedium jasno określone. Nowi przyjaciele proponowali masaże. Proponowali komory deprywacji sensorycznej z wodą morską. Proponowali E-metr, Gestalt, jedzenie wyłącznie żywności wysoko zmineralizowanej, którą posadzono w czasie pełni. Nie wierzyłam, że mama skorzysta z ich rad, ale ona słuchała każdej. Tak bardzo pragnęła celu, planu, przekonana, że odpowiedź w każdej chwili nadejdzie z jakiegokolwiek kierunku, jeśli tylko będzie się dostatecznie mocno starała.

Szukała tak długo, aż zostało jej tylko szukanie. Astrolog w Alamedzie, który doprowadził ją do płaczu, mówiąc o złowieszczym cieniu rzucanym przez jej wschodzący znak. Terapie polegające na miotaniu się na oślep po wyłożonym gąbką pokoju pełnym obcych ludzi i wirowaniu, dopóki w coś nie uderzy. Wracła do domu z mglistymi cieniami pod skórą, ogromnymi siniakami. Widziałam, jak dotyka tych siniaków z czymś na kształt czułości. Kiedy podniosła wzrok i zobaczyła, że na nią patrzę, zarumieniła się. Włosy miała świeżo utlenione, cuchnące środkami chemicznymi i sztucznymi różami.

– Podoba ci się? – zapytała, przesuwając palcami po przystrzyżonych końcach.

Potaknęłam, chociaż ten kolor nadał jej skórze wygląd chorej na żółtaczkę.

Ciągle się zmieniała, z dnia na dzień. To były drobiazgi. Kupiła robione ręcznie kolczyki od kobiet z grupy spotkań, wróciła, kołysząc prymitywnymi kawałkami drewna zwisającymi z uszu, na jej przegubach pobrzękiwały emaliowane bransoletki w kolorze poobiednich miętowych czekoladek. Zaczęła obrysowywać oczy kredką trzymaną nad płomieniem zapalniczki. Obracała

końcówką, aż ta zmiękała, i malowała przedłużone kreski, co nadawało jej wygląd senny i egipski.

Wychodząc wieczorem, przystanąła w progu mojego pokoju, ubrana w czerwoną jak pomidor bluzkę odsłaniającą ramiona. Nieustannie ściągała rękawy w dół. Jej ramiona pokrywał brokat.

– Chcesz, żebym tobie też zrobiła oczy, skarbie?

Ale ja nigdzie się nie wybierałam. Kogo obchodziło, czy moje oczy wyglądają na większe albo bardziej niebieskie?

– Może wrócę później. Śpij dobrze. – Matka pochyliła się i pocałowała mnie w czubek głowy. – Dobrze sobie radzimy, prawda? We dwie?

Poklepała mnie, uśmiechając się tak szeroko, że jej twarz zdawała się pękać i ujawniać prawdziwy rozmiar jej potrzeb. Po części czułam się dobrze, a może myliłam zażyłość, znajomy tok spraw, ze szczęściem. Ponieważ to nadal istniało, nawet jeśli brakowało miłości – sieć rodziny, czystość przyzwyczajenia i dom. Spędzamy w domu niepojętą ilość czasu i może to jest najlepsze, co możemy dostać – to uczucie nieskończonego odgroźenia, jak bezskuteczne szukanie końca taśmy. Nie ma szwów, nie ma przerw, tylko kamienie milowe naszego życia, do tego stopnia przez nas wchłonięte, że nawet ich nie zauważamy. Wyszczerbiony talerz w wierzby, mój ulubiony z powodów, o których zapomniałam. Tapeta w holu, znana mi tak dobrze, że inni tego nie rozumieli – wszystkie blaknące zagajniki pastelowych palm, konkretne osobowości, które przypisałam każdemu kwitnącemu hibiskusowi.

Matka przestała wymuszać regularne pory posiłków, zostawiała w zlewku winogrona w durszlaku albo z kursu gotowania makrobiotycznego przynosiła do domu szklane słoje zupy *miso* z koperkiem. Sałatki z wodorostów ociekające doprowadzającym do mdłości olejem bursztynowym.

– Jedz to codziennie na śniadanie – powiedziała – i nigdy więcej nie będziesz miała syfka.

Skrzywiłam się, odrywając palce od pryszcza na czole.

Moja matka i Sal, starsza kobieta z grupy, odbywały wiele późnowieczornych sesji planowania. Sal była wiecznie dostępna dla mamy, przychodziła o najróżniejszych porach, niecierpliwie łaknąc dramatyzmu. Nosiała tuniki z mandaryńskimi kołnierzami, siwe włosy miała tak krótkie, że widać było uszy, co nadawało jej wygląd podstarzałego chłopca. Matka rozmawiała z Sal o akupunkturze, o ruchu energii dokoła meridianów. O wykresach.

– Chcę trochę przestrzeni dla siebie – mówiła matka. – Świat tak wiele ci jej zabiera, prawda?

Sal poprawiła ciężki tyłek na krześle, kiwnęła głową. Posłusznie jak kucyk z założoną uzdą.

Matka i Sal piły drzewiastą herbatę z miseczek – nowa maniera przejęta

przez matkę.

– To po europejsku – powiedziała obronnym tonem, chociaż ja nic nie mówiłam. Kiedy przechodziłam przez kuchnię, obie umilkły, ale matka przekrzywiła głowę.

– Dziecinko – powiedziała, przyzywając mnie gestem. Zmrużyła oczy. – Zrób przedziałek w grzywce z lewej. Będzie ci bardziej do twarzy.

Uczesałam tak włosy, żeby przykryć pryszcz, który od wyciskania pokrył się strupkiem. Posmarowałam go grubą warstwą olejku z witaminą E, ale nie mogłam się powstrzymać od skubania i musiałam przyklejać kawałeczki papieru toaletowego, żeby wsiąkła w niego krew.

Sal się zgodziła.

– Okrągła twarz – oznajmiła zdecydowanie. – Dla niej grzywka może wcale nie jest dobrym pomysłem.

Wyobraziłam sobie, jak by to było, gdybym przewróciła krzesło z Sal, jej spore ciało szybko sprowadziłoby ją na podłogę. Herbata z kory rozlałaby się po linoleum.

Szybko przestały się mną interesować. Matka przywołała do życia swoją znajomą opowieść jak oszołomiony ocalały z wypadku samochodowego. Poruszała ramionami, jakby jeszcze głębiej mościła się w nieszczęściu.

– A najśmieszniejsza część – ciągnęła matka – część, która naprawdę mnie wkurza? – Uśmiechnęła się do swoich dłoni. – Carl zarabia pieniądze – powiedziała. – Na walutach. – Znowu się roześmiała. – Wreszcie. Naprawdę mu się udało. Tylko że to moje pieniądze szły na jej pensję – powiedziała. – Filmowe pieniądze mojej matki. Wydane na tę dziewczynę.

Matka mówiła o Tamar, asystentce, którą ojciec zatrudnił do swojego ostatniego przedsięwzięcia. Miało coś wspólnego z handlem walutami. Kupowanie zagranicznych pieniędzy i handlowanie nimi tam i z powrotem, przesuwanie ich tyle razy, że na końcu, twierdził ojciec, zostaje czysty zysk – kuglarstwo na wielką skalę. Po to właśnie w samochodzie miał kasety z francuskim: próbował załatwić interes dotyczący franków i lirów.

Teraz on i Tamar mieszkali razem w Palo Alto. Spotkałam ją tylko kilka razy: przed rozwodem raz odebrała mnie ze szkoły. Leniwie pomachała ze swojego plymoutha fury. Dwudziestokilkuletnia, szczupła i wesoła, Tamar nieustannie rzucała aluzje do planów na weekend, do marzeń o większym mieszkaniu, jej życie było utkane z wątków, których nie potrafiłam sobie wyobrazić. Włosy miała tak jasne, że niemal siwe, i nosiła je rozpuszczone, co stanowiło kontrast do loków mojej matki. W tamtym wieku, patrząc na kobiety, brutalnie i bez emocji je osądzałam. Oceniałam krzywiznę ich piersi, wyobrażałam sobie, jak by wyglądały w różnych śmiałych pozycjach. Tamar była bardzo ładna. Spięła włosy plastikowym grzebieniem i przekrzywiła głowę, uśmiechając się do mnie znad

kierownicy.

– Chcesz gumę?

Rozpakowałam dwa mętne listki ze sreberek. Czułam przy Tamar coś zbliżonego do miłości, uda zsuwały mi się z winylowego siedzenia. Jedynie dziewczyny potrafią obdarzyć się wzajemnie baczną uwagą, takim jej rodzajem, który zrównujemy z byciem kochaną. Dostrzegają, co chcemy, żeby zostało dostrzeżone. I tak właśnie zachowałam się z Tamar – odpowiedziałam na jej symbole, na styl fryzury i ubrania, na zapach perfum L’Air du Temps, jakby to były ważne dane, znaki odzwierciedlające część jej osobowości. Jej urodę odebrałam osobiście.

Kiedy zajechałyśmy przed dom, żwir zatrzeszczał pod kołami samochodu i zapytała, czy może skorzystać z łazienki.

– Oczywiście – odparłam, czując lekki dreszcz, że mam ją w swoim domu jak wizytującego dygnitarza.

Pokazałam jej ładną łazienkę koło sypialni rodziców. Tamar zerknęła na łóżko i zmarszczyła nos.

– Brzydka kołdra – mruknęła.

Do tamtej chwili to była po prostu kołdra rodziców, nieoczekiwanie jednak poczułam wstyd za moją matkę z powodu kiczowatej kołdry, którą wybrała, i w dodatku była na tyle głupia, żeby się z niej cieszyć.

Siedziałam przy stole w jadalni i nasłuchiwałam stłumionych odgłosów sikającej Tamar, wody płynącej z kurka. Była tam długo. Kiedy w końcu wyszła, coś się zmieniło. Minęła chwila, nim dotarło do mnie, że ma usta pomalowane szminką mojej matki, a kiedy zauważyła, że ja to zauważyłam, było tak, jakbym przerwała film, który oglądała. Z twarzą urzeczoną złymi przeczuciami dotyczącymi cudzego życia.

Moją ulubioną fantazją była terapia snem, o której czytałam w *Dolinie lalek*. Lekarz wywołujący długotrwały sen w sali szpitalnej, jedyne rozwiązanie dla biednej, hałaśliwej Neely otumanionej demerolem. Brzmiało idealnie: moje ciało utrzymywane przy życiu przez spokojne, niezawodne maszyny, umysł spoczywający w wodnistej przestrzeni, tak beztroski jak złota rybka w szklanej misie. Obudziłabym się wiele tygodni później. I chociaż życie wróciłoby na swoje niespełniające oczekiwań miejsce, nadal pozostałby ten nakrochmalony pas nicości.

Szkoła z internatem miała być środkiem naprawczym, bodźcem, którego potrzebowałam. Rodzice, mimo że przebywali w swoich oddzielnych, absorbujących światach, byli ze mnie niezadowoleni, zestresowani moimi średnimi ocenami. Byłam przeciętną dziewczyną, a największe rozczarowanie ze wszystkich stanowił fakt, że nie emanowałam błyskiem wielkości. Nie byłam dość ładna, by dostawać oceny, które otrzymywałam, szalki wagi nie przechylały się dostatecznie

zdecydowanie ani w kierunku urody, ani inteligencji. Czasami opanowywały mnie nabożne impulsy, żeby lepiej sobie radzić, bardziej próbować, ale oczywiście nic się nie zmieniało. Zdawało się, że działają inne tajemnicze siły. Okno koło mojego biurka zostawiono otwarte, marnowałam więc lekcję matematyki na obserwowaniu drżenia liści. Pióro przeciekało i nie mogłam robić notatek. Rzeczy, w których byłam dobra, nie miały prawdziwego zastosowania: adresowanie kopert bąbelkowatymi literkami z uśmiechniętymi stworkami na odwrocie, parzenie mulistej kawy, którą piłam ze śmiertelną powagą, odnajdywanie w radiu piosenki, na której mi zależało, jak medium szukające wiadomości o zmarłych.

Mama powiedziała, że wyglądam jak babcia, ale to wydawało się podejrzane, pobożne życzenie mające na celu wzbudzenie fałszywej nadziei. Znałam historię babci, powtarzano ją jak automatyczną modlitwę. Harriet, córka hodowcy daktyli, wyrwana ze spalonej słońcem nijakości Indio i przeniesiona do Los Angeles. Miękkie rysy szczęki, wilgotne oczy. Drobne zęby, proste i cokolwiek spiczaste, jak u dziwnego i pięknego kota. Rozpieszczana przez system studiów filmowych, karmiona bitą śmietaną i jajkami albo pieczoną wątrobą i pięcioma marchewkami – taką samą kolację babcia jadła w każdy wieczór mojego dzieciństwa. Kiedy przeszła na emeryturę, rodzina zaszyła się na rozległym ranczu w Petalumie, babcia hodowała róże odmiany Luther Burbank i trzymała konie.

Po jej śmierci byliśmy jak samodzielne państwo na tych wzgórzach, żyliśmy z jej pieniędzy, ale mogłam jeździć na rowerze do miasta. To był bardziej dystans psychologiczny; jako dorosła będę się dziwiła naszej izolacji. Matka chodziła na palcach koło ojca i ja też – na nas spojrzenia rzucał z ukosa, zachęcał, żebyśmy jadły więcej protein, czytały Dickensa albo głębiej oddychały. Jadł surowe jajka, solone steki i trzymał w lodówce talerz tataru, pięć, sześć razy dziennie brał z niego łyżkę. „Powłoka cielesna jest odzwierciedleniem wewnętrznej jaźni”, mówił i ćwiczył na japońskiej macie nad basenem, robił pięćdziesiąt pompek ze mną na plecach. To był rodzaj magii, gdy siedząc po turecku, unosiłam się w powietrze. Owies, zapach stygnącej ziemi.

Kiedy ze wzgórz schodził kojot i walczył z psem – brzydki, szybki syk, który mnie emocjonował – ojciec strzelał do niego. Wszystko wydawało się takie proste. Konie, które kopiowałam z rysowanek, cieniując ich grafitowe grzywy. Odtwarzanie rysunku rysia niosącego w pysku nornika, ostrego zęba natury. Później miałam dostrzec, że przez cały czas był tam także strach. Mój niepokój, gdy mama zostawiła mnie samą z nianią Carson, która cuchnęła wilgocią i siedziała w niewłaściwym fotelu. To, jak mi mówili, że świetnie się bawiłam, i nie było sposobu na wyjaśnienie, że to nieprawda. Nawet po chwilach szczęścia następowały rozczarowania – śmiech ojca, potem wysiłki, żeby dogonić go idącego daleko z przodu. Dłonie matki na moim gorącym czole, potem rozpaczliwa samotność w pokoju – matka zniknęła w głębi domu, rozmawiała z kimś przez

telefon głosem, którego nie poznawałam. Talerz krakersów i zimny rosół z kury z makaronem, żółtawe mięso przełamane linią tłuszczu. Gwiazdzista pustka, która nawet dziecku wydawała się czymś w rodzaju śmierci.

Nie zastanawiałam się, jak matka spędzała swoje dni. Jak musiała siedzieć w pustej kuchni przy stole wydzielającym odór gąbki i czekała, aż hałaśliwie wbiegnę po szkole, aż wróci ojciec.

Ojciec, który całował ją z oficjalnością wprawiającą nas wszystkich w zakłopotanie, który zostawiał na schodach butelki po piwie zwabiające osy w pułapkę i rano bił się po gołej klatce piersiowej, żeby zachować silne płuca. Czepiał się kurczowo brutalnej rzeczywistości swojego ciała, z butów wychodziły mu prążkowane skarpety, cętkowane drobinkami cedru z torebek, które miał w szufladach. To, jak zamieniał w żart sprawdzanie swojego odbicia w masce samochodu. Próbowалаm zbierać dla niego opowieści, przeczesywałam dni, szukając czegoś, co wywoła błysk zainteresowania. Wtedy nie przyszło mi to do głowy, dopiero kiedy dorosłam, uświadomiłam sobie, jakie to dziwne, że tak wiele o nim wiedziałam, podczas gdy on o mnie nie wiedział nic. Wiedziałam, że kochał Leonarda da Vinci, ponieważ ten wynalazł energię słoneczną i urodził się w biedzie. Że potrafił rozpoznać markę samochodu po odgłosie silnika i uważał, że wszyscy powinni znać nazwy drzew. Podobało mu się, kiedy się zgodziłam, że szkoła biznesu to chłam, albo kiwnęłam głową, gdy powiedział, że nastolatek, który na swoim aucie namalował pacyfę, jest zdrajcą. Raz wspomniał, że powinnam się uczyć gry na gitarze klasycznej, chociaż nigdy nie widziałam, żeby słuchał muzyki. Wyjątkiem były teatralne zespoły kowbojskie, przytupujące szmaragdowymi butami i śpiewające o żółtych różach. Uważał, że wzrost to jedyna rzecz przeszkadzająca mu w odniesieniu sukcesu.

– Robert Mitchum też jest niski – powiedział mi kiedyś. – Każą mu stawać na skrzyniach po pomarańczach.

Od chwili gdy dostrzegłam dziewczęta idące przez park, nie odrywałam od nich wzroku. Czarnowłosa z pomocnicami, ich śmiech ganiący moją samotność. Czekałam na coś, nie wiedząc, co to jest. I stało się. Szybko, ale i tak to zobaczyłam: dziewczyna z czarnymi włosami na sekundę ściągnęła dekolt sukienki, odsłaniając czerwony sutek piersi. W samym środku parku rojącego się od ludzi. Zanim w pełni zdołałam w to uwierzyć, znowu się zakryła. Wszystkie się śmiały, lubieżnie i beztrąsko; żadna nawet się nie rozejrzała, by sprawdzić, czy ktoś je obserwuje.

Dziewczęta skręciły w alejkę wzdłuż restauracji, oddalały się od grilla. Ruchy miały gładkie i wyćwiczone. Nie odwróciłam wzroku. Starsza uniosła wieko kontenera na śmieci. Rudowłosa się pochyliła, a brunetka, wykorzystując jej kolano jako stopień, przerzuciła ciężar ciała przez krawędź. Szukała czegoś w kontenerze – nie umiałam sobie wyobrazić, co by to mogło być. Wstałam, żeby się pozbyć

serwetek, i zatrzymawszy się przy koszu, obserwowałam dziewczęta. Brunetka podawała pozostałym rzeczy z kontenera: chleb nadal w opakowaniu, anemiczną kapustę, którą tamte powąchały i wrzuciły z powrotem. Z pozoru świetnie opanowana procedura. Czy one rzeczywiście to zjedzą? Kiedy brunetka pojawiła się po raz ostatni, przewieszając się przez krawędź i zsuwając na ziemię, trzymała coś w rękach. Miało dziwny kształt i kolor mojej skóry. Zrobiłam krok w ich stronę.

Gdy dotarło do mnie, że to surowy kurczak owinięty w plastik, musiałam gapić się intensywniej, ponieważ brunetka odwróciła się i złapała mój wzrok. Uśmiechnęła się i poczułam, jak żołądek mi się ściska. Jakby coś między nami zaszło, jakaś subtelna zmiana w powietrzu. Jej otwarte, wyzute ze skruchy spojrzenie. Zaraz jednak jej uwagę przykuł huk otwieranych drzwi restauracji. Wyszedł z nich masywny mężczyzna i już krzyczał. Odganiał je jak psy. Dziewczęta złapały chleb i kurczaka, rzuciły się do ucieczki. Mężczyzna umilkł i przez minutę je obserwował. Wycierał wielkie dłonie w fartuch, jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała z wysiłkiem.

Wtedy dziewczęta były już przecznicę dalej, włosy płynęły za nimi w powietrzu jak chorągwie, czarny szkolny autobus przetoczył się obok i zwolnił, po czym cała trójka zniknęła w jego wnętrzu.

Ich widok, obrzydliwy kurczak wyglądający jak płód, wiśnia pojedynczego sutka dziewczyny. Wszystko to było takie krzykliwe i może dlatego ciągle o nich myślałam. Nie potrafiłam poskładać tego w całość. Dlaczego dziewczęta potrzebowały jedzenia z kontenera. Kto prowadził autobus, jacy ludzie pomalowali go na taki kolor. Widziałam, że dziewczyny są sobie bliskie, że wiąże je rodzinny kontrakt: miały pewność, kim są, kiedy były razem. Długa noc, która rozpościerała się przede mną – matka wyszła z Sal – nagle wydała się nie do zniesienia.

Wtedy po raz pierwszy widziałam Suzanne, czarne włosy nawet z odległości wyróżniały ją spośród innych, uśmiechała się do mnie bezpośrednio i szacująco. Nie umiałam sobie wyjaśnić tego bolesnego szarpnięcia, które czułam, patrząc na nią. Wydawała się równie obca i surowa jak te kwiaty, które kwitną jaskrawymi eksplozjami co pięć lat, krzykliwa prowokacja będąca niemal tym samym co piękno. I co ta dziewczyna widziała, kiedy na mnie patrzyła?

Skorzystałam z toalety w restauracji. *Rób tak dalej* nagryzmołone markerem. *Tess Pyle ssie fiuta!* Towarzyszące napisom rysunki zostały przekreślone. Wszystkie głupie, tajemnicze ślady ludzi, którzy z rezygnacją przyjęli przywiązanie do miejsca, toczenie się przez powierzchowny porządek rzeczy. Którzy chcieli w mało znaczący sposób zaprotestować. Najsmutniejsze: *Kurwa*, napisane ołówkiem.

Kiedy umyłam ręce i wytarłam w sztywny ręcznik, przyjrzałam się sobie w lustrze nad umywalką. Przez chwilę usiłowałam zobaczyć siebie oczami

czarnowłosej dziewczyny albo przynajmniej chłopaka w kowbojskim kapeluszu – w swoich rysach szukałam podskórnych wibracji. Wysięk odbił się na mojej twarzy i ogarnął mnie wstyd. Nic dziwnego, że chłopak sprawiał wrażenie zdeglustowanego: musiał dostrzec we mnie tęsknotę. Zobaczył, że moja twarz wyraża jawną potrzebę niczym puste naczynie sieroty. Na tym polegała różnica pomiędzy mną a czarnowłosą – jej twarz odpowiadała na wszystkie pytania.

Nie chciałam wiedzieć o sobie takich rzeczy. Spryskałam twarz wodą, zimną wodą, bo jak kiedyś powiedziała mi Connie: „Zimna woda zamyka wszystkie pory”. I może to była prawda, poczułam, jak skóra mi się napina, a woda ścieka na szyję. Jak rozpaczliwie obie z Connie byłyśmy przekonane, że jeśli odprawimy te rytuały – umyjemy twarz zimną wodą, przed pójściem spać naelektryzujemy włosy szczotką z bobrzego włosia – jakiś problem sam się rozwiąże i otworzą się przed nami nowe możliwości.

Brzdęk, brzdęk, automat do gry w garażu Connie dzwonił jak w kreskówce. Jego różowa poświata wsiąkała w rysy Petera. Był starszym bratem Connie, miał osiemnaście lat i przedramiona barwy grzanki. Przy boku Petera kręcił się jego kumpel Henry. Connie uznała, że durzy się w nim, dlatego piątkowy wieczór poświęciłyśmy na siedzenie na ławeczce do podnoszenia ciężarów z pomarańczowym motocyklem Henry'ego stojącym za naszymi plecami jak kucyk. Miałyśmy obserwować chłopców grających na automacie i popijających marne piwo, które ojciec Connie trzymał w garażowej lodówce. Później zamierzali strzelać do pustych butelek z wiatrówki, wiwatując po każdym szklanym wybuchu.

Wiedziałam, że wieczorem spotkam Petera, dlatego włożyłam haftowaną bluzkę. Włosy miałam paskudne od lakieru. Pryszcz na brodzie posmarowałam beżowym kitem marki Merle Norman, ale puder zebrał się na krawędzi, przez co pryszcz błyszczał. Dopóki moje włosy pozostawały na miejscu, wyglądałam ładnie, albo przynajmniej tak myślałam. I naciągnęłam bluzkę, żeby odsłonić dekolt, sztuczny rowek między małymi piersiami wywołany naciskiem stanika. Poczucie obnażenia sprawiało mi niespokojną przyjemność, która kazała stać bardziej prosto, z głową na szyi jak jajkiem w filiżance. Staralam się upodobnić do czarnowłosej z parku, mieć ten swobodny wyraz twarzy. Connie na mój widok zmrużyła oczy, mięsień przy jej ustach zadrżał, ale nic nie powiedziała.

Po raz pierwszy Peter naprawdę ze mną rozmawiał dopiero dwa tygodnie wcześniej. Czekałam na Connie na parterze. Jej pokój był o wiele mniejszy od mojego, dom uboższy, ale tutaj spędzałyśmy większość czasu. W domu motywem przewodnim były elementy morskie – jej ojciec bez powodzenia próbował uzyskać kobiecy wystrój. Współczułam ojcu Connie: nocnej pracy w mleczarni, artretycznych dłoni, które nerwowo zaciskał i prostował. Matka Connie mieszkała gdzieś w Nowym Meksyku blisko gorących źródeł, o jej synach bliźniakach i nowym życiu nigdy nie rozmawiano. Raz na Boże Narodzenie przysłała Connie pojemniczek popękanego rózu i bluzę Fair Isle tak małą, że żadna z nas nie dała rady przecisnąć głowy przez otwór.

– Kolory są ładne – powiedziałam z nadzieją.

Connie tylko wzruszyła ramionami.

– To suka.

Peter wpadł przez drzwi frontowe, rzucił książkę na kuchenny stół. Kiwnął mi głową w ten swój łagodny sposób i zaczął robić sobie kanapkę: wyciągnął kromki białego chleba i jaskrawy słoik musztardy.

– Gdzie księżniczka? – zapytał. Usta miał spierzchnięte, jasnoróżowe. Lekko pokryte, tak sobie wyobrażałam, osadem z zioła.

– Poszła po kurtkę.

– Aha. – Złożył kromki i ugryzł. Żując, patrzył na mnie. – Ostatnio ładnie wyglądasz, Boyd – powiedział i przełknął.

Jego ocena wytrąciła mnie z równowagi do tego stopnia, że miałam wrażenie, iż ją sobie wyobraziłam. Czy powinnam coś odpowiedzieć? Już nauczyłam się tego zdania na pamięć.

Odwrócił się ku hałasom przed frontowymi drzwiami: dziewczyna w dżinsowej kurtce, postać zniekształcona przez drzwi z siatki. Pamela, jego dziewczyna. Byli stałą parą, zlewali się ze sobą; ubierali się podobnie, na sofie bez słowa przekazywali sobie raz po raz gazetę albo oglądali serial *Man from U.N.C.L.E.* Zdejmowali kłaczki z drugiej osoby jak z samych siebie. Widywałam Pamelę w liceum przy tych okazjach, kiedy przejeżdżałam na rowerze obok brunatnego budynku. Prostokąty na wpeł wyschniętej trawy, niskie, szerokie stopnie, na których zawsze siedziały starsze dziewczęta w chłopięcych koszulach, trzymając się za małe palce, z paczkami kentów w dłoniach. Powiew śmierci wokół nich, ich chłopcy w wilgotnych dżunglach. Były jak dorosłe, nawet popiół z papierosów strzepywały znużonym ruchem nadgarstka.

– Cześć, Evie – powiedziała Pamela.

Niektórym dziewczynom bycie miłą przychodziło bez trudu. Pamiętały twoje imię. Pamela była piękna, naprawdę, i czułam do niej ten skrywany pociąg, który wszyscy czują do piękna. Rękawy dżinsowej kurtki tworzyły wałki przy łokciach, obwiedzione konturówką oczy wyglądały jak na haju. Nogi miała opalone i gołe. Moje nogi znaczyły bąble po ukąszeniach komarów, które zdrapałam do otwartych ran, na łydkach kładły się cieniem jasne włoski.

– Skarbie – powiedział Peter z pełnymi ustami i zrobił susa, żeby ją objąć, ukryć twarz w jej szyi. Pamela pisnęła i odepchnęła go. Kiedy się roześmiała, błysnęły nierówne zęby.

– Niewyobrazalna ohyda – szepnęła Connie, wchodząc do pokoju.

Ale ja milczałam, usiłowałam sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy ktoś zna nas tak dobrze, że niemal stajemy się z nim jedną osobą.

Później na piętrze paliłyśmy trawkę, którą Connie ukradła Peterowi. Szparę pod drzwiami zakryłyśmy grubym wałkiem z ręcznika. Connie ciągle musiała uciskać palcami bibułkę, żeby się nie otwierała, obie paliłyśmy w poważnym, cieplarnianym milczeniu. Z okna widziałam samochód Petera, zaparkowany byle jak, jakby musiał go porzucić w ogromnym stresie. Zawsze lubiłam Petera w sposób, w jaki w tamtym wieku lubiłam wszystkich starszych chłopców, sama ich egzystencja domagała się uwagi. Ale moje uczucia niespodziewanie się nasiliły, stały się naglące, tak przesadzone i nieuniknione jak wydarzenia oglądane we śnie. Napychałam się banalnymi szczegółami o Peterze, koszulkami, które nosił na zmianę, delikatną skórą karku. Zapętlonymi dźwiękami zespołu Paul Revere and the Raiders płynącymi z jego sypialni, tym, jak czasami się snuł z dumną, jawną

tajemniczością, a ja wiedziałam, że brał kwas. Szklanką raz po raz z niezwykłą starannością napełnianą wodą w kuchni.

Weszłam do pokoju Petera, kiedy Connie brała prysznic. Cuchnęło w nim czymś, co później zidentyfikowałabym jako masturbację, wilgotną eksplozję w powietrzu. Wszystkie jego rzeczy były nasączone tajemniczym znaczeniem: niski futon, plastikowy woreczek wypełniony brykietami marihuany o wyglądzie popiołu. Podręczniki do nauki zawodu mechanika. Szklanka na podłodze z tłustymi odciskami palców do połowy pełna na oko stęchłej wody, rząd gładkich rzecznych kamieni na komodzie. Tania miedziana bransoletka, którą czasami nosił. Przyswoiłam sobie to wszystko, jakbym mogła odszyfrować prywatny sens każdego przedmiotu, poskładać w całość wewnętrzną architekturę jego życia.

W tym wieku tyle pragnień było rozmyślnym aktem. Tyle usilnych prób, żeby zmiękczyć twarde krawędzie chłopców, nadać im kształt osoby, którą mogłybyśmy pokochać. Rozmawialiśmy o naszej rozpaczliwej potrzebie posiadania chłopaka ustalonym tekstem, znajomymi słowami, jakbyśmy czytały kwestie ze sztuki. Później zrozumieć to tak: jakże bezosobowa i łapczywa była nasza miłość, objęła się po wszechświecie w nadziei na znalezienie żywiciela, który nada formę naszym pragnieniom.

Kiedy byłam mała, w szufladzie w łazience zobaczyłam czasopisma – należały do ojca, stronicie miały pokryte plamami wilgoci. W ich wnętrzu tłoczyły się kobiety. Napięta siatka naciągnięta na krocze, rozproszone światło, w którym ich skóra była lśniąca i blada. Moja ulubiona dziewczyna miała na szyi wstążkę zawiązaną na kokardę. Dziwne i poruszające było, że ktoś może być nagi, ale też nosić wstążkę na szyi. To czyniło jej nagość oficjalną.

Nawiedzałam czasopismo z regularnością pokutnika i za każdym razem starannie odkładałam je na miejsce. Zamykałam łazienkę na klucz z zadyszaną, chorą przyjemnością, która szybko przekształciła się w pocieranie kroczem o krawędzie dywanów, krawędź materaca. Tył sofy. Jak to w ogóle działało, że przez utrzymywanie w umyśle unoszącego się w powietrzu obrazu dziewczyny umiałam wywołać doznanie, taflę przyjemności, która narastała, aż stawała się przymusem, pragnieniem, by znowu i znowu tak się poczuć. Wydawało się dziwne, że wyobrażałam sobie dziewczynę, nie chłopaka. I to uczucie potrafiły na nowo rozpalić inne osobliwości: kolorowa ilustracja w książce z baśniami przedstawiająca dziewczynę uwięzioną w pajęczej sieci. Fasetkowe oczy obserwujących ją złych stworów. Wspomnienie ojca chwytającego tyłek sąsiadki przez mokry kostium kąpielowy.

Robiłam wcześniej różne rzeczy – to nie był właściwie seks, ale blisko. Beznamiętne macanki w korytarzu na szkolnych potańcówkach. Przegrzana duszność sofy rodziców, spocone wnętrza moich kolan. Alex Posner wsuwający dłoń w moje szorty w ten swój badawczy, obojętny sposób, odskakujący

gwałtownie, kiedy usłyszeliśmy kroki. Nic z tego – całowanie, szponiasta dłoń pod moją bielizną, surowa nerwowość penisa w mojej pięści – w żaden sposób nie wydawało się podobne do tego, co robiłam sama, do napięcia rozlewającego się jak wznoszące się gwiazdy. Wyobrażałam sobie Petera niemal jako środek naprawczy własnych żądz, których przymus niekiedy mnie przerażał.

Leżałam na plecach na cienkiej narzucie przykrywającej łożko Connie. Przyjaciółka brzydko przypiekła się na słońcu, obserwowałam, jak ściera naskórek z ramion i toczy z niego szare kuleczki. Słaby wstręt złagodziła myśl o Peterze, który mieszkał w tym samym domu co Connie, który oddychał tym samym powietrzem. Który do jedzenia używał tych samych naczyń i sztucców. Byli połączeni w fundamentalny sposób, jak dwa różne gatunki wyhodowane w tym samym laboratorium.

Z dołu usłyszałam radosny śmiech Pameli.

– Kiedy będę miała chłopaka, zmuszę go, żeby zabierał mnie na kolację – powiedziała Connie zdecydowanie. – Jej wcale nie przeszkadza, że Peter sprowadza ją tutaj tylko po to, żeby ją bzykać.

Connie się skarżyła, że Peter nigdy nie nosi bielizny, i ten fakt rósł w moim umyśle, robiło mi się od niego niedobrze w sposób wcale nie niemiły. Senne zmarszczki wokół jego oczu były wywołane permanentnym hajem. Connie bladła przy porównaniu: w gruncie rzeczy nie wierzyłam, że ta przyjaźń może istnieć dla samej siebie, a nie być tylko glebą dla dramatycznych rozważań, czy chłopcy nas kochają czy nie.

Connie stała przed lustrem i próbowała się zharmonizować z jedną z tych słodkich, smętnych czterdziestekpiątek, które fanatycznie, ciągle od nowa puszczałyśmy. Słuchałyśmy piosenek, które nadmiernie zwiększały mój własny słuszny smutek, mój wyimaginowany związek z tragiczną naturą świata. Jakże uwielbiałam tak się dręczyć, podsycać swoje uczucia, aż stawały się nie do zniesienia. Pragnęłam przez całe życie odczuwać tę gorączkowość i zwiększać jej ciśnienie znakami, tak by nawet kolory, pogoda i smaki były bardziej intensywne. To właśnie obiecywały piosenki, to ze mnie wydobywały.

Jedna zdawała się wibrować osobistym echem, jak naznaczona. Proste wersy o kobiecie, o kształcie jej pleców, kiedy po raz ostatni odwraca się od mężczyzny. Popiół papierosów, który zostawia w łożku. Zabrzmiała tylko raz i Connie skoczyła, żeby odwrócić płytę.

– Puść to jeszcze raz – powiedziałam.

Próbowałam zobaczyć siebie w taki sam sposób, w jaki piosenkarz widział kobietę: kołysanie jej srebrnej bransoletki zabarwionej lekko na zielono, włosy spadające na plecy. Ale tylko poczułam się głupio, otworzywszy oczy i spojrzawszy na Connie przed lustrem rozdzielającą agrafką rzęsy, z szortami wciśniętymi w tyłek. To nie to samo co dostrzeganie rzeczy u siebie. Tylko

niektóre dziewczęta wzbudzały taki rodzaj uwagi. Jak te w parku. Albo Pamela i jej koleżanki na stopniach liceum czekające na leniwy warkot samochodów swoich chłopaków, sygnał, żeby się zerwać na nogi. Otrześć tyłki, wyjść na pełne słońce, machając na pożegnanie tym, które zostają.

Niedługo po tamtym dniu weszłam do pokoju Petera, kiedy Connie spała. To, co wtedy powiedział mi w kuchni, wydawało się ograniczonym w czasie zaproszeniem, z którego muszę skorzystać, zanim upłynie termin. Connie i ja piłyśmy piwo przed snem, opierając się o wiklinowe nogi mebli i palcami wyjadając twarożek z pojemnika. Wypiłam o wiele więcej niż ona. Pragnęłam, by inna siła przejęła władzę, wymusiła działanie. Nie chciałam być taka jak Connie, niezmienna, czekająca, aż coś się stanie, zjadająca całe opakowanie krakersów sezamowych, a potem robiąca dziesięć pajacyków w pokoju. Nie spałam, kiedy Connie zapadła w głęboki, niespokojny sen. Nasłuchiwałam kroków Petera na schodach.

W końcu z hukiem wpadł do swojego pokoju. Odczekałam czas, który wydawał się bardzo długi, zanim za nim poszłam. Skradałam się korytarzem jak zjawa w krótkiej, poliestrowej gładkiej piżamie, uwięzionej gdzieś w smętnej przestrzeni pomiędzy kostiumem księżniczki a bielizną. Cisza w domu była żywym stworzeniem, opresyjnym i obecnym, ale też barwiącym wszystko obcą wolnością, wypełniającym pokoje gęstszym powietrzem.

Peter leżał nieruchomo pod pościelą, guzowate męskie stopy miał odsłonięte. Słyszałam oddech kolczasty od narkotyku, który wziął. Pokój wydawał się go kołysać. To mogłoby wystarczyć – obserwowanie go śpiącego, jak robiłby to któryś z rodziców cieszący się przywilejem wyobrażenia sobie szczęśliwych snów. Jego oddech jak paciorki różańca, każdy wdech i wydech krzepiący. Ale ja nie chciałam, żeby to wystarczyło.

Kiedy się zbliżyłam, jego twarz stała się wyrazista, rysy kompletne, bo przywykłam do ciemności. Pozwoliłam sobie przyglądać się mu bez wstydu. Peter nagle otworzył oczy i nie wydawał się przestraszony moją obecnością przy swoim łóżku. Posłał mi spojrzenie łagodne jak szklanka mleka.

– Boyd – odezwał się głosem nadal sennie rozwlekłym, ale mrugnął i rezygnacja w sposobie, w jaki wypowiedział moje imię, kazała mi sądzić, że na mnie czekał. Że wiedział, iż przyjdę.

Byłam zakłopotana, że tak stoję.

– Możesz usiąść – powiedział.

Kucnęłam przy futonie, głupio się chwiejąc. Nogi już zaczęły mnie palić z wysiłku. Peter podał mi rękę i wciągnął mnie na materac, a ja się uśmiechnęłam, chociaż nie byłam pewna, czy dostrzega moją twarz. Milczał i ja też. Jego pokój oglądany z podłogi był dziwny, majacząca komoda, popękane drzwi. Nie umiałam wyobrazić sobie za nimi Connie. Connie mamroczącej przez sen, co często robiła,

czasami ogłaszającej liczbę jak otumaniony gracz w bingo.

– Możesz wejść pod koc, jeśli ci zimno – powiedział, odchylając pościel.

Zobaczyłam jego gołą klatkę piersiową, jego nagość. Położyłam się obok niego w rytualnym milczeniu. To było takie łatwe – skorzystałam z możliwości, która zawsze istniała.

Później się nie odzywał, ja też nie. Przyciągnął mnie blisko, tak że moje plecy przyciskały się do jego piersi i czułam, jak jego fiut staje dęba przy moich udach. Nie chciałam oddychać, miałam wrażenie, że to z mojej strony byłoby narzucanie się, nawet wznoszenie się i opadanie moich żeber stanowiło za wielki kłopot. Brałam krótkie wdechy przez nos i zaczynało mi się kręcić w głowie. Ostry zapach jego ciała w ciemności, jego koce, prześcieradła – to Pamela miała przez cały czas tę łatwość zawłaszczania jego osoby. Obejmował mnie, ciężar ciągle identyfikowałam jako ciężar chłopięcej ręki. Peter zachowywał się, jakby miał zaraz zasnąć – mimowolne westchnienie i nieznaczna zmiana pozycji – ale to utrzymywało całą sprawę w całości. Trzeba było zachowywać się tak, jakby nic dziwnego się nie działo. Kiedy palcem musnął mój sutek, nie drgnęłam. Czułam na karku jego regularny oddech. Jego dłoń dokonywała bezosobowych pomiarów. Przekręcił mój sutek i głośno wciągnęłam powietrze. Na moment się zawahał, ale nie przestał. Jego fiut mazał po moich nagich udach. Zostanę odsunięta na bok, nieważne, co się wydarzy, to rozumiałam. Niezależnie od tego, jak Peter przeprowadzi nas przez noc. I nie było strachu, tylko uczucie zbliżone do podniecenia, zerkanie zza kulis. Co się przytrafi Evie?

Kiedy w holu skrzypnęła podłoga, czar prysł. Peter cofnął rękę, przetoczył się gwałtownie na plecy. Patrzył w sufit, mogłam więc dostrzec jego oczy.

– Muszę się przekimnąć – powiedział głosem starannie obojętnym. Głosem jak gumka, jego nagła monotonia miała na celu skłonić mnie do zastanawiania się, czy cokolwiek się stało. Wolno się podniosłam, trochę zbita z tropu, ale też szczęśliwie oszołomiona, jakby nawet ten drobiazg mnie pożywił.

Wydawało się, że chłopcy grają na automacie godzinami. Connie i ja siedziałyśmy na ławce, wibrując od wymuszonej nieuwagi. Ciągle czekałam, aż Peter jakoś nawiąże do tego, co między nami zaszło. Błysk w oku, spojrzenie naszpikowane naszą historią. Ale on na mnie nie patrzył. W garażu unosił się zapach zimnego betonu i smród namiotów zwiniętych, kiedy były wilgotne. Na ścianie kalendarz ze stacji benzynowej: kobieta w gorącej kąpieli z nieruchomymi oczami i obnażonymi zębami wypchanego zwierzęcia. Byłam wdzięczna za nieobecność Pameli. Connie mi powiedziała, że doszło do jakiejś kłótni między nią a Peterem. Chciałam zapytać o szczegóły, ale w jej twarzy dostrzegłam ostrzeżenie – nie mogłam za bardzo się interesować.

– Hej, małe, nie macie nic lepszego do roboty? – zapytał Henry. – Jakies spotkanie przy lodach?

Connie odrzuciła włosy do tyłu i poszła po kolejne piwa. Henry z rozbawieniem obserwował jej nadejście.

– Dawaj je – pisała, kiedy podniósł dwie butelki poza zasięg jej rąk.

Pamiętam, że po raz pierwszy zauważyłam, jaka jest hałaśliwa, jej głos twardy od niemądrej agresji. Connie ze swoimi jękami i manewrami, zgrzytliwym śmiechem, który brzmiał na wyćwiczony i taki też był. W chwili, gdy zaczęłam te rzeczy zauważać, katalogować jej braki w sposób, w jaki robiłby to chłopak, między nami utworzyła się przestrzeń. Żałuję, że byłam taka niewyrozumiała. Jakbym przez wyznaczenie dystansu mogła się wyleczyć z tej samej choroby.

– Co mi za nie dasz? – zapytał Henry. – Na tym świecie nic nie jest za darmo, Connie.

Wzruszyła ramionami, rzuciła się po piwa. Henry naparł na nią swoim solidnym ciałem, w uśmiechu szczerząc zęby, gdy walczyła. Peter przewrócił oczami. Także nie lubił takich rzeczy, bekającego wodewilu. Miał starszych przyjaciół, którzy zniknęli w ospałych dżunglach, zamulonych rzekach. Którzy wrócili do domu, bełkoczący i uzależnieni od cieniutkich czarnych papierosów, ich dziewczyny kryły się za nimi jak małe nerwowe cienie. Usiłowałam usiąść bardziej prosto, przywołać na twarz wyraz dorosłej nudy. Siłą woli próbowałam skłonić Petera, żeby na mnie spojrzał. Chciałam tych jego części, których – byłam tego pewna – Pamela nie umiała dostrzec, igiełek smutku, które czasem widziałam w jego wzroku, albo tajemnej dobroci okazanej Connie, kiedy zabrał nas do Arrowhead Lake w roku, gdy matka całkiem zapomniała o jej urodzinach. Pamela o tych rzeczach nie wiedziała, więc czepiałam się tej pewności, czegokolwiek, co mogło należeć wyłącznie do mnie.

Henry uszczypnął różową skórę nad paskiem szortów Connie.

– Ostatnio chodzisz głodna, co?

– Nie dotykaj mnie, zboku – powiedziała, bijąc go w rękę. Zachichotała. – Pierdol się.

– Dobra – odparł, łapiąc Connie za przeguby. – Pierdol mnie. – Bez większego przekonania próbowała się wyrwać, skomlać, dopóki Henry jej nie puścił. Rozcierała przeguby.

– Dupek – mruknęła, chociaż właściwie nie była zła.

To należało do bycia dziewczyną – trzeba z rezygnacją przyjmować wszystko, co się dostawało. Jeśli się wściekałaś, byłaś wariatką, a jeśli nie reagowałaś, byłaś suką. Mogłaś zrobić tylko jedno – uśmiechać się z kąta, w który cię zapędzili. Włączyć się w żart, nawet jeśli zawsze żartowano tylko z ciebie.

Nie lubiłam smaku piwa, ziarnistej goryczy zupełnie nieprzypominającej higienicznego chłodu ojcowskich martini, ale wypiałam jedno, potem drugie. Chłopcy karmili automat z torby pełnej pięciocentówek, aż prawie zabrakło im monet.

– Potrzebujemy kluczy – powiedział Peter, zapalając jointa, którego wyciągnął z kieszeni. – Żeby go otworzyć.

– Przyniosę – powiedziała Connie. – Nie płacz z tęsknoty za mną – rzuciła śpiewnie do Henry’ego, trzepocząc lekko dłonią. W moją stronę uniosła tylko brwi.

Rozumiałam, że to część planu, który ułożyła, żeby zwrócić uwagę Henry’ego. Wyjść, wrócić. Przypuszczalnie przeczytała o tym w czasopiśmie.

Myślę, że to był nasz błąd. Jeden z wielu. Wiara, że chłopcy zachowują się zgodnie z logiką, którą pewnego dnia zrozumiemy. Wiara, że w ich czynach kryje się jakikolwiek sens poza bezmyślnym impulsem. Byliśmy jak wyznawcy teorii spiskowej, widziałyśmy znaki i intencje w każdym szczególe, rozpaczliwie pragnęłyśmy znaczyć chociaż tyle, żeby się stać przedmiotem planowania i spekulacji. Ale to byli tylko chłopcy. Młodzi, niemądry i prostolinijni; niczego nie ukrywali.

Peter ustawił dźwignię zapadki na pozycję wyjściową, po czym się odsunął, ustępując miejsca Henry’emu. Przez cały czas dzielili się jointem. Obaj mieli na sobie białe T-shirty, cienkie od częstego prania. Peter uśmiechnął się na widok karnawałowej petardy, kiedy z automatu z brzękiem posypały się monety, ale sprawiał wrażenie roztargnionego, wyłowił następne piwo, jointa palił tak długo, aż został mu zgnieciony i oleisty niedopałek. Mówili cicho. Słyszałam fragmenty.

Rozmawiali o Williem Potercke’u: wszyscy go znaliśmy, pierwszy chłopak w Petalumie, który się zaciągnął. Ojciec zawiózł go do komisji rekrutacyjnej. Później widziałam go w Hamburger Hamlet z drobną brunetką, której z nosa ciekły gluty. Uparcie nazywała go pełnym imieniem, William, jakby ta dodatkowa sylaba była tajemnym hasłem, które przekształci go w dorosłego, odpowiedzialnego mężczyznę. Przywierała do niego jak rzep.

– Wiecznie jest na podjeździe – powiedział Peter. – Myje samochód, jakby nic się nie zmieniło. Nawet nie może teraz prowadzić, tak mi się zdaje.

To były wiadomości z innego świata. Widząc twarz Petera, poczułam wstyd, że tylko się bawiłam w prawdziwe uczucia, sięgałam świata poprzez piosenki. Petera naprawdę mogli wysłać, naprawdę mógł umrzeć. Nie musiał się starać odczuwać w taki sposób, wykonując ćwiczenia emocjonalne, którymi zajmowałyśmy się z Connie: Co byś zrobiła, gdyby umarł twój ojciec? Co byś zrobiła, gdybyś zaszła w ciążę? Co byś zrobiła, gdyby nauczyciel chciał się z tobą bzykać, jak pan Garrison z Patricią Bell?

– Był cały pomarszczony, ten jego kikut – powiedział Peter. – Różowy.

– Ohydne – odparł Henry przy automacie. Nie odwrócił się od zapętlonych wisienek, które się przed nim przesuwają. – Chcesz zabijać ludzi, to nie miej pretensji, że urywają ci nogi bombami.

– I w dodatku jest z tego dumny – powiedział Peter, podnosząc głos i pstrykając niedopałkiem jointa na podłogę garażu. Patrzył, jak gaśnie. – Chce,

żeby ludzie go oglądali. To jakiś obłąd.

Tragizm ich rozmowy mnie także wprowadził w dramatyczny nastrój. Byłam pobudzona alkoholem, pieczeniem w piersiach, które wyolbrzymiałam, aż zaczęłam działać kierowana mocą nienależącą do mnie. Wstałam. Chłopcy tego nie zauważyli. Rozmawiali o filmie, który widzieli w San Francisco. Rozpoznałam tytuł – nie pokazali go w miasteczku, ponieważ podobno był perwersyjny, chociaż nie mogłam sobie przypomnieć dlaczego.

Kiedy w końcu jako dorosła obejrzałam ten film, zaskoczyła mnie wyraźna niewinność scen seksu. Zwyczajny wałek tłuszczu nad włosami łonowymi aktorki. Jej śmiech, kiedy przyciągała głowę kapitana jachtu do swoich obwisłych, uroczych piersi. Wulgarność odznaczała się dobroduszością, jakby zabawa nadal była konceptem erotycznym. Inaczej niż w późniejszych filmach z dziewczętami krzywiącymi się, podczas gdy ich nogi zwisały jak martwe stworzenia.

Henry trzepotał powiekami, wystawiał język w obscenicznym uśmiechu. Małpował scenę z filmu.

Peter się roześmiał.

– To chore.

Zastanawiali się, czy aktorkę rzeczywiście zerżnięto. Najwyraźniej nie obchodziło ich, że stoję tuż obok.

– Widać było, że się jej podobało – powiedział Henry. – Oooch – jęknął wysokim kobiecym głosem. – Oooch, tak, mmm. – Uderzył biodrami w automat do gry.

– Ja też go widziałam – powiedziałam bez namysłu. Zależało mi na włączeniu się do rozmowy, nawet jeśli to było kłamstwo. Obaj na mnie spojrzeli.

– No tak – powiedział Henry – duch wreszcie przemówił.

Zarumieniłam się.

– Widziałas? – Peter powątpiewał. Powiedziałam sobie, że jest opiekuńczy.

– Taa – potwierdziłam. – Niezła jazda.

Wymienili spojrzenia. Naprawdę myślałam, że uwierzą, iż jakimś cudem udało mi się pojechać do miasta? Że pojechałam obejrzeć film, który zasadniczo rzecz biorąc, był pornograficzny?

– No. – Oczy Henry’ego błyszczały. – Która część najbardziej ci się podobała?

– Ta, o której mówiliście. Z dziewczyną.

– Ale co w tej części najbardziej ci się podobało? – zapytał Henry.

– Zostaw ją w spokoju – powiedział łagodnie Peter. Już znudzony.

– Podobało ci się Boże Narodzenie? – ciągnął Henry. Jego uśmiech mnie uspił, przekonał, że prowadzimy prawdziwą rozmowę, że robię postępy. – Wielka choinka? Cały ten śnieg?

Kiwnęłam głową. Niemal uwierzyłam we własne kłamstwo.

Henry się roześmiał.

– To było na Fidżi. Cały film dzieje się na wyspie. – Henry prychnął, nie potrafiąc opanować śmiechu, i rzucił spojrzenie na Petera, który wyglądał na zażenowanego z mojego powodu, tak jak jesteśmy zażenowani z powodu nieznanego potykającego się na ulicy, jakby między nami nic nigdy się nie zdarzyło.

Popchnęłam motocykl Henry'ego. Właściwie nie oczekiwałam, że się przewróci: może się tylko zakolysze i to wystarczy, żeby Henry na sekundę się przestraszył, rzucił kilka żartobliwych okrzyków niepokoju i zapomniał o moim kłamstwie. Ale ja pchnęłam go z prawdziwą siłą. Motocykl się przewrócił i z impetem walnął w beton.

Henry wpatrywał się we mnie.

– Ty mała suko. – Podbiegł do przewróconego motocykla jak do ulubionego zwierzaka, którego ktoś zastrzelił. Właściwie go objął.

– Nie zepsuł się – powiedziałam głupio.

– Kurwa, kompletnie ci odbiło – mruknął. Przesunął rękami po motocyklu i pokazał Peterowi odłamek pomarańczowego metalu. – Możesz w to uwierzyć?

Kiedy Peter spojrzał na mnie, jego twarz zakrzepła w wyrazie litości, co właściwie było gorsze niż gniew. Byłam jak dziecko zasługujące tylko na okrojone emocje.

W progu pojawiła się Connie.

– Puk, puk – zawołała. Na jej zakrzywionym palcu wisiały klucze. Powiodła wzrokiem po scenie: Henry kucający przy motocyklu, Peter stojący z założonymi rękami.

Henry szorstko się roześmiał.

– Twoja koleżanka to prawdziwa suka – odezwał się, rzucając mi spojrzenie.

– Evie go przewróciła – dodał Peter.

– Pierdolone smarkule – powiedział Henry. – Następnym razem załatwcie sobie opiekunkę, nie kręćcie się przy nas. Kurwa.

– Przepraszam – powiedziałam cicho, ale nikt mnie nie słuchał.

Kiedy Peter pomógł Henry'emu postawić motocykl, uważnie oglądając uszkodzenie – „to tylko kosmetyka”, oznajmił, „naprawimy bez problemu” – ja zrozumiałam, że inne rzeczy się zepsuły. Connie patrzyła na mnie z lodowatym zdziwieniem, jakbym ją zdradziła, i może rzeczywiście tak było. Zrobiłam coś, czego nie powinnyśmy robić. Rzuciłam światło na osobistą słabość, ujawniłam nerwowe zajęcze serce.

Właścicielem Flying A był tłusciuch. Kontuar wbijał mu się w brzuch, gdy oparty na łokciach śledził moje kroki między alejkami, z torebką objającą mi się o uda. Przed nim leżała otwarta gazeta, ale nigdy nie przewracał strony. Otaczała go znużona aura odpowiedzialności, równocześnie biurokratyczna i mitologiczna, jak kogoś skazanego na pilnowanie jaskini przez całą wieczność.

Tamtego popołudnia byłam sama. Connie prawdopodobnie dąsała się w swoim pokoiku, słuchała „Positively 4th Street” urażona, słusznie pobłażliwa wobec siebie. Myśl o Peterze mnie dręczyła – chciałam się prześliznąć po tamtym wieczorze, zamienić wstyd w coś niewyraźnego i dającego się opanować jak plotka o nieznanym osobie. Próbowałam przeprosić Connie i chłopców nadal martwiących się o motocykl jak lekarze o rannych na polu bitwy. Zaoferowałam nawet, że zapłacę za naprawę, i dałam Henry’emu wszystko, co miałam w portmonetce. Osiem dolarów, przyjął je z zaciśniętymi szczękami. Po chwili Connie powiedziała, że najlepiej będzie, jak już sobie pójdę.

Wróciłam po kilku dniach – ojciec Connie otworzył drzwi niemal natychmiast, jakby na mnie czekał. Zwykle pracę w mleczarni kończył po północy, dlatego dziwnie było zastać go w domu.

– Connie jest na piętrze – powiedział.

Na blacie za jego plecami zobaczyłam szklanekę z whisky, wodnistą i łapiącą promienie słońca. Taka byłam skupiona na swoich planach, że nie odebrałam sygnałów o kryzysie panującym w domu, informacji o jego nietypowej obecności.

Connie leżała na łóżku, spódnicę miała zadartą, widziałam krok jej białych majtek, piegowate uda w całej okazałości.

– Ładny makijaż – odezwała się. – Zrobiłaś go tylko dla mnie? – Z powrotem rzuciła się na poduszkę. – Ta wiadomość ci się spodoba. Peter odszedł. Tak, odszedł, nie ma go. Z Pamelą, *quelle* niespodzianka. – Przewróciła oczami, ale imię Pameli wymówiła z perwersyjnym zadowoleniem. Patrząc na mnie.

– Co to znaczy: odszedł? – Panika już zniekształcała mój głos.

– Jest taki samolubny. Tata powiedział, że może się przeprowadzimy do San Diego. Następnego dnia Peter znika. Zabrał trochę ubrań i rzeczy. Myślę, że pojechali do domu jej siostry w Portlandzie. To znaczy jestem prawie pewna, że tam pojechali. – Dmuchnęła na grzywkę. – On to tchórz. A Pamela należy do dziewczyn, co po dziecku robią się tłuste.

– Pamela jest w ciąży?

Spojrzała na mnie.

– A to ci niespodzianka. Wcale cię nie obchodzi, że mogłabym się przeprowadzić do San Diego?

Wiedziałam, że powinnam wyliczyć, dlaczego jest mi bliska, jak byłoby mi

smutno, gdyby wyjechała, ale zahipnotyzował mnie obraz Pameli obok Petera w jego samochodzie zasypiającej z głową na jego ramieniu. Mapy u ich stóp przezroczyście od tłuszczu hamburgerów, tylne siedzenie załadowane ubraniami i jego podręcznikami do mechaniki. To, jak Peter spogląda na Pamelę i na przedziałku widzi białą linię czaszki. Może nawet całuje, poruszony czułością, chociaż ona śpi i nie będzie o tym wiedziała.

– Może on tylko się włóczy – powiedziałam. – No wiesz, przecież może wrócić?

– Pierdol się – odparła Connie. Ona też wyglądała na zaskoczoną tymi słowami.

– A co ja ci zrobiłam? – zapytałam.

Oczywiście obie wiedziałyśmy.

– Myślę, że teraz wolałabym zostać sama – oznajmiła Connie sztywno i twardy wzrok skierowała na okno.

Peter uciekający na północ z dziewczyną, która może nawet nosi jego dziecko – nie dało się wyobrazić usunąć biologii, faktu, że w brzuchu Pameli namnażają się białka. Ale była Connie, jej pulchna postać na łóżku tak znajoma, że mogłabym wykreślić mapę jej piegów, zaznaczyć na ramieniu ślad po ospie. Zawsze była Connie, nagle ukochana.

– Chodźmy do kina albo gdzieś – powiedziałam.

Pociągnęła nosem, studiując bladą krawędź paznokci.

– Petera już nie ma – odparła. – Więc naprawdę nie masz powodu, żeby tu być. Zresztą i tak wyjeżdżasz do szkoły z internatem.

Pomruk mojej desperacji był oczywisty.

– Może byśmy poszły do Flying A?

Przygryzła wargę.

– May mówi, że nie jesteś dla mnie zbyt miła.

May była córką dentysty. Nosila kraciaste spodnie i takie same kamizelki – jak młodszy księgowy.

– Mówiłaś, że May jest nudna.

Connie milczała. Zawsze litowałyśmy się nad May, która była bogata, ale dziwaczna, rozumiałam jednak, że teraz Connie lituje się nade mną, obserwując, jak wzdyham za Peterem, który przypuszczalnie planował zatrzymać się w Portlandzie przez kilka tygodni. Miesiące.

– May jest miła – powiedziała Connie. – Naprawdę miła.

– Wszystkie mogłybyśmy pójść do kina. – Teraz walczyłam o to, by w jakikolwiek sposób się zaczepić, znaleźć bastion chroniący przed latem w samotności.

May nie jest taka zła, powiedziałam sobie – chociaż ze względu na aparat na zęby nie wolno jej było jeść słodczy ani popcornu – dzięki czemu mogłam sobie

wyobrazić naszą trójkę.

– Ona uważa, że jesteś ordynarna – powiedziała Connie. Znowu odwróciła się do okna.

Wpatrywałam się w koronkowe firanki – kiedy miałyśmy dwanaście lat, pomogłam Connie skleić obrąbek. Czekałam za długo, moja obecność w pokoju była oczywistym błędem i stało się jasne, że nie pozostało mi nic innego poza wyjściem, wyjąkaniem przez ściśnięte gardło „do widzenia” ojcu Connie na dole – z roztargnieniem kiwnął głową – i wyprowadzeniem z grzechotem roweru na ulicę.

Czy kiedykolwiek wcześniej czułam się taka samotna? Cały dzień przede mną i nikogo to nie obchodziło? Niemal mogłam sobie wyobrazić ból we wnętrznościach jako rozkosz. Chodzi o to, żeby być zajęta, mówiłam sobie, o płynne spalanie godzin. Przyrządziłam martini, jak uczył mnie ojciec, przelewając wermut przez dłoń i ignorując to, co wychlapało się na barek. Nigdy nie znosiłam kieliszków do martini – nóżka i śmieszny kształt wydawały się żenujące, jak dorośli, którzy zbyt usilnie starają się być dorosłymi, wołałam szklankę na sok ze złotą krawędzią. Zmusiłam się do wypicia. Potem zrobiłam następnego drinka i także wypić. Zabawnie było czuć się swobodnie, rozśmieszał mnie własny dom, bo w przypiływie wesołości uświadomiłam sobie, że meble zawsze były brzydkie, krzesła ciężkie i manieryczne jak rzygacze. Zauważyłam, że powietrze posłodzone jest ciszą, że zasłony są zawsze zaciągnięte. Rozsunęłam je i z wysiłkiem podniosłam okno. Na dworze panował upał – wyobraziłam sobie ojca warczącego, że wpuszczam do środka rozgrzane powietrze – ale i tak zostawiłam okno otwarte.

Mama wyszła na cały dzień, alkohol wspomagał stenografię mojej samotności. Dziwne było to, że mogłam z taką łatwością poczuć się inaczej, że istniał pewny sposób na złagodzenie zarazy mojego smutku. Mogłam pić do chwili, gdy moje problemy wydawały się zwarte i ładne, nabierały kształtu, który dało się podziwiać. Zmusiłam się do polubienia smaku, do oddychania wolno, kiedy było mi niedobrze. Chlusnęłam kwaśnymi wymiotami na pościel, później posprzątałam, aż pozostał tylko ostry, ścięty zapach w powietrzu, który niemal mi się podobał. Przewróciłam lampę i zrobiłam ciemny makijaż bez wprawy, za to z niezwykłą uwagą. Usiadłam przed lustrem matki z różnymi ustawieniami światła: biuro, światło dzienne, zmierzch. Fale barwnego światła, moje rysy nabierające upiornego charakteru i bielejące, gdy przełączałam się przez sztuczny dzień.

Próbowałam czytać fragmenty książek, które lubiłam w dzieciństwie. Rozpuszczoną dziewczynkę wypędzono do podziemnego miasta rządzonego przez gobliny. Gołe kolana w dziecięcej sukience, drzeworyty z mrocznym lasem. Ilustracje ze związaną dziewczyną podniecały mnie tak bardzo, że musiałam dozować sobie czas ich oglądania. Żałowałam, że nie umiem narysować czegoś takiego, czegoś jak przerażające wnętrze cudzego umysłu. Albo twarzy

czarnowłosej, którą widziałam w mieście – przyglądać się jej dostatecznie długo, by stwierdzić, jak rysy ze sobą współgrają. Godziny stracone na masturbacji, twarz przyciśnięta do poduszki, zubożenie na świat. Po pewnym czasie dostawałam bólu głowy, mięśnie mi drżały, nogi były rozdygotane i obolałe. Wilgotne majtki, uda.

Kolejna książka: złotnik przypadkiem wylewa roztopione srebro na rękę. Prawdopodobnie wyglądała na pozbawioną skóry, kiedy rana się zasklepiła i strup odpadł. Ale skóra była, napięta, różowa i świeża, bez włosków czy piegów. Pomyślałam o Williem i jego kikucie, ciepłej wodzie z węża, którą polewał samochód. O kałużach wolno parujących z asfaltu. Ćwiczyłam obieranie pomarańczy, jakby to moja ręka była oparzona do łokcia i bez paznokci.

Śmierć wydawała mi się hołem hotelowym, elegancko urządzonym, dobrze oświetlonym pomieszczeniem, do którego łatwo można wejść i z którego równie łatwo wyjść. Chłopak w miasteczku zastrzelił się w urzędzonej piwnicy, kiedy go przyłapano na sprzedaży fałszywych losów na loterię: nie myślałam o krwawych, mokrych wnętrznościach, tylko o swobodzie tej chwili tuż przed pociągnięciem za spust, jaki czysty i przewietrzony musiał wyglądać świat. Wszystkie rozczarowania, całe zwykłe życie z karami i upokorzeniami zostały zepchnięte na margines jednym uporządkowanym ruchem.

Ależki sklepu wydawały mi się nowe, alkohol nadał moim myślom bezkształtną formę. Ciągłe migotanie światła, stęchłe cytrynowe dropsy w koszu, produkty ułożone w przyjemne grupy fetyszów. Odkręciłam szminkę, żeby ją przetestować na przegubie – czytałam, że tak powinno się robić. Drzwi zagrały swoją pieśń o handlu. Podniosłam głowę. To była czarnowłosa z parku, miała dżinsowe tenisówki i sukienkę z rękawami obciętymi na ramionach. Przeszedł mnie dreszcz podniecenia. Już próbowałam sobie wyobrazić, co jej powiem. Jej nagłe pojawienie się sprawiło, że dzień wydał się wypełniony synchronizacją, ką padania promieni słonecznych na nowo zważony.

Widząc ją ponownie, zrozumiałam, że nie jest piękna. Chodziło o coś innego. Jak w fotografiach córki aktora Johna Hustona. Jej twarz mogła być błędem, ale działał inny proces. Rezultat był lepszy od piękna.

Mężczyzna za ladą się skrzywił.

– Mówiłem ci – powiedział – więcej żadnej z was tu nie wpuszczę. Wynos się.

Dziewczyna posłała mu leniwy uśmiech, unosząc ręce. Dostrzegłam krótkie włoski pod jej pachami.

– Hej, ja tylko próbuję kupić papier toaletowy.

– Okradłyście mnie. – Mężczyzna czerwieniał. – Ty i twoje koleżanki. Nie nosicie butów, biegacie z brudnymi stopami. Próbujecie zbić mnie z tropu.

Przeraziłabym się, będąc celem jego gniewu, ale dziewczyna była spokojna.

Nawet żartowała.

– Nie wydaje mi się, że to prawda. – Przekrzywiła głowę. – Może to był ktoś inny.

Skrzyżował ręce na piersiach.

– Pamiętam cię.

Twarz dziewczyny uległa zmianie, w jej oczach coś stwardniało, ale nadal się uśmiechała.

– Dobra – powiedziała. – Niech ci będzie.

Spojrzała na mnie chłodno, z dystansem. Jakby ledwo mnie widziała. Ogarnęło mnie pragnienie: zaskoczyłam samą siebie tym, jak bardzo nie chciałam, żeby zniknęła.

– Wyjdź ze sklepu – powiedział mężczyzna. – Idź.

Na odchodnym pokazała mu język. Tylko czubek, jak zabawny kotek.

Wahałam się jedynie przez chwilę, potem poszłam za nią, ale ona szybkim krokiem już przecinała parking. Zerwałam się do biegu.

– Hej – zawołałam.

Nie zatrzymała się.

Ponownie zawołałam, tym razem głośniej, i przystanęła. Pozwoliła, żebym ją dogoniła.

– Co za palant – powiedziałam. Musiałam lśnić jak jabłuszko. Policzki zaczerwienione od na poły pijanego wysiłku.

Spojrzała w kierunku sklepu.

– Tłusty skurwysyn – mruknęła. – Nie mogę nawet kupić papieru toaletowego.

Najwyraźniej przyjęła wreszcie do świadomości moje istnienie, długo przyglądała się mojej twarzy. Domyślałam się, że uważa mnie za smarkatą. Że moją bluzkę z żabotem uznała za modną. Chciałam zaimponować jej czymś więcej niż tym. Złożyłam propozycję, zanim w gruncie rzeczy o niej pomyślałam.

– Ja go zwędzę – powiedziałam głosem nienaturalnie wysokim. – Papier toaletowy. Łatwizna. Ciągle coś tam kradnę.

Zastanawiałam się, czy mi uwierzyła. Musiało rzucać się w oczy, jak nieprzekonująco skłamałam. Może jednak to szanowała. Desperację mojego pragnienia. A może chciała się przekonać, co będzie dalej. Bogata dziewczynka smakująca przestępczość w białych rękawiczkach.

– Na pewno? – zapytała.

Wzruszyłam ramionami; serce mi waliło. Jeśli było jej mnie żal, ja tego nie widziałam.

Mój niespodziewany powrót ożywił mężczyznę za ladą.

– Znowu tu?

Nawet gdybym rzeczywiście planowała coś ukraść, byłoby to niemożliwe.

Wałęsałam się po alejkach, dokładając starań, by zetrzeć z twarzy wszelki ślad występnego błysku, ale on nie odwrócił wzroku. Gapił się, aż wreszcie złapałam papier i zniosłam go do kasy, zawstydzona tym, jak łatwo wpadłam w koleiny nawyku. Oczywiście, że niczego nie zamierzałam ukraść. To wcale nie miało się zdarzyć.

Zdenerwował się, nabijając cenę.

– Taka miła dziewczyna jak ty nie powinna się włóczyć z takimi jak one – powiedział. – Straszne z nich brudasy. I ten facet z czarnym psem. – Wyglądał na zboląłego. – Nie w moim sklepie.

Przez popalcowane okulary widziałam dziewczynę kręcącą się po parkingu. Dłonią przysłaniała oczy. Nagłe i niespodziewane zrzącenie losu: czekała na mnie.

Kiedy zapłaciłam, mężczyzna długo mi się przyglądał.

– Jesteś jeszcze dzieckiem. Dlaczego nie wrócisz do domu?

Do tego momentu było mi go żal.

– Nie potrzebuję torby – powiedziałam i wepchnęłam papier do torebki. Milczałam, gdy wydawał mi resztę, oblizując wargi, jakby chciał usunąć nieprzyjemny smak.

Na mój widok dziewczyna się ożywiła.

– Masz?

Kiwnęłam głową. Pociągnęła mnie za róg, ponagłając do pośpiechu. Niemal mogłam uwierzyć, że naprawdę coś ukradałam, adrenalina rozjaśniała moje żyły, gdy podsunęłam jej torebkę.

– Ha – powiedziała, zerkając do środka. – Dobrze mu tak, dupkowi. Było łatwo?

– Całkiem. Zresztą on kompletnie się pogubił. – Emocjonowała mnie ta nasza zmowa, to, jak stałyśmy się zespołem. W miejscu, gdzie guziki sukienki się odpięły, widać było trójkąt jej brzucha. Z jaką łatwością emanowała rodzajem niedbałej seksualnej aury, jakby ubranie narzucono na ciało, na którym pot jeszcze nie ostygł.

– Jestem Suzanne – powiedziała. – Tak przy okazji.

– Evie. – Wyciągnęłam rękę.

Suzanne roześmiała się w sposób, który mi uświadomił, że podawanie sobie dłoni jest rzeczą niewłaściwą, pustym symbolem z normalnego świata. Zarumieniłam się. Bez zwykłych uprzejmych gestów i form trudno było się połapać, jakie zachowanie jest właściwe. Nie wiedziałam, co zajęło ich miejsce. Zapadło milczenie: z wysiłkiem próbowałam wypełnić tę ciszę.

– Chyba niedawno cię widziałam. Koło Hi-Ho?

Nie odpowiedziała, nie dała mi nic, czego mogłabym się chwycić.

– Byłaś z innymi dziewczynami? – dodałam. – I przyjechał autobus?

– Ach. – Twarz jej się ożywiła. – Tak, ten idiota był kompletnym wariatem.
– Odprężyła się na wspomnienie tamtej chwili. – Muszę trzymać inne dziewczyny w ryzach, bo w przeciwnym wypadku za bardzo by przesadziły i by nas złapano.

Obserwowałam Suzanne z zainteresowaniem, które musiało być oczywiste: pozwalała mi patrzeć na siebie bez śladu skrępowania.

– Zapamiętałam twoje włosy – powiedziałam.

To sprawiło jej przyjemność. Z roztargnieniem dotknęła końcówek.

– Nigdy ich nie obcinam.

Później się dowiedziałam, że Russell im tego zabronił.

Suzanne przycisnęła papier do piersi z nagłym wyrazem dumy.

– Mam ci zapłacić?

– Nie – odparłam. – Przecież to mnie nic nie kosztowało.

– Wielkie dzięki – powiedziała z widoczną ulgą. – Mieszkasz gdzieś tutaj?

– Całkiem blisko. Z mamą.

Suzanne kiwnęła głową.

– Na jakiej ulicy?

– Morning Star Lane.

Mruknęła zaskoczona.

– Elegancko.

Widziałam to wyraźnie, coś dla niej znaczyło, że mieszkam w dobrej części miasta, choć nie potrafiłam sobie wyobrazić, co by to mogło być poza mglistą niechęcią do bogatych, którą odczuwali wszyscy młodzi ludzie. Upychający zamożnych, media i rząd do jednego bezkształtnego naczynia zła jako sprawców wielkiego przekrętu. Dopiero się uczyłam, jak przepraszać tonem przekazywać określone informacje. Kpić z samej siebie, zanim zrobią to inni.

– A ty?

Zatrzepotała palcami.

– No wiesz – powiedziała – sporo się u nas dzieje. Tylko że kupa ludzi w jednym miejscu – podniosła torbę – oznacza mnóstwo tyłków do wytarcia. Aktualnie brakuje nam forsy, ale jestem pewna, że to niedługo się zmieni.

My. Dziewczyna była częścią *nas*. Zazdrościłam jej swobody, pewności, dokąd pójdzie z parkingu. Do tych dwóch, z którymi widziałam ją w parku, do innych, kimkolwiek byli. Do ludzi, którzy zauważą jej nieobecność i okrzykiem powitają jej powrót.

– Nic nie mówisz – dodała po chwili Suzanne.

– Przepraszam. – Siłą woli powstrzymałam się od podrapania bąbli po ukąszeniach komarów, chociaż skóra okropnie mnie swędziała.

Szukałam tematu do rozmowy, ale wszystkie ewentualności dotyczyły rzeczy, o których nie mogłam mówić. Nie powinnam wspominać, jak często myślałam o niej od tamtego dnia. Nie powinnam wspominać, że nie mam

przyjaciół, że wysyłają mnie do szkoły z internatem, tego wiecznego miasteczka niechcianych dzieci. Że dla Petera nie jestem nawet przelotnym obrazem.

– Nie szkodzi. – Machnęła ręką. – Ludzie są, jacy są, rozumiesz? Wiedziałam o tym, kiedy cię zobaczyłam – ciągnęła. – Jesteś osobą myślącą. Kroczysz własną drogą, zamkniętą w umyśle.

Nie byłam przyzwyczajona do tego rodzaju bezpośredniej uwagi, zwłaszcza ze strony dziewczyny. Zwykle tak się przeproszało za absolutne skupienie się na tym chłopaku, który akurat był pod ręką. Wyobraziłam sobie, że jestem dziewczyną przez innych postrzeganą jako myśląca. Suzanneprzestąpiła z nogi na nogę: domyśliłam się, że to preludium do odejścia, ale nie potrafiłam znaleźć sposobu na przedłużenie naszego spotkania.

– No tak – powiedziała. – To po mnie. – Głową wskazała samochód zaparkowany w cieniu. To był rolls-royce okryty całunem kurzu. Widząc moją konsternację, uśmiechnęła się. – Pożyczamy go – dodała. Jakby to wszystko wyjaśniało.

Patrzyłam, jak odchodzi, i nie próbowałam jej zatrzymać. Nie chciałam być aż tak chciwa: powinnam się cieszyć, że w ogóle coś dostałam.

Matka znowu umawiała się na randki. Najpierw z mężczyzną, który przedstawił się jako Vismaya i ciągle masował jej czaszkę zgiętymi jak szpony palcami. Który mi powiedział, że urodziny na zbiegu Wodnika i Ryb oznaczają, iż moje dwa motta to „wierzę” i „wiem”.

– Które? – zapytał Vismaya. – Wierzysz, że wiesz, czy wiesz, że wierzysz?

Następny był pilot latający na małych srebrnych samolotach. Powiedział, że przez bluzkę widać mi sutki. Oznajmił to wprost, jakby to była pomocna informacja. Malował pastelami portrety rdzennych Amerykanów i chciał, żeby moja matka pomogła mu otworzyć muzeum jego prac w Arizonie. Kolejny, deweloper z Tibourn, zabierał nas na chińszczyznę. Ciągle mnie namawiał, żebym spotkała się z jego córką. Powtarzał, że z miejsca między nami zaiskrzy. A jego córka miała jedenaście lat. Connie by się śmiała, analizując sposób, w jaki jego zęby oklejały się ryżem, ale nie rozmawiałam z nią od tamtego dnia u niej w domu.

– Mam czternaście lat – oznajmiłam.

Spojrzał na matkę, która kiwnęła głową.

– Oczywiście – powiedział, w jego oddechu była nuta sosu sojowego. – Teraz widzę, że właściwie jesteś dorosła.

– Przepraszam – powiedziała mama bezgłośnie, ale kiedy mężczyzna się odwrócił, by nakarmić ją obślizgłym z wyglądu strąkiem groszku, posłusznie otworzyła usta jak ptak.

Litość, którą czułam do matki w takich sytuacjach, była nowa i niewygodna, choć równocześnie miałam wrażenie, że zasłużyłam na obnoszenie się z nią – to był ponury prywatny obowiązek, coś jak choroba.

Na rok przed rozwodem rodzice urządzili cocktail party. To był pomysł ojca, przed jego odejściem matka nie należała do osób towarzyskich, na imprezach i przyjęciach wyczuwałam w niej głęboki niepokój, falę dyskomfortu siłą woli przekształcaną w wymuszony uśmiech. Chciał w ten sposób uczcić inwestora, którego znalazł. Myślę, że po raz pierwszy dostał pieniądze od kogoś innego niż moja matka, i w wywołanych tym emocjach zrobił się jeszcze większy, pił przed pojawieniem się gości. Włosy miał nasycone gęstym ojcowskim zapachem Vitalisa, oddech karbowany alkoholem.

Mama przyrządziła żeberka po chińsku z keczupem, połyskiwały, jakby je polakierowano. Oliwki z puszki, orzechy w maśle. Paluszki serowe. Mulisty deser z mandarynek, przepis znalazła w „McCall’s”. Zanim przyszli goście, zapytała mnie, czy wygląda dobrze. Wyglądając przy tym adamszkową spódnicę. Pamiętam, że jej pytanie zbiło mnie z tropu.

– Bardzo ładnie – odparłam, czując dziwny niepokój. Pozwolono mi na odrobinę sherry w kieliszku z różowego rżniętego szkła: polubiłam jego smak

i ukradkiem wypiałam drugi kieliszek.

Gośćmi byli głównie przyjaciele ojca. Zaskoczyła mnie rozległość jego innego życia, które oglądałam wyłącznie z obrzeży. Bo ci ludzie tutaj najwyraźniej go znali, mieli jego obraz uzupełniany przy lunchach, wizytach w Golden Gate Fields i dyskusjach o Sandym Koufaxie. Matka nerwowo krążyła koło bufetu: wyłożyła pałeczki, ale nikt z nich nie korzystał, i widziałam, że to ją rozczarowało. Usiłowała do nich przekonać mocno zbudowanego mężczyznę i jego żonę, oboje kręcili głowami, on zażartował, ale go nie usłyszałam. Po twarzy mamy przemknął desperacki wyraz. Ona też piła. Przyjęcie należało do rodzaju, kiedy wszyscy dość szybko byli pijani, rozmowy tłumiła wspólna mgła. Wcześniej jeden z przyjaciół ojca zapalił jointa i zobaczyłam, jak na twarzy mamy dezaprobata ustępuje miejsca cierpliwej pobłażliwości. Wyraźne linie stawały się rozmazane. Żony uniosły głowy, oglądając samolot łukiem zmierzający na lotnisko SFO. Ktoś wrzucił do basenu szklankę. Widziałam, jak wolno opada na dno. A może to była popielniczka.

Krążyłam wokół gości, czując się, jakbym była o wiele młodsza, pragnienie niewidzialności łączyło się z chęcią uczestnictwa równoległego. Do szczęścia wystarczało mi wskazywanie drogi do łazienki, kiedy mnie o to pytano, i zapakowane do serwetki orzechy w maśle, które jeden po drugim jadłam nad basenem i słony tłuszcz oblepiał mi palce – wolność bycia tak młodą, nikt niczego ode mnie nie oczekiwał.

Nie widziałam Tamar od dnia, kiedy odebrała mnie ze szkoły, i pamiętam, że jej przyjście mnie rozczarowało – teraz, z nią jako świadkiem, będę musiała zachowywać się jak dorosła. Był z nią trochę starszy mężczyzna. Przedstawiała go, całując kogoś w policzek, ściskając rękę. Wyglądało na to, że wszyscy ją znają. Byłam zazdrosna na widok dłoni chłopaka Tamar spoczywającej na jej plecach, na tym skrawku skóry pomiędzy spódnicą a bluzką. Chciałam, żeby zobaczyła, że piję; przepchałam się do baru wtedy, gdy ona to robiła, i nalałam sobie sherry.

– Podoba mi się twój strój – powiedziałam, z trudem wyduszając słowa z piekącego przetyku. Stała plecami do mnie i nie słyszała mnie. Powtórzyłam to zdanie i drgnęła.

– Evie – powiedziała miło – przestraszyłaś mnie.

– Przepraszam. – Czułam się głupio, tępo w prostej sukience. Jej kolorowy strój wyglądał na nowy, falujące fioletowe, zielone i czerwone romby.

– Zabawna impreza – powiedziała, wodząc spojrzeniem po tłumie.

Zanim zdążyłam pomyśleć o ripociście, o błyskotliwym żarcie na dowód, że wiem, jak głupie są pochodnie tiki, podeszła do nas matka. Szybko odstawiłam kieliszek na stół. Nienawidziłam tego, jak się czułam: swoboda sprzed przybycia Tamar przekształciła się w bolesną świadomość każdego przedmiotu w moim domu, każdego szczegółu dotyczącego rodziców, jakbym za to wszystko ponosiła

odpowiedzialność. Byłam zażenowana rozkloszowaną spódnicą matki, która w porównaniu z ubraniem Tamar wydawała się niemodna, żarliwym sposobem, w jaki matka powitała młodszą kobietę. Jej szyją pokrywającą się plamami ze zdenerwowania. Wymknęłam się, podczas gdy one zajęte były uprzejmą pogawędką.

Walcząca z nudnościami, spieczona przez dyskomfort, chciałam siedzieć w jednym miejscu bez konieczności odzywiania się do kogokolwiek, bez konieczności śledzenia wzroku Tamar ani oglądania, jak matka używa pałeczek, wesoło oznajmiając, że to nie jest takie trudne, chociaż w tej samej chwili kawałek mandarynki zsunął się jej z powrotem na talerz. Żałowałam, że nie ma ze mną Connie, wtedy jeszcze się przyjaźniłyśmy. Moje miejsce nad basenem zajął tłumek żon, z drugiego końca podwórza dobiegał dudniący śmiech ojca, otaczający go ludzie także się śmiali. Niezgrabnie obciągnęłam sukienkę, tęskniąc za ciężarem szklanki w dłoniach. W pobliżu stał chłopak Tamar i jadł żeberka.

– Jesteś córką Carla – powiedział – tak?

Pamiętam, jak pomyślałam, że to dziwne, że się rozdzielili z Tamar, że on stoi tu sam, systematycznie opróżniając talerz. Dziwne było nawet to, że chciał ze mną rozmawiać. Kiwnęłam głową.

– Ładny dom – powiedział z pełnymi ustami, wargami czerwonymi i wilgotnymi od żeberka. Był przystojny, widziałam, ale miał w sobie coś z kreskówki. Zadarty nos. Dodatkowa fałda skóry pod brodą. – Mnóstwo ziemi – dodał.

– To był dom moich dziadków.

Oczy mu drgnęły.

– Słyszałem o niej. O twojej babce. Oglądałem ją, kiedy byłem mały. – Do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jest pijany. Język pozostał mu w kąciку ust. – Ten epizod, kiedy znajduje aligatora w fontannie. Klasyka.

Byłam przyzwyczajona do ludzi z sympatią mówiących o babce. Do tego, jak lubili okazywać swój podziw, mówić mi, że dorastali z nią na ekranie telewizora, obecną w salonie niczym inny, lepszy członek rodziny.

– Ma sens – powiedział chłopak, rozglądając się dokoła. – Że to jej dom. Bo twojego staruszka nie byłoby na to stać, wykluczone.

Zrozumiałam, że obraża mojego ojca.

– To takie dziwne. Wytarł usta dłonią. – To wszystko, co twoja matka znosi.

Twarz musiałam mieć pustą: palcami wskazywał w kierunku Tamar, nadal stojącej przy barze. Dołączył do niej ojciec. Matki nie było w zasięgu wzroku. Bransoletki Tamar hałasowały, kiedy machała szklanką. Ona i ojciec po prostu rozmawiali. Nic się nie działo. Nie pojmowałam, dlaczego jej chłopak uśmiecha się tak niemiło i czeka, aż coś powiem.

– Twój ojciec bzyka wszystko, co się da – powiedział.

– Mogę zabrać pański talerz? – zapytałam, zbyt oszołomiona, żeby się wzdrygnąć.

Tego nauczyłam się od matki: uciekać się do grzeczności. Ucinać ból uprzejmym gestem. Jak Jackie Kennedy. Dla tamtego pokolenia to była cnota, ta zdolność pokonania dyskomfortu, zdławienia go ceremonialnością. Teraz wyszła z mody i dostrzegłam coś na kształt pogardy, kiedy podał mi talerz. Chociaż może to sobie wyobraziłam.

Przyjęcie skończyło się po zmroku. Kilka pochodni tiki nadal się paliło, wysyłając rozmazane płomienie w granatową noc. Jaskrawe, za wielkie samochody toczyły się po podjeździe, ojciec wykrzykiwał pożegnania, matka zbierała serwetki i strzepywała pestki oliwek, skąpane w ślinie innych ludzi, na otwartą dłoń. Ojciec od nowa puścił płytę; wyrzesałam z okna sypialni i zobaczyłam, że próbuje namówić mamę na taniec.

– Będę patrzył w księżyc – śpiewał. Odległe oblicze księżycy skupiało w tamtych czasach tak wiele pragnień.

Wiedziałam, że powinnam nienawidzić ojca. Ale ja tylko czułam się głupio. Zakłopotana – nie z jego powodu, tylko z powodu matki. Wyglądającej kloszową spódnicę, pytającej mnie, jak wygląda. Tego, jak czasami zostawały jej drobinki jedzenia na zębach i zalewała się rumieńcem, gdy jej o tym mówiłam. Tych wszystkich okazji, kiedy stała w oknie, bo ojciec się spóźniał, i próbowała odszyfrować nowe znaczenie pustego podjazdu.

Musiała wiedzieć, co się dzieje – na pewno musiała wiedzieć – ale i tak go pragnęła. Jak Connie skacząca po piwo ze świadomością, że wygląda głupio. Nawet chłopak Tamar jedzący z gorączkową, nieokiełznaną łapczywością. Żuł szybciej, niż umiał przełknąć. On wiedział, jak głód może cię obnażyć.

Skutki alkoholu ustępowały. Byłam śpiąca i pusta, nieprzyjemnie wrzucona z powrotem w siebie. Pogardałam wszystkim: pokojem z resztkami dzieciństwa, koronkową obwódką biurka. Plastikowym adapterem z grubą bakelitową rączką, wilgotnym z wyglądu workiem do siedzenia, który kleił mi się do nóg. Przyjęciem z jego ochoczymi *hors d'oeuvres*, mężczyznami w hawajskich koszulach, tym krawieckim imprezowym wrzaskiem. Wydawało się, że wszystko to składa się na wyjaśnienie, dlaczego ojciec miałby chcieć czegoś więcej. Wyobraziłam sobie Tamar z gardłem owiniętym wstążką, leżącą na dywanie w jakimś za małym mieszkaniu w Palo Alto. Ojciec – przygląda się jej? siedzi na krześle? Perwersyjne napięcie wywołane różową szminką Tamar. Chciałam jej nienawidzić, ale nie potrafiłam. Nie potrafiłam nawet nienawidzić ojca. Została tylko matka, która pozwoliła, by do tego doszło, która była miękka i podatna jak ciasto. Dawała pieniądze, co wieczór gotowała kolację, i nic dziwnego, że ojciec zapragnął odmiany – ważnych opinii Tamar, jej życia jak programu telewizyjnego o lecie.

To był okres, kiedy wyobrażałam sobie zamażpójście w prosty, życzeniowy

sposób. Ktoś przysiągł, że się będzie tobą opiekował, że zauważy, jeśli będziesz smutna, zmęczona albo zdegustowana jedzeniem smakującym chłodem lodówki. Ktoś obiecał, że jego życie będzie biegło równoległe do twojego. Matka musiała wiedzieć, a jednak została. I co to mówiło o miłości? Nigdy nie będzie bezpieczna – wszystkie te żałobne refreny piosenek, które rozpaczały: *nie kochałeś mnie tak, jak ja kochałam ciebie*.

A rzecz najbardziej przerażająca: niemożliwością było wyśledzenie źródła, momentu, w którym zachodziła zmiana. Widok kobiecych pleców w mocno wykrojonej sukience mieszał się ze świadomością, że w sąsiednim pokoju jest żona.

Kiedy muzyka ucichła, wiedziałam, że matka przyjdzie powiedzieć mi dobranoc. Tego się obawiałam: konieczności zauważenia, jak jej loki zwiędły, jak wargi otacza mgiełka szminki. Słyszac pukanie, pomyślałam, żeby udac, że śpię. Ale paliło się światło, drzwi lekko się uchylily.

Matka się skrzywiła.

– Jeszcze jesteś ubrana.

Zignorowałabym to albo zbyła żartem, ale nie chciałam sprawiać jej bólu. Nie wtedy. Usiadłam.

– Było miło, prawda? – powiedziała. Oparła się o framugę. – Żeberka wyszły dobrze, tak mi się wydaje.

Może naprawdę pomyślałam, że matka chciałaby wiedzieć. A może pragnęłam, żeby mnie uspokoiła, zaoferowała kojące dorosłe podsumowanie.

Odchrząknęłam.

– Coś się stało.

Poczułam, jak się spina.

– Tak?

Myśląc o tym później, wzdrygałam się. Już musiała zdawać sobie sprawę, co się szykuje. Musiała siłą woli nakazywać mi milczenie.

– Tata rozmawiał. – Wróciłam do swoich butów, ze skupieniem odpinałam klamrę.

Wypuściła powietrze z płuc.

– I co? – Uśmiechała się lekko. To był swobodny uśmiech.

Byłam zdezorientowana: musiała się orientować, o co mi chodzi.

– To wszystko – powiedziałam.

Matka patrzyła na ścianę.

– Za to deser zupełnie się nie udał. Następnym razem zrobię makaroniki z kokosem. Te mandarynki trudno było jeść.

Nie odzywałam się, wstrząs rozbudził we mnie czujność. Zsunęłam buty i ustawiłam równo pod łóżkiem. Mruknięłam „dobranoc”, nadstawiłam twarz do całusa.

– Mam zgasić światło? – zapytała, przystając w progu.

Pokręciłam głową. Delikatnie zamknęła drzwi. Jakże była skrupulatna, przekręcając gałkę tak, że zapadka wskoczyła na miejsce. Wpatrywałam się w swoje czerwone stopy z zarysem butów. Myślałam, że wyglądają na nieproporcjonalne, obce i udręczone. Kto kiedykolwiek pokocha dziewczynę, skoro jej stopy czasem takie są?

O mężczyznach, z którymi się umawiała po rozstaniu z ojcem, matka mówiła z desperackim optymizmem człowieka odrodzonego. Widziałam, jak ciężkiej pracy to wymagało: rzeczywiście ćwiczyła na ręczniku kąpielowym w salonie, trykot znaczyły smugi potu. Lizała wnętrze dłoni i wachała, by sprawdzić swój oddech. Wychodziła z mężczyznami, z szyjami naznaczonymi punktami w miejscu, gdzie się zacięli przy goleniu, którzy niezgrabnie gmerali przy książeczce czekowej i wyglądali na wdzięcznych, kiedy mama wyjmowała swoją kartę Air Travel. Znajdowała takich mężczyzn i najwyraźniej jej to wystarczało.

W czasie kolacji z tymi mężczyznami wyobrażałam sobie Petera. Śpiącego z Pamelą w suterenie w nieznanym mieście w Oregonie. Zazdrość dziwnie się mieszała z troską o tych dwoje, o dziecko rosnące w brzuchu Pameli. Rozumiałam, że jest ograniczona liczba dziewcząt, które przeznaczono do miłości. Jak Suzanne wywołująca taką reakcję przez samo swoje istnienie.

Matka najbardziej lubiła poszukiwacza złota. Tak przynajmniej ze śmiechem przedstawił się sam Frank, w kąciu ust miał kropelkę śliny.

– Miło cię poznać, kochana – powiedział pierwszego wieczoru, a jego wielkie ramię przyciągnęło mnie do niezgrabnego uścisku.

Matka była roztrzępana i lekko wstawiona, jakby w świecie, w którym żyła, samородki złota kryły się w strumieniach albo u stóp klifów, łatwe do zebrania jak brzoskwinie.

Wcześniej słyszałam, jak matka mówiła Sal, że Frank nadal jest żonaty, ale to nie potrwa długo. Nie wiedziałam, czy to prawda. Frank nie sprawiał wrażenia faceta, który opuszcza rodzinę. Miał koszulę z kremowymi guzikami i piwoniami wyhaftowanymi grubą czerwoną nicią na ramionach. Matka zachowywała się nerwowo, muskała włosy, wsuwała paznokieć między przednie zęby. Wodziła spojrzeniem po naszych twarzach.

– Evie jest bardzo bystra – powiedziała. Za głośno. Ale i tak miło było to usłyszeć. – Naprawdę rozkwitnie w Catalinie. – To była szkoła z internatem, do której miałam wyjechać, chociaż wrzesień wydawał się oddalony o lata.

– Wielki rozum – huknął Frank. – Tam nie może się nie udać, co?

Nie wiedziałam, czy żartuje czy nie, i wyglądało na to, że matka też tego nie wie.

W milczeniu jedliśmy potrawkę w jadalni, wybierałam kawałki tofu i budowałam z nich stos na talerzu. Patrzyłam, jak matka podejmuje decyzję, żeby

nic nie powiedzieć.

Frank był przystojny, chociaż miał dziwną koszulę, za bardzo wymyślną i kobiecą, i rozśmieszał mamę. Nie dorównywał urodą mojemu ojcu, ale i tak zwracał uwagę. Matka ciągle wyciągała rękę i opuszkami palców dotykała jego ramienia.

– Czternaście lat, co? – powiedział Frank. – Założę się, że masz tłumy chłopaków.

Dorośli zawsze tak się ze mną droczyli, ale to był wiek, kiedy temat przestał być żartem, ten pomysł, że chłopcy mogą naprawdę mnie chcieć.

– Och, stada – odparłam i mama zrobiła się czujna, słysząc chłód w moim głosie.

Frank chyba tego nie zauważył, uśmiechał się do niej szeroko, klepał ją po dłoni. Ona też się uśmiechała, tym uśmiechem podobnym do maski, jej oczy nad stołem przeskakiwały od niego do mnie.

Frank miał kopalnię złota w Meksyku.

– Nie ma tam żadnych regulacji – powiedział. – Tania siła robocza. To właściwie pewniak.

– Ile złota pan znalazł? – zapytałam. – To znaczy na razie.

– Ha, kiedy zainstalujemy cały sprzęt, będę znajdował tony.

Pił z kieliszka, jego palce zostawiały zjawy tłuszczu. Matka pod jego wzrokiem zmiękła, jej ramiona się rozluźniły, usta rozchyliły. Tamtego wieczoru wyglądała młodo. Ogarnęło mnie dziwaczne macierzyńskie uczucie do niej i dyskomfort sprawił, że się skrzywiłam.

– Może was tam zabiorę – powiedział Frank. – Obie. Na małą wycieczkę do Meksyku. Kwiaty we włosach. – Cicho beknął, przełknął i mama się zarumieniła, wino w jej kieliszku się zakolysało.

Matka lubiła tego człowieka. Robiła te swoje głupie ćwiczenia, żeby wyglądać dla niego pięknie bez ubrania. Była wypielęgnowana i naoliwiona, jej twarz łaknęła miłości. To była bolesna myśl, że moja matka czegoś potrzebowała. Spojrzałam na nią, chcąc się uśmiechnąć, pokazać jej, że we dwie jest nam dobrze. Ale ona na mnie nie patrzyła. Całą uwagę skupiła na Franku, czekając, aby odebrać to, co on zechce jej dać. Pod stołem zacisnęłam dłonie w pięści.

– A co z pańską żoną? – zapytałam.

– Evie – syknęła matka.

– W porządku – powiedział Frank, podnosząc rękę. – To słuszne pytanie. – Potarł mocno oczy, odłożył widelec. – Sprawa jest skomplikowana.

– Nie aż tak – odparłam.

– Jesteś arogancka – powiedziała matka.

Frank położył dłoń na jej ramieniu, ale ona już wstała, żeby zebrać naczynia, jej twarz zastygła w wyrazie ponurej koncentracji, i Frank podał jej swój talerz

z zatroskanym uśmiechem. Wytarł suche dłonie w dzinsy. Nie patrzyłam na niego ani na nią. Skubałam skórę przy paznokciu, szarpiąc tak długo, aż z satysfakcją ją oddarłam.

Po wyjściu mamy Frank odchrząknął.

– Nie powinnaś tak bardzo gniewać mamy – powiedział. – Jest miła.

– Nie pański interes. – Palec trochę mi krwawił; przycisnęłam skórę, by poczuć pieczenie.

– Hej. – Głos miał swobodny, jakby próbował być moim przyjacielem. – Łapię. Chcesz się wydostać z domu. Zmęczona mieszkaniem ze starą matką, co?

– Żalotne – powiedziałam bezgłośnie.

Nie zrozumiał, wiedział tylko, że nie zareagowałam tak, jak chciał.

– Obgryzanie paznokci to brzydki zwyczaj – oznajmił zapalczywie. – Brzydki, brudny zwyczaj brudnych ludzi. Jesteś brzydką osobą?

W progu pojawiła się matka. Byłam przekonana, że to usłyszała i teraz wie, że Frank nie jest sympatycznym człowiekiem. To ją rozczaruje, ale postanowiłam, że będę dla niej miłsza, bardziej pomogę w pracach domowych.

Ona tylko zmarszczyła twarz.

– Co się dzieje?

– Mówiłem Evie, że nie powinna obgryzać paznokci.

– Ja też jej to powtarzam – powiedziała matka głosem rozdygotanym, ze ściśniętymi wargami. – Może się rozchorować, połykając zarazki.

Krażyłam wokół ewentualności. Matka po prostu zwleka. Zastanawia się nad najlepszym sposobem usunięcia Franka z naszego życia, powiedzenia mu, że jestem wyłącznie jej sprawą. Ale ona usiadła i pozwoliła, żeby Frank pogładził ją po ręce, nawet się ku niemu nachyliła, i zrozumiałam, co będzie dalej.

Kiedy Frank wyszedł do łazienki, myślałam, że usłyszę coś na kształt przeprosin.

– Ta bluzka jest za ciasna – szepnęła ostro. – W twoim wieku to niestosowne.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć.

– Porozmawiamy jutro – dodała. – Lepiej w to uwierz. – Słyszac kroki wracającego Franka, posłała mi ostatnie spojrzenie i wstała. Zostawili mnie samą przy stole. Górne światło na moich ramionach i dłoniach było surowe i brzydkie.

Poszli usiąść na ganku, matka trzymała tam niedopałki papierosów w metalowej syrenie. Z sypialni słyszałam ich chwiejną rozmowę długo w noc, prosty i bezmyślny śmiech matki. Dym z ich papierosów sączył się przez siatkę na oknie. Noc gotowała się we mnie. Matka myślała, że życie jest proste jak zbieranie złota z ziemi, jakby rzeczy mogły się w taki sposób dla niej układać. Nie było Connie, która utemperowałaby moje przygnębienie, tylko dusząca stałość mojej własnej osoby, ten otępiały i rozpaczliwy towarzysz.

Później na wiele sposobów rozgryzałam matkę. Piętnaście lat z moim ojcem pozostawiło ogromne luki w jej życiu, które uczyła się wypełniać, jak ofiary udaru uczą się na nowo słów oznaczających samochód, stół i ołówki. Nieśmiało patrzyła na siebie w wyrocznie lustra, krytyczna i pełna nadziei jak nastolatka. Wciągała brzuch, żeby zapiąć nowe dzinsy.

Rano weszłam do kuchni i matka siedziała przy stole, miska z herbatą już opróżniona, pozostał tylko osad na dnie. Usta miała zaciśnięte, oczy wyrażające zranienie. Minęłam ją bez słowa, otworzyłam torebkę kawy mielonej, fioletowej i mocnej, którą matka zastąpiła Sankę, ulubiony gatunek ojca.

– Co to było? – Usiłowała zachować spokój, widziałam wyraźnie, ale słowa z pośpiechem padały z jej ust.

Wsypałam kawę do kawiarki, zapaliłam palnik. Zachowując buddyjski spokój na twarzy, beztrudnie zajmowałam się swoimi sprawami. To była moja najskuteczniejsza broń i wyczuwałam, jak matka się denerwuje.

– No tak, teraz nic nie mówisz – powiedziała. – Wczoraj wieczorem byłaś bardzo niegrzeczna wobec Franka.

Nie odezwałam się.

– Chcesz, żebym była nieszczęśliwa? – Wstała z krzesła. – Mówię do ciebie.
– Wyciągnęła rękę, żeby wyłączyć piec.

– Hej – zaprotestowałam, ale jej mina kazała mi się zamknąć.

– Dlaczego nie pozwalasz mi niczego mieć? – zapytała. – Chociaż jednej drobnej rzeczy.

– On od niej nie odejdzie. – Przestraszyłam się intensywności własnych odczuć. – Nigdy z tobą nie będzie.

– Nie wiesz nic o jego życiu – powiedziała. – Zupełnie nic. Myślisz, że taka jesteś mądra.

– O tak – odparłam. – Złoto. Jasne. Wielki sukces. Jak tata. Założę się, że poprosił cię o pieniądze.

Matka się wzdrygnęła.

– Staram się – powiedziała. – Zawsze się starałam, ale ty nie. Popatrz na siebie. Nic nie robisz. – Kręciła głową, mocniej otulając się szlafrokiem. – Sama się przekonasz. Życie szybko się o ciebie upomni i wiesz co, utkniesz z osobą, którą jesteś. Bez ambicji, bez determinacji. W Catalinie masz prawdziwą szansę, ale musisz spróbować. Wiesz, co moja matka robiła w twoim wieku?

– Ty nigdy nic nie robiłaś! – Coś się we mnie wywróciło. – Tylko opiekowałaś się tatą. A on odszedł. – Twarz mi płonęła. – Przykro mi, że cię rozczarowuję. Przykro mi, że jestem taka okropna. Powinnam płacić ludziom, żeby mi mówili, jaka jestem wspaniała, tak jak ty to robisz. Dlaczego tata odszedł, skoro jesteś tak kurewsko wspaniała?

Uderzyła mnie, dość lekko, choć na tyle mocno, że rozległ się odgłos

policzka. Uśmiechnęłam się jak wariatka, odsłoniłam zbyt wiele zębów.

– Wyjdź stąd. – Szyję miała pokrytą plamami pokrzywki, przeguby cienkie.
– Wynoś się – syknęła ponownie, słabo, umknęłam więc z kuchni.

Pojechałam na rowerze polną drogą. Dudniące serce, napór za oczami. Podobało mi się pieczenie matczynego policzka, to, jak aura dobroci, którą z taką starannością kultywowała przez ostatni miesiąc – herbata, bosa stopy – w ułamku sekundy się ulotniła. Świetnie. Niech się wstydzi. Wszystkie zajęcia, oczyszczania i lektury nic nie dały. Była tą samą słabą osobą co zawsze. Pedalowałam szybciej, w gardle wzbierała mi złość. Mogę pojechać do Flying A i kupić opakowanie czekoladowych gwiazdek. Mogę sprawdzić, co grają w kinie, albo pójść wzdłuż gęstej jak zupa rzeki. W suchym powietrzu włosy mi się lekko uniosły. Czułam, jak nienawiść we mnie twardnieje, i to było niemal przyjemne, jaka jest wielka, jaka czysta i intensywna.

Szalone pedałowanie gwałtownie się skończyło: łańcuch zsunął się z koła. Rower zwalniał. Szarpnęłam nim na pobocze drogi pożarowej. Pachy mi się pociły, wnętrza kolan też. Słońce paliło przez azur konarów dębu. Usiłowałam nie płakać. Kucnęłam, żeby założyć łańcuch, łyzy ciekły mi z oczu w powiewach wiatru, palce były tłuste od smaru. Złapanie łańcucha okazało się za trudne, ciągle się wysuwał z uchwytu.

– Kurwa – powiedziałam, potem powtórzyłam głośniej.

Chciałam kopnąć w rower, coś uciszyć, ale to byłoby aż nadto żałosne, teatr zdenerwowania grany przed pustą widownią. Spróbowałam raz jeszcze nałożyć łańcuch na koło, nie chciał jednak zaskoczyć, wisiał luźno. Pozwoliłam, by rower się przewrócił, i osunęłam się obok niego na ziemię. Przednie koło chwilę się obracało, potem stanęło. Wpatrywałam się w rower, rozciągnięty i bezużyteczny: rama była w kolorze „zieleń kampusu”, który w sklepie wyczarowywał krzepkiego studenta college’u odprowadzającego cię do domu po wieczornych zajęciach. Grzeczna fantazja, głupi rower, pozwoliłam więc, by łańcuch rozczarowań rósł, aż się zapętlił w pieśń żałobną przeciętności. Connie przypuszczalnie była z May Lopes. Peter i Pamela kupowali rośliny doniczkowe do oregońskiego mieszkania i moczyli soczewicę na kolację. A ja co miałam? Łzy kapały mi z brody na ziemię, przyjemny dowód moich cierpień. Tej nieobecności we mnie, wokół której mogłam się owinąć jak zwierzę.

Usłyszałam, zanim zobaczyłam: czarny autobus z wysiłkiem toczący się po drodze, tumany kurzu unoszące się spod kół. Szyby były poplamione i szare, za nimi niewyraźne sylwetki ludzi. Na masce namalowano niezdarnie serce zwieńczone załzawionymi rzęsami jak oko.

Z autobusu wysiadła dziewczyna w męskiej koszuli i robionej na drutach kamizelce, ruchem głowy odrzucając do tyłu gładkie pomarańczowe włosy. Słyszałam innych, zamieszanie przy oknach. Pojawiła się księżycowa twarz –

obserwowała mnie.

Głos dziewczyny był śpiewny.

– Co się stało? – zapytała.

– Łańcuch się poplątał – odparłam.

Dziewczyna stopą w sandałku poruszyła kołem. Zanim zdążyłam zapytać, kim jest, po stopniach zeszła Suzanne i serce zaczęło mi szybciej bić. Wstałam, starając się otrzepać brud z kolan. Suzanne się uśmiechnęła, choć wyglądała na roztargnioną. Uświadomiłam sobie, że muszę jej przypomnieć, jak mam na imię.

– Sklep przy East Washington – powiedziałam. – Kilka dni temu?

– A tak.

Spodziewałam się, że powie coś o dziwnym zbiegu okoliczności, dzięki któremu znowu na siebie wpadłyśmy, ona jednak sprawiała wrażenie lekko znudzonej. Ciągle na nią patrzyłam. Chciałam jej przypomnieć naszą rozmowę, to, jak powiedziała, że jestem myśląca. Ale ona właściwie unikała mojego wzroku.

– Zobaczyliśmy, jak tu siedzisz, i pomyśleliśmy, o cholera, biedactwo – powiedziała rudowłosa. To była Donna, jak później się dowiedziałam. Wyglądała na lekko opóźnioną, brwi miała niewidoczne, co jej twarzy nadawało wyraz obcej pustki. Kucnęła, żeby obejrzeć mój rower. – Suzanne mówiła, że cię zna.

Pracowałyśmy we trzy, próbując nałożyć łańcuch. Czułam zapach ich potu, kiedy postawiłyśmy rower na nóżce. Jakimś sposobem zgięłam koło zębate przy upadku i łańcuch nie miał jak wejść.

– Kurwa – westchnęła Suzanne. – To wszystko jest kompletnie schrzanione.

– Potrzeba obcęgow albo czegoś w tym rodzaju – powiedziała Donna. – Tu tego nie naprawisz. Wskakuj do autobusu, spędzisz z nami trochę czasu.

– Podwieźmy ją do miasta – wtrąciła Suzanne.

Mówiła energicznie, jakbym była bałaganem, który trzeba posprzątać. Mimo to ucieszyłam się. Przywykłam do rozmyślania o ludziach, którzy nigdy nie myśleli o mnie.

– Urządzamy imprezę z okazji przesilenia – powiedziała Donna.

Nie chciałam wracać do matki, do samotnej kurateli nad sobą. Miałam wrażenie, że jeśli pozwolę Suzanne odejść, nigdy więcej jej nie zobaczę.

– Evie chce przyjść – powiedziała Donna. – Widzę wyraźnie, że ma na to ochotę. Lubisz zabawę, co?

– Daj spokój – odparła Suzanne. – To jeszcze dziecko.

Ogarnął mnie wstyd.

– Mam szesnaście lat – skłamałam.

– Ma szesnaście lat – powtórzyła Donna. – Nie uważasz, że Russell chciałby, żebyśmy okazały gościność? Moim zdaniem się zdenerwuje, jak mu powiem, że nie byłyśmy gościnnie.

Nie odczytałam w głosie Donny zagrożenia, tylko kpinę.

Suzanne zaciskała usta, w końcu się uśmiechnęła.

– Okay – powiedziała. – Dajcie rower do tyłu.

Zobaczyłam, że autobus został opróżniony i przebudowany, wewnątrz było prymitywne i przeładowane w sposób typowy dla tamtych czasów: podłoga poszatkowana orientalnymi dywanami szarymi od kurzu, wysuszone kępkę poduch ze sklepu z używanymi rzeczami. Odór kadzidełek w powietrzu, pryzmaty stukające w okna. Kartony z nagryzmolonymi idiotycznymi zdaniami.

W autobusie były trzy inne dziewczyny, odwróciły się ku mnie z zapalem, z dziwą uwagą, którą odczytałam jako pochlebną. Papierosy dymiły im w dłoniach, kiedy mierzyły mnie spojrzeniem od stóp do głów w atmosferze święta i beczasowości. Worek zielonych ziemniaków, ziemiste bułki do hot dogów. Skrzynia wilgotnych, przejrzałych pomidorów.

– Byłyśmy na rajdzie po żarcie – powiedziała Donna, ale nie zrozumiałam, co to oznaczało. Umysł miałam zajęty tą nagłą zmianą fortuny, śledzeniem wolnego kapania potu pod pachami. Ciągłe czekałam, aż ktoś mnie zauważy, zidentyfikuje jako intruza, który tu nie należy. Za czyste włosy. Drobne próby przedstawienia się, zaprezentowania dobrych manier najwyraźniej nikogo nie obchodziły. Z powodu otwartego okna włosy jak zwariowane przecięły moje pole widzenia, wzmacniając poczucie dyslokacji, nagłości znalezienia się w tym dziwnym autobusie. Pióro z pękiem koralików zwisające z lusterka wstecznego. Sucha lawenda na desce rozdzielczej, splotowała od słońca.

– Przychodzi na przesilenie – nuciła Donna. – Na letnie przesilenie.

Był początek czerwca, wiedziałam, że przesilenie przypada na koniec miesiąca: nic nie powiedziałam. Pierwsze z wielu milczeń.

– Będzie naszą ofiarą – powiedziała Donna pozostałym. Chichocząc. – Złożymy ją w ofierze.

Spojrzałam na Suzanne – nasza krótka znajomość zdawała się uprawomocnić moją obecność w ich gronie – ale ona siedziała z boku, zaabsorbowana skrzynią pomidorów. Naciskała na skórkę, odrzucała zgniłe. Machaniem odpędzała pszczoły. Później przyszło mi do głowy, że Suzanne jako jedyna nie sprawiała wrażenia ucieszonej z naszego spotkania tam, na poboczu drogi. W jej postawie było coś oficjalnego i zdystansowanego. Mogę tylko myśleć, że oznaczało to opiekuńczość. Że Suzanne dojrzała we mnie słabość, płomienną i oczywistą – wiedziała, co się przytrafia słabym dziewczętom.

Donna mnie przedstawiła, a ja próbowałam zapamiętać ich imiona. Helen: wyglądała na niewiele starszą ode mnie, choć może chodziło o jej kucyki. Była śliczna na swój młodzińczy sposób, jak piękność z sąsiedztwa, z zadartym nosem, z rysami twarzy przystępnymi, acz z oczywistą datą ważności. Roos.

– Skróć od Roosevelt – powiedziała mi. – Jak Franklin Delano.

Była starsza od pozostałych, miała twarz okrągłą i różaną jak postać

z książki.

Nie potrafiłam sobie przypomnieć imienia wysokiej dziewczyny, która prowadziła: po tamtym dniu nigdy więcej jej nie widziałam.

Donna zrobiła mi miejsce, klepiąc zbryloną haftowaną poduszkę.

– Chodź tutaj – powiedziała, usiadłam więc na drapiącym materiale. Wydawała się dziwna, nieco niezdarna, ale ją polubiłam. Całą chciwość i małośćkowość miała wypisaną na twarzy.

Autobus szarpnął do przodu: wnętrzości mi się skręciły, ale wzięłam dzbanek z tanim winem. Kiedy go podawały, trochę wychlapało mi się na rękę. Wyglądały na szczęśliwe, uśmiechnięte, ich głosy czasami przechodziły w piosenkę jak u obozowiczów przy ognisku. Wyłapywałam osobliwości: jak trzymały się za ręce bez cienia zażenowania i rzucały słowami w rodzaju „harmonia”, „miłość” i „wieczność”, Helen zachowującą się jak małe dziecko – ciągnęła się za kucyki i mówiła swoim dziecięcym głosem, nagle opadając na kolana Roos, jakby chciała podstępem skłonić ją, żeby się nią zaopiekowała. Roos się nie skarżyła: wyglądała na powściągliwą, miłą. Różowe policzki, proste blond włosy wpadające do oczu. Chociaż później dojdę do wniosku, że to chyba nie tyle było przyjemne usposobienie, ile niema pustka w miejscu, gdzie powinna być łagodność. Donna zapytała o mnie, inne też, ciągły strumień pytań. Nie mogłam nic poradzić na radość z bycia w centrum uwagi. Rzecz niewytłumaczalna, ale wyglądało na to, że mnie lubią, i ta obca myśl mnie rozweselała, tajemniczy dar, którego nie chciałam zbyt głęboko analizować. Potrafiłam nawet na milczenie Suzanne rzucić promień ciepłego światła, wyobrażając sobie, że jest nieśmiała jak ja.

– Ładna – powiedziała Donna, dotykając mojej bluzki. Helen także wzięła w palce rękaw. – Jesteś jak laleczka – dodała. – Russell cię pokocha.

Rzuciła jego imię tak po prostu, jakby nie do pomyslenia było, że mogę nie wiedzieć, kim jest Russell. Helen zachichotała na dźwięk jego imienia, poruszając ramionami z taką radością, jakbyssa cukierek. Donna dostrzegła moje niepewne mrugnięcie i roześmiała się.

– Pokochasz go – powiedziała. – Jest zupełnie inny niż wszyscy. Żadnych bzdur. Bycie z nim to jak naturalny haj. Jak słońce albo coś takiego. Tak bardzo wielkie i słuszne.

Spojrzała na mnie, żeby się upewnić, czy słucham, i najwyraźniej ucieszyło ją, że tak.

Powiedziała, że w miejscu, do którego jedziemy, chodzi o sposób życia. Russell uczył ich, jak odkryć drogę do prawdy, jak wyzwolić prawdziwe ja z wnętrza, gdzie się chowało. Mówiła o chłopaku imieniem Guy, który wcześniej szkolił sokoły, ale przyłączył się do grupy i teraz chciał zostać poetą.

– Kiedy go spotkaliśmy, był kompletnie pokrecony, jadł tylko mięso. Myślał,

że jest diabłem czy czymś takim. Ale Russell mu pomógł. Nauczył go kochać – powiedziała Donna. – Każdy może kochać, może wyjść poza całe to gówno, ale tak wiele rzeczy nas powstrzymywało.

Nie wiedziałam, jak sobie wyobrazić Russella. Miałam tylko ograniczony punkt odniesienia w postaci mężczyzn jak mój ojciec albo chłopców, w których się durzyłam. Te dziewczęta mówiły o Russellu zupełnie inaczej, ich uwielbienie było bardziej praktyczne, pozbawione znanej mi figlarniej dziewczynskiej tęsknoty. Z niezachwianą pewnością przywoływały moc i magię Russella, jakby to była wiedza równie powszechna jak ta o wpływie Księżyca na morza albo o orbicie Ziemi.

Donna powiedziała, że Russell nie jest jak inni ludzie. Że potrafi odbierać wiadomości od zwierząt. Że umie uleczyć człowieka, przykładając do niego dłonie, wyrwać zgniliznę tak czysto jak guza.

– Widzi każdą twoją część – dodała Roos. Jakby to było dobre.

Możliwość, że zostanę oceniona, wyparła wszelkie niepokoje i wątpliwości, które mogłam mieć na temat Russella. W tamtym wieku byłam przede wszystkim obiektem osądu, a to w każdej interakcji przenosiło władzę na drugą osobę.

Kiedy mówiły o Russellu, przez ich twarze przemykała aluzja do seksu, oszołomienie balu maturalnego. Zrozumiałam, choć żadna nie powiedziała tego wprost, że wszystkie z nim sypiają. Na myśl o takim układzie zarumieniłam się, wewnątrz zszokowana. Nie były o siebie zazdrosne.

– Serce niczego nie posiada na własność – świergotała Donna. – Nie o to chodzi w miłości – powiedziała, ściskając rękę Helen i wymieniając z nią spojrzenia.

Chociaż Suzanne głównie milczała i siedziała osobno, zobaczyłam, że jej twarz się zmienia na wzmiankę o Russellu. W jej oczach była czułość żony, którą ja też chciałam odczuwać.

Może uśmiechałam się do siebie, gdy patrzyłam na znajomy wzór miasta przesuwany się za oknem, podczas gdy autobus przemierzał naprzemienne plamy cienia i słońca. Wyrosłam w tym miejscu, wiedza o nim tkwiła we mnie tak głęboko, że nie znałam nawet nazw większości ulic, poruszałam się według punktów wizualnych albo związanych ze wspomnieniami. Róg, gdzie matka, ubrana we fioletoworóżowy spodniem, skręciła kostkę. Kępa drzew, która zawsze wyglądała, jakby miała jakiś związek ze złem. Drogeria z podartą markizą. Przez okno tego obcego autobusu z szorstkim, starym dywanem pod stopami moje miasto rodzinne wydawało się wyszorowane do czysta z mojej obecności. Łatwo było zostawić je za sobą.

Omawiały plany imprezy z okazji przesilenia. Helen klęczała, poprawiając kucyki radosnym energicznym gestem świadczącym o nawyku. Emocjonowały się, opisując sukienki, które włożą, jakąś durną piosenkę o przesileniu napisaną przez Russella. Niejaki Mitch dał im dość pieniędzy na kupno alkoholu: Donna

wypowiedziała jego imię z dezorientującą emfazą.

– No wiesz – powtórzyła. – Mitch. Mitch Lewis?

Nie rozpoznałam imienia Mitcha, ale słyszałam o jego zespole – widywałam go w telewizji, grali w gorących światłach studia, strumyczki potu przecinały im czoła. W tle była tafla folii aluminiowej, scena się obracała i członkowie zespołu kręcili się jak baletnicy w szkatułce z biżuterią.

Udałam nonszalancję, ale to było to: świat, którego istnienie zawsze podejrzewałam, świat, w którym do sławnych muzyków zwracasz się po imieniu.

– Mitch nagrał sesję z Russellem – powiedziała mi Donna. – Russell zrobił na nim niesamowite wrażenie.

I znowu był ich podziw dla Russella, ich pewność. Zazdrościłam im zaufania, tego, że ktoś może zszyć puste części twojego życia, dzięki czemu czujesz, że jest pod tobą sieć łącząca każdy dzień z następnym.

– Russell będzie sławny, po prostu – dodała Helen. – Już podpisał kontrakt na płytę. – Brzmiała, jakby opowiadała baśń, tylko że to było jeszcze lepsze, ponieważ wiedziała, że na pewno się zdarzy.

– Wiesz, jak Mitch nazywa Russella? – Donna marzycielsko zatrzepotała rękami. – Mag. Super, no nie?

Spędziwszy na ranczu trochę czasu, przekonałam się, że wszyscy mówią o Mitchu. O bliskim kontrakcie płytowym Russella. Mitch był ich świętym patronem, przysyłał na ranczo nabią z Clover Dairy, żeby dzieci miały wapń, wspierał grupę finansowo. Pełną historię usłyszałam o wiele później. Mitch poznał Russella w Baker Beach na swego rodzaju spotkaniu dzieci kwiatów. Russell był ubrany w kozłą skórę, meksykańską gitarę miał zawieszoną na plecach, otaczały go jego kobiety błagające o drobne z aurą biblijnego ubóstwa. Zimny ciemny piasek, ognisko, Mitch pomiędzy dwiema płytami. Ktoś w kapeluszu z szerokim rondem pilnujący garnka z małżami.

Mitch, jak się dowiedziałam, przeżywał kryzys – kłótnie o pieniądze z menadżerem, przyjacielem z dzieciństwa, areszt za posiadanie marihuany, który został usunięty z akt, ale nie z pamięci – i Russell musiał wydawać się obywatelem prawdziwszego świata, podsycając jego poczucie winy z powodu złotych płyt oraz imprez, na których pokrywał basen szkłem akrylowym. Russell zaoferował mistyczne zbawienie, wzmocnione przez młode dziewczęta spuszczone z uwielbieniem wzrok, kiedy mówił. Mitch zaprosił całą grupę do swojego domu w Tiburon, pozwolił im się obżerać zawartością swojej lodówki, spać w pokoju gościnnym. Osuszyli butelki soku jabłkowego i różowego szampana, wnieśli błoto do łóżka, bezmyślni niczym armia okupanta. Rano Mitch odwiózł ich na ranczo: wtedy już Russell uwiódł Mitcha, przemawiając łagodnie o prawdzie i miłości, a te inwokacje szczególnie silnie działały na bogatych poszukiwaczy.

Uwierzyłam we wszystko, co tamtego dnia powiedziały mi dziewczęta,

w ich bzycząca, rojącą się dumę, kiedy mówiły o błyskotliwości Russella. Jak już niedługo nie będzie mógł spokojnie przejść ulicą, nienapastowany przez tłum. Jak powie całemu światu, w jaki sposób być wolnym. Prawdą było, że Mitch zaaranżował dla niego sesję. Chyba myślał, że wytwórnia uzna brzmienie Russella za interesujące i aktualne. Długo o tym nie wiedziałam, ale sesja poszła fatalnie – kompletna porażka. To się zdarzyło, zanim nadeszło wszystko inne.

Niektórzy ocaleli z katastrof nie rozpoczynają swych relacji od ostrzeżeń przed tornadem czy słów kapitana informującego o awarii silników, ale zawsze cofają się w czasie: upierają się, że tamtego poranka zauważyli dziwną jakość światła słonecznego albo nadmierne naelektryzowanie pościeli. Mówią o bezsensownej kłótni z chłopakiem. Jakby przecucie nieszczęścia wplotło się we wszystko, co nastąpiło wcześniej.

Przegapiłam znaki? Jakies wewnętrzne ukłucie? Pszczoły połyskujące i czołgające się w skrzyni z pomidorami? Niezwykły brak samochodów na drodze? To pytanie, które Donna zadała mi w autobusie... Mimochodem, jakby po namyśle.

– Ktoś kiedyś mówił ci o Russellu?

Wydało mi się bez sensu. Nie rozumiałam, że próbowała oszacować, jak wiele pogłosek słyszałam: o orgiach, o szalonych tripach na kwasie i nastoletnich uciekinierkach zmuszanych do służenia starszym mężczyznom. O psach składanych w ofierze na oświetlonych księżycem plażach, koźlich łbach gnijących w piasku. Gdybym miała przyjaciół poza Connie, niewykluczone, że na imprezach dotarłyby do mnie plotki o Russellu wymieniane przyciszonym głosem w kuchni. Może bym wiedziała, że powinnam uważać.

Ale ja tylko pokręciłam głową. Niczego nie słyszałam.

Nawet później, gdy już o różnych rzeczach wiedziałam, zdawałam sobie sprawę, że tamtego pierwszego wieczoru niemożliwością było dostrzeżenie czegokolwiek poza tym, co rzucało się w oczy. Koszula Russella z kozłej skóry, cuchnąca mięsem i zgnilizną, miękka jak aksamit. Uśmiech Suzanne rozkwitający we mnie jak fajerwerk, tracący swój barwny dym, swoje śliczne, dryfujące w powietrzu węgielki.

– Dom w górach – powiedziała Donna, kiedy wysiadłyśmy z autobusu.

Minęła chwila, nim się zorientowałam, gdzie jestem. Autobus bardzo oddalił się od autostrady, podskakując na polnej drodze, która kończyła się głęboko wśród jasnych letnich wzgórz zwieńczonych dębami. Stary drewniany dom: guzowate rozety i gipsowe kolumny nadawały mu pozory pomniejszego zamku. Stanowił element stworzonego *ad hoc* miejsca do życia, do którego należały, o ile mogłam się zorientować, także stodoła i bagnisty basen. Sześć wełniastych lam drzemiących w zagrodzie. Odległe postaci rąbały krzewy wzdłuż płotu. Uniosły ręce w geście powitania, potem wróciły do pracy.

– W strumieniu jest mało wody, ale można popływać – powiedziała Donna.

Wydawało mi się rzeczą magiczną, że wszyscy naprawdę razem tu mieszkają. Wypisane farbą fluorescencyjną symboliczne znaki na stodole, ubrania na sznurze w powiewach wiatru wyglądające jak zjawy. Sierociniec dla niechlujnych dzieci.

Raz nakręcili reklamę samochodu na ranczu, powiedziała Helen swoim dziecięcym głosem.

– Jakiś czas temu, ale i tak się liczy.

Donna mnie szturchnęła.

– Niesamowite, co?

– Jak w ogóle znaleźliście to miejsce? – zapytałam.

– Mieszkał tu taki staruszek, ale musiał się wyprowadzić, bo dach przeciekał.

– Donna wzruszyła ramionami. – Naprawiliśmy go, no, w pewnym sensie. Jego wnuk nam wynajmuje.

Żeby zarobić, wyjaśniła, opiekują się lamami i pracują u farmera z sąsiedztwa, ścinając sałatę scyzorykami i sprzedając zbiory na targu. Słoneczniki i słoje marmolady kleiste od pektyny.

– Trzy dolce na godzinę. Nie tak źle – powiedziała Donna. – Ale forsy brakuje.

Kiwnęłam głową, jakbym rozumiała tego rodzaju problemy. Obserwowałam chłopczyka, cztero-, pięcioletniego, który rzucił się na Roos i zderzył z jej nogą. Był brzydko spalony słońcem, włosy miał spłowiałe i wydawał się za duży, żeby nadal nosić pieluchę. Założyłam, że to dziecko Roos. Czy Russell był ojcem?

Przelotna myśl o seksie wywołała mdlącą falę w moich piersiach. Chłopczyk podniósł głowę jak pies obudzony ze snu i posłał mi znudzone, podejrzliwe spojrzenie spod przymrużonych powiek.

Donna oparła się o mnie.

– Chodź, poznasz Russella – powiedziała. – Pokochasz go, przysięgam.

– Spotka go na przyjęciu – powiedziała Suzanne, wtrącając się do naszej rozmowy. Nie zauważyłam, jak nadchodzi, jej bliskość mnie przestraszyła. Podala mi worek ziemniaków, sama wzięła kartonowe pudło. – Najpierw musimy zanieść to do kuchni. Na imprezę.

Donna zrobiła kwaśną minę, ale ja poszłam za Suzanne.

– Cześć, laleczko! – zawołała, trzepocząc chudymi palcami i śmiejąc się, nie całkiem nieprzyjemnie.

Poszłam za ciemnymi włosami Suzanne przez plątaninę nieznajomych. Teren był nierówny, zbocze dezorientujące. Był też zapach, ciężki zapach dymu. Pochlebiło mi, że Suzanne zażądała mojej pomocy, jakby to potwierdzało, że jestem jedną z nich. Wokół roili się młodzi ludzie, byli boso lub w ciężkich butach, włosy mieli rozwiane i spłowiałe od słońca. Podśledzałam gorączkowe inwokacje o imprezie z okazji przesilenia. Wtedy tego nie wiedziałam, ale cała ta sprawna praca była rzadkością na ranchu. Dziewczęta miały na sobie najlepsze szmaty ze sklepów z używaną odzieżą i nosiły w ramionach instrumenty delikatnie jak niemowlęta, słońce odbijało się od stali gitar i rozszczepiało na gorące diamenty światła. Tamburyny niemelodyjnie grzechotały.

– Te skurwysyny gryzły mnie przez całą noc – powiedziała Suzanne, odganiając agresywną muchę końską, która wokół nas bzyczała.

Za domem ziemię znaczyły głązy i rachityczne dęby, a także kilka pustych samochodów w stanie ruiny. Lubiłam Suzanne, ale nie potrafiłam pozbyć się wrażenia, że z trudem dotrzymuję jej kroku: byłam w wieku, kiedy często łączyłam sympatię do ludzi ze zdenerwowaniem w ich obecności. Chłopak bez koszuli i z paskiem z solidną srebrną klamrą zagwizdał, kiedy go mijaliśmy.

– Co tu masz? Prezent na przesilenie?

– Zamknij się – powiedziała Suzanne.

Chłopak uśmiechnął się łobuzersko i próbowałam odwzajemnić uśmiech. Był młody, miał długie ciemne włosy, średniowiecznie pociągłe rysy, które uznałam za romantyczne. Przystojny, z kobiecą śniadością filmowego złoczyńcy, choć później dowiedziałam się, że po prostu pochodził z Kansas.

To był Guy. Wiejski chłopak, który zwiął z bazy Travis Air Force, kiedy się zorientował, że jest sceną takiego samego gówna jak dom jego ojca. Przez chwilę pracował w Big Sur, potem powędrował na północ. Wplątał się w grupę fermentującą na obrzeżach Haight, hobbystycznych satanistów, którzy nosili więcej biżuterii niż nastoletnia dziewczyna. Wisiorki ze skarabeuszem i platynowe

sztylety, czerwone świece i muzyka organowa. Później pewnego dnia Guy natknął się na Russella grającego na gitarze w parku. Russella w skórach z pogranicza, które być może przypomniały Guyowi o książkach przygodowych z młodości, o serialach, w których główne role grali mężczyźni garbujący skóry karibu i pokonujący w bród lodowate rzeki Alaski. Od tamtego czasu Guy był z Russellem.

To Guy później zawiezie dziewczyny. Zaciśnie swój pasek na przegubach dozorczy, wielka srebrna klamra będzie się wcinała w delikatną skórę i pozostawi odcisk o dziwnym kształcie, jak piętno.

Ale tamtego pierwszego dnia był tylko chłopakiem, jak czarodziej emanował perwersyjnością. Spojrzałam na niego z dreszczem emocji.

Suzanne zatrzymała przechodzącą dziewczynę:

– Powiedz Roos, żeby odprowadziła Nica do przedszkola. Nie powinien tu być.

Dziewczyna kiwnęła głową.

Poszliśmy dalej. Suzanne zerknęła na mnie, odczytując moją konsternację.

– Russell nie chce, żebyśmy za bardzo przywiązywali się do dzieci. Zwłaszcza jeśli są nasze. – Roześmiała się ponuro. – Nie są naszą własnością, wiesz? Nie napierdolimy im w głowach tylko dlatego, że chcemy kogoś przytulić.

Zajął mi chwilę przetrwanie pomysłu, że rodzice nie mają prawa do swoich dzieci. Nagle wydało mi się to oślepiająco prawdziwe. To, że matka mnie urodziła, nie czyni jej moją właścicielką. Wysyła mnie do szkoły z internatem, bo poczuła taką gotowość. Może to jest lepsze, nawet jeśli wydaje się dziwne. Przynależność do tej amorficznej grupy, wiara, że miłość może nadejść z każdego kierunku. To chroni przed rozczarowaniem, gdy nie dostaniesz jej z kierunku, na który liczyłeś.

W kuchni było o wiele ciemniej niż na dworze, zamrugałam w nagłym mroku. Wszystkie pomieszczenia pachniały ostro i ziemiście, jakąś mieszaniną gotowania i ciała. Ściany były głównie gołe, tylko gdzieś zdobiły je pasy tapety w stokrotki i kolejne śmieszne serce, jak to na autobusie. Ramy okienne się kruszyły, T-shirty pełniły rolę firanek. Gdzieś w pobliżu grało radio.

Mniej więcej dziesięć dziewcząt pracowało w kuchni, były skupione na gotowaniu i wszystkie wyglądały zdrowo, ręce miały szczupłe i opalone, włosy gęste. Gołe stopy naciskały na nieheblowane deski podłogi. Gdakały i docinały sobie wzajemnie, szczypiąc się w obnażone ciała i wymierzając sobie klapsy chochlami. Wszystko wydawało się lepkie i nadgniłe. Kiedy postawiłam worek ziemniaków na blacie, jedna zaczęła je przebierać.

– Zielone ziemniaki są trujące – powiedziała. Wciągała powietrze przez zęby, przeglądając worek.

– Nie, jeśli je ugotujesz – odpaliła Suzanne. – Więc je ugotuj.

Suzanne spała w małym budynku z klepiskiem, przy każdej ze ścian leżały podwójne gołe materace.

– Głównie śpią tu dziewczyny – powiedziała. – To zależy. I czasami Nico, chociaż go tu nie chcę. Zależy mi, żeby wyrósł na wolnego. Ale on mnie lubi.

Nad materacem był utknięty kwadrat poplamionego jedwabiu, na łóżku leżała poszewka z Myszka Miki. Suzanne podała mi skręta z końcówką wilgotną od jej śliny. Popiół spadł jej na gołe udo, ale najwyraźniej tego nie zauważyła. To była trawka, choć mocniejsza od tej, którą paliłyśmy z Connie – suchych resztek z szuflady ze skarpetkami Petera – wilgotna i oleista, a mdły dym nie rozpraszał się zbyt szybko. Zaczynałam czuć się inaczej. Connie bardzo by się to nie podobało. Pomyślałaby, że jest tu brudno i dziwnie, że Guy jest przerażający – ta świadomość wywołała we mnie dumę. Moje myśli łagodniały, trawka wydobywała się na powierzchnię.

– Naprawdę masz szesnaście lat? – zapytała Suzanne.

– Czternaście – odparłam.

Nie wyglądała na zaskoczoną.

– Odwiozę cię do domu, jeśli chcesz. Nie musisz tu zostawać.

Oblizałam wargi – myślała, że sobie z tym nie poradzę? A może uważała, że przyniosę jej wstyd.

– Nie muszę nigdzie być.

Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale się zawahała.

– Naprawdę – zaczynała ogarniać mnie desperacja – wszystko gra.

Suzanne na mnie spojrzała i przez chwilę byłam pewna, że odeśle mnie do domu. Odstawi do matki jak wagarowiczkę. Potem jednak to spojrzenie zmieniło się w coś innego i wstała.

– Możesz pożyczyć sukienkę – powiedziała.

Ubrania wisiały na wieszakach, kolejne wysypywały się z worka na śmieci – podarte džinsy. Koszule w tureckie wzory, długie spódnice. Obrąbki jękające się luźnymi nitkami. Te rzeczy nie były ładne, ale poruszyła mnie ich ilość i obcość. Zawsze zazdrościłam dziewczynom, które nosiły ubrania po starszych siostrach jak strój ukochanego zespołu.

– To wszystko jest twoje?

– Dzielę się z innymi dziewczętami. – Suzanne sprawiała wrażenie, że pogodziła się z moją obecnością: może dostrzegła, że moje pragnienie jest większe od jej chęci czy zdolności przegonienia mnie. A może podziw jej pochlebiał, moje szeroko otwarte oczy, chciwe każdego szczegółu na jej temat. – Tylko Helen robi zamieszanie. Musimy odbierać jej rzeczy, ukrywa je pod poduszką.

– Nie chcesz czegoś tylko dla siebie?

– Po co? – Zaciągnęła się, wstrzymała oddech. Kiedy się odezwała, głos się jej łamał. – Aktualnie nie podążam taką drogą. Ja, ja, ja. Kocham pozostałe

dziewczyny. Podoba mi się, że się dzielimy. A one kochają mnie.

Obserwowała mnie przez dym. Zrobiło mi się wstyd. Za zwątpienie w Suzanne, za myśl, że dzielenie się jest dziwne. Za ograniczenia mojej wyłożonej dywanem sypialni w domu. Wepchnęłam ręce w kieszenie szortów. To nie była idiotyczna amatorszczyzna jak popołudniowe warsztaty mojej matki.

– Rozumiem – powiedziałam.

Rozumiałam i usiłowałam wyizolować drżenie solidarności w swoim wnętrzu.

Sukienka, którą Suzanne wybrała dla mnie, cuchnęła mysimi odchodami, marszczyłam nos, wciągając ją przez głowę, ale się z niej cieszyłam – należała do kogoś innego, a ta aprobata uwolniła mnie od presji własnego osądu.

– Dobrze – powiedziała Suzanne, przyglądając mi się uważnie. Przypisywałam jej opiniom więcej znaczenia, niż kiedykolwiek przypisywałam opiniom Connie. W okazywanej przez Suzanne uwadze była jakaś niechęć, i to podwajało jej wartość. – Daj, zaplotę ci warkocze. Poplączą się, jeśli będziesz tańczyła z rozpuszczonymi włosami.

Usiadłam na podłodze przed Suzanne, między jej nogami, i usiłowałam czuć się wygodnie z tą bliskością, nagłą prostolinijną intymnością. Moi rodzice nie byli uczuciowi, zaskakiwało mnie, że ktoś w każdej chwili może mnie dotknąć – dar dłoni wręczany równie bezmyślnie jak kawałek gumy do żucia. Niewytłumaczalne błogosławieństwo. Jej cierpki oddech na mojej szyi, kiedy zgarnęła moje włosy na bok. Używając wyłącznie palców, wyznaczyła proste pasmo. Nawet pryszcze na jej szczęce wydawały się mgliście piękne, różany płomień, który na światło dzienne wydobył wewnętrzne przepelnienie.

Obie milczałyśmy, kiedy zaplatała mi włosy. Podniosłam z podłogi jeden z czerwonych kamieni, ułożonych pod lustrem jak jaja obcego gatunku.

– Przez jakiś czas mieszkaliśmy na pustyni – powiedziała Suzanne. – Mam je stamtąd.

Opowiedziała mi o wiktoriańskim domu, który wynajmowali w San Francisco. Jak musieli się wyprowadzić, kiedy Donna przypadkowo wznieciła pożar w sypialni. Czas spędzony w Dolinie Śmierci, gdzie tak się spiekli na słońcu, że nie mogli przez wiele dni spać. Ruiny wybebeszonej, pozbawionej dachu fabryki soli na Jukatanie, gdzie spędzili pół roku, mętna laguna, w której Nico nauczył się pływać. Bolesne było wyobrażanie sobie, co ja w tym samym czasie robiłam: piłam letnią metaliczną wodę ze szkolnego zbiornika. Jeździłam na rowerze do domu Connie. Leżałam na fotelu dentystycznym z rękoma grzecznie złożonymi na podołku, podczas gdy doktor Lopes pracował w moich ustach i rękawiczki miał śliskie, bo śliniłam się jak niedorozwinięta.

Wieczór był ciepły i uroczystości zaczęły się wcześniej. Ze czterdzieści osób tłoczących się na skrawku gołej ziemi, porywy gorącego powietrza nad stołami,

falujące światło lampy naftowej. Impreza wydawała się o wiele większa, niż w rzeczywistości była. Jakaś groteskowość wypaczyła moje wspomnienia, dom wznosił się za nami, przez co wszystko nabrało filmowego poloru. Muzyka była głośna, słodkie brzdąkanie zajmowało mnie w ekscytujący sposób, ludzie tańczyli, łapali jeden drugiego za przeguby: podskakiwali w kółku, włączali się i wyłączali. Pijany, pohukujący łańcuch, który się zerwał, kiedy Roos usiadła na ziemi, śmiejąc się głośno. Małe dzieci podkładały się do stołów jak psy, najedzone i złaźnione ekscytacji dorosłych, z ustami pokrytymi strupami od skubania.

– Gdzie jest Russell? – zapytałam.

Suzanne była naćpana jak ja, czarne włosy miała rozpuszczone. Ktoś dał jej różę i próbowała wpleść ją we włosy.

– Będzie tutaj – powiedziała. – Impreza nie zacznie się naprawdę, dopóki on nie przyjdzie.

Strzepnęła popiół z mojej sukienki i ten gest mnie spłoszył.

– Jest nasza laleczka – powiedziała śpiewnie Donna, kiedy mnie zobaczyła. Miała na głowie koronę z folii aluminiowej, która ciągle jej spadała. Na dłoniach i piegawatych ramionach narysowała kredką do oczu egipskie wzory, potem najwyraźniej przestały ją interesować – kredka była na jej palcach, na sukience, na szczęce. Guy zatoczył łuk, unikając jej rąk.

– To nasza ofiara – powiedziała mu Donna, słowa już potykały się o siebie. – Nasza ofiara na przesilenie.

Guy uśmiechnął się do mnie, zęby miał poplamione winem.

Tamtej nocy spalili samochód, płomienie były gorące i ruchliwe, a ja śmiałam się głośno bez żadnego powodu – wzgórza odznaczały się głęboką czernią na tle nieba, nikt z mojego prawdziwego życia nie wiedział, gdzie jestem, i było przesilenie, a kogo obchodziło, że w rzeczywistości to wcale nie było przesilenie? Miałam przelotne myśli o matce, skubnięcia niepokoju, ale przecież założy, że jestem u Connie. Gdzie indziej mogłabym być? Nie umiałaby sobie wyobrazić takiego miejsca, a nawet gdyby umiała, gdyby jakimś cudem tu się zjawiła, nie poznałaby mnie. Sukienka Suzanne była za duża, często zsuwała mi się z ramion, ale dość szybko przestałam ją poprawiać. Podobało mi się obnażenie, to, jak mogłam udawać, że to mnie nie obchodzi, i jak rzeczywiście przestało mnie to obchodzić, nawet kiedy przypadkiem odsłoniłam prawie całe piersi, podciągając rękawy. Chłopak na radosnym haju – z wymalowanym półksiężycem na twarzy – uśmiechnął się do mnie, jakbym zawsze z nimi była.

Uczta wcale nie była ucztą. Ptsie ze śmietaną puszczały soki w misce, aż w końcu ktoś nakarmił nimi psy. Plastikowy pojemnik z mrożoną Cool Whip, fasolki szparagowe rozgotowane do bezkształnej szarej mazi, uzupełnione zdobyczami z kosza na śmieci. Dwanaście widelców grzechoczących w gigantycznym garnku – każdy po kolei częstował się wodnistą warzywną strawą,

mieszkanką ziemniaków, keczupu i zupy cebulowej z torebek. Był jeden arbuż ze skórką w węzowy wzór, ale nikt nie potrafił znaleźć noża. W końcu Guy rozbił go, gwałtownie uderzając o róg stołu. Dzieci rzuciły się na papkowate kawałki jak szczury.

To zupełnie nie przypominało święta, które wcześniej sobie wyobrażałam. Rozbieżność mnie zasmuciła. Ale to było smutne tylko w starym świecie, mówiłam sobie, gdzie ludzi terroryzowała gorzka codzienność życia. Gdzie pieniądze każdego czyniły niewolnikiem, gdzie zapinali koszule pod samą szyję, dławiąc wszelką miłość, którą nosili w sercu.

Jakże często odtwarzałam ten moment, aż wreszcie nabrał znaczącego tonu: Suzanne mnie szturchnęła i wiedziałam, że mężczyzna zbliżający się do ogniska to Russell. Moją pierwszą myślą był szok: kiedy szedł, wydawał się młody, później jednak zobaczyłam, że ma co najmniej dziesięć lat więcej niż Suzanne. Może nawet jest w wieku mojej matki. Był ubrany w koszulę z kozłej skóry i brudne wranglery, ale stopy miał bosc – to było takie dziwne, wszyscy chodzili boso po zielskach i psich gównach, jakby na ziemi nic nie leżało. Dziewczyna uklękła obok niego, dotknęła jego nogi. Zajęło mi chwilę, zanim sobie przypomniałam jej imię (umysł miałam zamulony od trawki), ale potem zaskoczyłam, to była Helen, z kucykami i dziecięcym głosem z autobusu. Uśmiechnęła się do niego, odgrywając rytuał, którego nie rozumiałam.

Wiedziałam, że Helen uprawiała seks z tym mężczyzną. Suzanne także. Eksperymentowałam z tą myślą, wyobrażałam go sobie zgarbionego nad mlecznym ciałem Suzanne. Zamykającego dłoń na jej piersi. Wiedziałam tylko, jak marzyć o chłopcach w rodzaju Petera, z nieuformowanymi mięśniami pod skórą, z kępkami zarostu, które hodowali na szczęce. Może przespałabym się z Russellem. Wypróbowałam tę myśl. Seks nadal był zdominowany przez dziewczyny z czasopism ojca, wszystko lśniące i suche. Polegał na patrzeniu. Ludzie z rancza byli poza tym wyobrażeniem, kochali się wzajemnie bezwarunkowo, z czystością i optymizmem dzieci.

Mężczyzna podniósł rękę i tubalnym głosem wygłosił pozdrowienie: grupa zafalowała i poruszyła się jak grecki chór. W chwilach takich jak ta mogłam uwierzyć, że Russell już jest sławny. Odnosiło się wrażenie, że płynie w gęstszej atmosferze niż my. Chodził pomiędzy grupą, rozdając błogosławieństwa: dłoń na ramieniu, słowo wyszeptane do ucha. Impreza trwała, ale teraz wszyscy skupili się na nim, wyczekująco odwracali głowy, jakby śledzili tor ruchu słońca. Kiedy Russell dotarł do Suzanne i mnie, zatrzymał się i spojrzał mi w oczy.

– Jesteś tutaj – powiedział. Jakby na mnie czekał. Jakbym się spóźniła.

Po raz pierwszy słyszałam taki głos: pełny i powolny, nigdy się nie wahał. Palce Russella nacisnęły moje plecy w sposób nie całkiem nieprzyjemny. Nie był o wiele wyższy ode mnie, ale silny i zwarty, naprężony. Włosy tworzące aureolę

wokół jego głowy oliwka i brud zmieniły w błotnistą masę. Oczy mu nie łzawiły, nie umykały, nie drgały. Wreszcie sposób, w jaki mówiły o nim dziewczęta, nabrał sensu. Zmierzył mnie wzrokiem, jakby chciał przejrzeć mnie na wylot.

– Eve – powiedział Russell, kiedy Suzanne mnie przedstawiła. – Pierwsza kobieta.

Denerwowałam się, że powiem coś niewłaściwego, obnażę błąd mojej obecności.

– Właściwie to Evelyn.

– Imiona są ważne, prawda? – powiedział Russell. – A ja w tobie nie dostrzegam węża.

Nawet ta lekka pochwała przyniosła mi ulgę.

– Co myślisz o naszym świętowaniu przesilenia, Evie? – zapytał. – O naszym miejscu?

Przez cały czas jego dłoń wybijająca na moich plecach wiadomość, której nie potrafiłam odszyfrować. Z ukosa zerknęłam na Suzanne, świadoma, że niebo pociemniało, chociaż tego nie zauważyłam, że noc zsunęła się głębiej. Byłam senna od trawki i ogniska. Nic nie jadłam i w brzuchu czułam puste drżenie. Czy on ciągle powtarzał moje imię? Nie miałam pojęcia. Całe ciało Suzanne było skierowane na Russella, jej dłoń niespokojnie przeczesywała włosy.

Powiedziałam Russellowi, że mi się tu podoba. Wygłosiłam dalsze, pozbawione znaczenia, nerwowe uwagi, mimo to on dostawał ode mnie inne informacje. Tego wrażenia nigdy się nie pozbyłam. Także później. Że Russell potrafił czytać w moich myślach z taką łatwością, jakby zdjął książkę z półki.

Kiedy się uśmiechnęłam, dłonią ujął mnie za brodę.

– Jesteś aktorką – powiedział. Jego oczy były jak wrzący olej, a ja dałam sobie przyzwolenie, by poczuć się jak Suzanne, jak typ dziewczyny, na widok której mężczyzna się ożywia, której pragnie dotknąć. – Tak, w tym rzecz. Widzę to. Powinnaś stać na klifie i patrzeć w morze.

Odparłam, że nie jestem aktorką, ale moja babka była.

– Właśnie – powiedział. Kiedy wymieniłam jej nazwisko, zaczął okazywać mi jeszcze większe zainteresowanie. – Od razu to dostrzegłem. Wyglądasz jak ona.

Później czytałam, że Russell wyszukiwał sławnych, prawie sławnych i pochlebców, ludzi, których mógł uwodzić i wyciskać z nich środki, których samochody mógł pożyczać, w których domach mógł mieszkać. Jaki musiał być zadowolony z mojego pojawienia się z własnej woli, bez potrzeby zachęcania. Russell wyciągnął rękę do Suzanne. Kiedy złapałam jej spojrzenie, jakby się cofnęła. Aż do tej chwili nie wpadło mi do głowy, że mogła się denerwować z powodu mnie i Russella. W moim wnętrzu napęczniało nowe poczucie władzy, pojawił się ucisk tak obcy, że go nie rozpoznałam.

– A ty zajmiesz się naszą Evie – powiedział Russell do Suzanne. – Dobrze?

Żadne na mnie nie spojrzało. W powietrzu między nimi krzyżowały się symbole. Russell przez chwilę trzymał moją rękę, jego oczy przygniatały mnie jak lawina.

– Później, Evie – odezwał się.

Szepnął kilka słów do Suzanne. Wróciła do mnie z nową energią.

– Russell powiedział, że jeśli chcesz, możesz zostać – oznajmiła.

Czułam, jak naładował ją widok Russella. Ożywiona, z odnowionym autorytetem, mówiąc, bacznie mnie obserwowała. Nie wiedziałam, czy dreszcz, który czułam, był strachem czy zainteresowaniem. Babcia opowiadała mi o dostawaniu ról w filmach – jak szybko wyłuskiwano ją z grupy. „Na tym polega różnica – powiedziała. – Wszystkie pozostałe dziewczyny myślały, że reżyser dokonuje wyboru. Ale w rzeczywistości to ja na swój sekretny sposób mówiłam mu, że rola jest moja”.

Pragnęłam tego – pozbawionej źródła i brzmienia fali biegnącej ode mnie do Russella. Do Suzanne, do nich wszystkich. Pragnęłam tego świata bez końca.

Noc zaczęła ujawniać poszarpane kontury. Roos była naga od pasa w górę, ciężkie piersi miała zaczerwienione z gorąca. Zapadały długie chwile ciszy. Czarny pies potruchał w mrok. Suzanne zniknęła w poszukiwaniu trawki. Ciągle się za nią rozglądałam, ale moją uwagę rozpraszał rozgardiasz, tańczący obok nieznajomi, którzy uśmiechali się do mnie ze szczerą dobrocią.

Powinny mnie zdenerwować drobiazgi. Pewna dziewczyna się oparzyła, skóra na jej ręce się zmarszczyła, a ona wpatrywała się w bąble z leniwą ciekawością. Wychodek z odorem gówna i tajemniczymi rysunkami, ściany wyklejone stronicami wydartymi z czasopism porno. Guy opisujący ciepłe wnętrza świn, które patroszył na farmie rodziców w Kansas.

– Wiedziały, co je czeka – mówił swojej zasłuchanej widowni. – Uśmiechały się, kiedy przynosiłem żarcie, i uciekały, kiedy miałem nóż.

Poprawiając swoją wielką klamrę, wybełkotał coś, czego nie usłyszałam. Ale to było przesilenie, tłumaczyłam sobie, pogańskie pomruki, i jeśli coś mnie niepokoiło, wynikało to po prostu z niezrozumienia tego miejsca. I tyle było innych rzeczy do zauważenia i polubienia. Srebrna gitara odbijająca światło, roztopione Cool Whip ściekające komuś z palca. Tajemnicze i fanatyczne twarze wszystkich pozostałych.

Na ranczu traciło się orientację: nie było zegarów ani zegarków, godziny i minuty wydawały się z góry ustalone, całe dni przelewały się w nicość. Nie wiem, ile czasu minęło. Jak długo czekałam na powrót Suzanne, zanim usłyszałam jego głos. Tuż przy uchu, szepczący moje imię.

– Evie.

Odwróciłam się i on tam był. Skręciłam się ze szczęścia: Russell mnie zapamiętał, odnalazł w tłumie. Może nawet mnie szukał. Ujął moją dłoń, gładził

wnętrze, palce. Jaśniałam, jeszcze nieokreślona; pragnęłam kochać wszystko.

Przyczepa, do której mnie zaprowadził, była większa niż jakikolwiek z pokojów, łóżko przykrywał kudłaty koc, dopiero później się zorientowałam, że to futro. To była jedyna ładna rzecz w całym pomieszczeniu – podłoga zaścielona ubraniami, puste puszki po napojach i piwie połyskujące pomiędzy śmieciami. Dziwny zapach w powietrzu, nuta fermentacji. Przypuszczam, że byłam uparcie naiwna, udając, że nie wiem, co się dzieje. Choć jakaś część mnie naprawdę nie wiedziała. Albo nie zastanowiła się w pełni nad faktami: nagle trudno mi było przypomnieć sobie, skąd się tu wzięłam. Szarpiący autobus, słodycz taniego wina. Gdzie zostawiłam rower?

Russell uważnie mnie obserwował. Przekrzywił głowę, kiedy odwracałam wzrok, zmuszał mnie do patrzenia mu w oczy. Założył mi włosy za ucho, opuścił palce na moją szyję. Paznokcie miał nieobcięte, poczułam je na skórze.

Roześmiałam się, ale to był niespokojny śmiech.

– Suzanne niedługo tu przyjdzie? – zapytałam.

Przy ognisku powiedział mi, że Suzanne także z nami będzie, chociaż może tylko sobie tego życzyłam.

– Suzanne niczego nie brakuje. Teraz chcę rozmawiać o tobie, Evie.

Moje myśli zwolniły do tempa opadających płatków śniegu. Russell mówił wolno i poważnie, ale sprawił, że poczułam się tak, jakby przez całą noc czekał na okazję wysłuchania tego, co mam do powiedzenia. Jak odmienne to było od sypialni Connie, gdzie słuchałyśmy płyt z innego świata, którego nigdy nie miałyśmy być częścią, piosenek, które tylko wzmacniały naszą własną statyczną mizerotę. Także Peter wydał mi się bezbarwny. Peter, który był zwykłym chłopakiem, jadł biały chleb z margaryną na kolację. To było prawdziwe, wzrok Russella, pochlebne mdłości tak przyjemne, że ledwo potrafiłam je ogarnąć.

– Nieśmiała Evie – powiedział, uśmiechając się. – Bystra z ciebie dziewczyna. Sporo widzisz tymi swoimi oczami, co?

Uważał, że jestem bystra. Uczepiłam się tego jak dowodu. Nie byłam stracona. Słyszałam odgłosy imprezy na zewnątrz. Mucha bzyczała w kącie, objijając się o ściany przyczepy.

– Jestem taki jak ty – mówił Russell. – Jako dziecko byłem taki bystry, taki bystry, że oczywiście powtarzali mi, że jestem głupi. – Wybuchnął urywanym śmiechem. – Nauczyli mnie słowa „głupi”. Nauczyli mnie tych słów, a potem mi powiedzieli, że taki jestem. – Kiedy Russell się uśmiechał, jego twarz nasiąkała radością, która mnie wydawała się obca. Wiedziałam, że nigdy tak dobrze się nie czułam. Już jako dziecko byłam nieszczęśliwa – nagle dostrzegłam, jakie to oczywiste.

Obejmowałam się, słuchając go. Wszystko zaczynało mieć sens – to, co mówił Russell – w ten powolny sposób, w jaki rzeczy potrafią nabierać sensu.

Narkotyki zszywały proste banalne myśli we frazy, które wydawały się wypełnione ważnością. Mój pełen usterek nastoletni umysł desperacko łaknął związków przyczynowych, spisków, które zalewały każde słowo, każdy gest znaczeniem. Chciałam, żeby Russell był geniuszem.

– W tobie coś jest – powiedział. – Część, która jest naprawdę smutna. I wiesz co? To bardzo mnie zasmuca. Próbowali zniszczyć tę piękną, wyjątkową dziewczynę. Zasmucili ją. Tylko dlatego, że tacy są.

Poczułam napór łez.

– Ale oni cię nie zniszczyli, Evie. Ponieważ tu jesteś. Nasza wyjątkowa Evie. I teraz możesz pozwolić, żeby całe to dawne gówno odpłynęło.

Usiadł na materacu z brudnymi podeszwami stóp opartymi na futrze, z dziwnym spokojem na twarzy. Będzie czekał tak długo, jak trzeba.

Nie przypominam sobie, co w tamtym momencie powiedziałam, wiem tylko, że nerwowo paplałam. Szkoła, Connie, pusty nonsens młodej dziewczyny. Mój wzrok ślizgał się po przyczepie, palce skubały sukienkę Suzanne. Oczy krążyły po brudnej narzucie we *fleur-de-lis*. Pamiętam, że Russell uśmiechał się cierpliwie, czekał, aż wyczerpie się moja energia. I doczekał się. W przyczepie panowała cisza, maćona tylko moim oddechem i odgłosami Russella poprawiającego się na materacu.

– Mogę ci pomóc – powiedział. – Ale ty musisz tego chcieć.

Patrzył mi prosto w oczy.

– Chcesz tego, Evie?

Słowa przecięte naukowym pożądaniem.

– To ci się spodoba – mruknął Russell. Otworzył przede mną ręce. – Chodź tutaj.

Przesunęłam się ku niemu na materacu. Borykając się z domknięciem pełnego kręgu zrozumienia. Wiedziałam, co będzie, ale to i tak mnie zaskoczyło. Jak zdjął spodnie, obnażając krótkie owłosione nogi, jak wziął penisa w dłoń. Błysk wahania w moim wzroku – obserwował mnie obserwującą jego.

– Popatrz na mnie – powiedział. Głos miał gładki, chociaż jego ręka z furią pracowała. – Evie – powiedział – Evie.

Wygląd jego nedorobionego fiuta zamkniętego w dłoni: zastanawiałam się, gdzie jest Suzanne. Gardło mi się ścisnęło. Na początku zbiło mnie z tropu to, że Russellowi tylko na tym zależało. Żeby się dotykać. Siedziałam, usiłując odgadnąć sens tej sytuacji. Przeobraziłam zachowanie Russella w dowód jego dobrych intencji. Russell tylko próbował się zbliżyć, złamać moje kompleksy z dawnego świata.

– Możemy wzajemnie poprawić sobie samopoczucie – powiedział. – Nie musisz być smutna.

Wzdrygnęłam się, kiedy popchnął moją głowę ku swoim kolanom. Wypełnił

mnie piekący, niezręczny strach. Dobrze mu wyszło nieokazanie gniewu, kiedy się cofnęłam. Obrzucił mnie pobłażliwym spojrzeniem, jakbym była płochliwym koniem.

– Nie próbuję cię skrzywdzić, Evie. – Znowu wyciągnął rękę. Serce pulsowało mi jak lampa stroboskowa. – Chcę tylko być blisko ciebie. A ty nie chcesz, żebym poczuł się dobrze? Ja chcę, żebyś ty czuła się dobrze.

Kiedy doszedł, gwałtownie wciągnął powietrze. Słona kupka nasienia w moich ustach, alarmujące obrzmienie. Trzymał mnie, brykającą. Jak tu trafiłam, do tej przyczepy, jak znalazłam się w ciemnym lesie bez okruczeń wskazujących drogę do domu, ale potem dłonie Russella były w moich włosach, obejmował mnie, ciągnął w górę i wypowiedział moje imię z taką intencją i pewnością, że zabrzmiało dla mnie dziwnie, ale też gładko, wartościowo, jak jakiejś innej, lepszej Evie. Czy powinnam płakać? Nie wiedziałam. Głowę zapełniały mi idiotyczne błahostki. Czerwona bluza, którą pożyczyłam Connie i nie dostałam z powrotem. Czy Suzanne mnie szukała czy nie. Dziwny dreszcz za oczami.

Russell podał mi butelkę coli. Była letnia i bez gazu, ale wypłam wszystko. Odurzała jak szampan.

Doświadczyłam całej nocy jako przewidzianej przez przeznaczenie, ze sobą jako centrum wyjątkowego dramatu. Ale Russell przeprowadził mnie przez serię rytualnych prób. Udoskonalonych przez lata, gdy pracował dla organizacji religijnej pod Ukiah w ośrodku, który rozdawał jedzenie, znajdował dach nad głową i pracę. Przyciągał chude, udęczone dziewczyny z niedokończonymi studiami i zaniebującymi je rodzicami, dziewczyny z piekielnymi szefami i marzeniami o operacji nosa. Tym się karmił. W czasie, który spędził w placówce organizacji w San Francisco, ulokowanej w starej remizie strażackiej. Zbierał wyznawców. Już był ekspertem od żeńskiego smutku: specyficzne zgarbienie ramion, nerwowa wysypka. Służalczy zaśpiew na końcu zdania, rzęsy mokre od łez. Russell zrobił ze mną to samo co z tymi wszystkimi dziewczętami. Na początku drobne próby. Muśnięcie pleców, pulsu dłoni. Drobne sposoby na przekroczenie granic. I jak szybko przyspieszył, zsuwając spodnie do kolan. Akt, myślałam, wyskalowany tak, by pocieszyć młode dziewczyny, które były wdzięczne, że przynajmniej to nie był seks. Które przez cały czas mogły być całkowicie ubrane, jakby nie działo się nic odbiegającego od normy.

A najdziwniejszy był fakt, że mnie też się to podobało.

Dryfowałam przez imprezę w oszołomionym milczeniu. Natarczywe muśnięcia powietrza na skórze, pachy ślizgające się od potu. To się zdarzyło – musiałam to sobie powtarzać. Zakładałam, że wszyscy to we mnie zobaczą. Oczywiście aurę seksu. Przestałam się bać, nie krążyłam wśród ludzi zduszona nerwową potrzebą, pewnością, że jest tu ukryte pomieszczenie, do którego nie wolno mi wejść – ten niepokój został rozproszony, stawiałam marzycielskie kroki

i patrzyłam w mijane twarze z uśmiechem, który o nic nie prosił.

Kiedy zobaczyłam Guya stukającego paczką papierosów o dłoń, zatrzymałam się bez wahania.

– Mogę się poczęstować?

Uśmiechnął się do mnie.

– Dziewczyna chce papierosa, więc go dostanie.

Wsunął mi go w usta, a ja miałam nadzieję, że ludzie patrzą.

W końcu znalazłam Suzanne w grupie koło ogniska. Gdy złapała mój wzrok, posłała mi dziwny duszny uśmiech. Jestem pewna, że dostrzegła wewnętrzną zmianę, którą czasami widzimy u młodych dziewcząt tuż po inicjacji seksualnej. Myślę, że to duma, poczucie podniosłości. Chciałam, żeby wiedziała. Suzanne była czymś odurzona, to rzucało się w oczy. Nie alkoholem. Czymś innym, źrenice zdawały się pożerać tęczę, rumieniec barwił jej szyję jak psychodeliczny wiktoriański kołnier.

Może Suzanne odczuła rozczarowanie, kiedy gra się dopełniła, gdy zobaczyła, że jednak poszłam z Russellem. Choć może też się tego spodziewała. Samochód nadal się tlił, hałas imprezy przecinał mrok. Czułam, jak noc wiruje we mnie niczym koło.

– Kiedy to auto przestanie się palić? – zapytałam.

Nie widziałam jej twarzy, ale ją wyczuwałam, powietrze między nami było łagodne.

– Jezu, nie mam pojęcia – odparła. – Rano?

W migotliwym świetle moje ręce i dłonie wyglądały jak pokryte łuskami, gadzie, i ucieszyłam się z tej zniekształconej wizji własnego ciała. Usłyszałam posępny szum motocyklowego silnika, czyjeś radosne pohukiwanie – wrzucili do ognia łóżko ze sprężynami, płomienie strzeliły w górę, pociemniały.

– Możesz przekimać w moim pokoju, jeśli chcesz – powiedziała Suzanne. Jej głos niczego nie zdradzał. – Mnie to wisi. Ale musisz faktycznie tu być, jeśli masz tu być. Łapiesz?

Suzanne pytała mnie o coś innego. Jak w baśniach, gdzie gobliny mogą wejść do domu tylko wtedy, gdy jego mieszkańcy je zaproszą. Chwila przekraczania progu, staranność, z jaką Suzanne konstruowała swoje zdania – chciała, żebym to powiedziała. A ja kiwnęłam głową, odparłam, że rozumiem. Choć w gruncie rzeczy wcale nie rozumiałam. Miałam na sobie sukienkę, która do mnie nie należała, przebywałam w miejscu, w którym nigdy nie byłam, i niewiele więcej poza tym widziałam. Tylko ewentualność, że moje życie balansuje na krawędzi nowego i wiecznego szczęścia. Z anielską pobłażliwością pomyślałam o Connie – była słodką dziewczyną, bez dwóch zdań – i nawet rodzice znaleźli się w zasięgu mojej wspaniałomyślności, ofiary tragicznej egzotycznej choroby. Snop światła z reflektora motocykla wybielił konary drzew i oświetlił odsłonięte

fundamenty domów, czarnego psa schylonego nad niewidoczną zdobyczą. Ktoś ciągle od nowa puszczał tę samą piosenkę. *Hey, baby*, brzmiała pierwsza linijka. Powtórzono ją tyle razy, że fraza zaczęła krążyć mi w głowie: *Hey, baby*. Obracałam słowa z nieokreślonym wysiłkiem, brzmiały jak leniwe grzechotanie dropa cytrynowego o zęby.

CZĘŚĆ DRUGA

Obudziłam się z widokiem mgły napierającej na okno, sypialnię wypełniało śnieżne światło. Minęła chwila, nim ponownie przyswoiłam sobie rozczarowujące i znajome fakty: byłam w domu Dana. To jego sekretarzyk w kącie, jego stolik nocny ze szklanym blatem. Jego koc obsyty satynową tasiemką naciągnęłam na swoje ciało. Przypomniałam sobie o Julianie i Sashy, o cienkiej ścianie między nami. Nie chciałam myśleć o poprzedniej nocy. O kwileniu Sashy. O bełkotliwych, obsesyjnych pomrukach: „Rznij mnie rznij mnierznijmierznijmnie” powtórzonych tyle razy, że w końcu przestały cokolwiek znaczyć.

Wpatrywałam się w monotonię sufitu. Byli bezmyślni jak wszyscy nastolatki i noc poza tym nic nie znaczyła. A jednak. Uprzejmość nakazywała poczekać w swoim pokoju, aż wyjadą do Humboldt. Niech się zmyją bez konieczności silenia się na poranną grzeczność.

W chwili gdy usłyszałam samochód wycofujący się z garażu, wstałam z łóżka. Dom znowu należał do mnie i chociaż spodziewałam się ulgi, było też trochę smutku. Sasha i Julian ruszali w kolejną przygodę. Wskakiwali na powrót w pęd większego świata. Ja zblaknę w ich myślach – kobieta w średnim wieku w zapomnianym domu – zostanę tylko mentalnym przypisem, który będzie malał, gdy ich prawdziwe życie przejmie kontrolę. Do tej chwili nie uświadamiałam sobie, jaka jestem samotna. A może chodziło o coś mniej naglącego niż samotność: brak oczu skierowanych na mnie. Kogo by to obeszło, gdybym przestała istnieć? Pamiętałam te niemądre frazy wygłaszane przez Russella: przestań istnieć, napominał, usuń ego. I my wszyscy kiwający głowami jak golden retrievery, rzeczywistość naszej egzystencji czyniła nas nonszalanckimi, gotowymi zdemontować to, co wydawało się wieczne.

Nastawiłam czajnik. Otworzyłam okno, by umożliwić powiewowi zimnego wiatru cyrkulację. Zebrałam ogromną liczbę pustych butelek po piwie – pili dalej, kiedy spałam?

Po wyniesieniu ciężkiego worka i własnych odpadków złapałam się na tym, że wpatruję się w plamy karpobrotów rosnących ciasno wzdłuż podjazdu. Na plażę za nimi. Mgła zaczęła się wypalać, dostrzegałam czołgające się fale, klify nad nimi wyglądające na zardzewiałe i suche. Kilka osób widocznych z daleka w sportowych strojach spacerowało. Większość miała psy – to jedyna plaża w okolicy, gdzie można było spuszczać je ze smyczy. Kilka razy widziałam tego samego biegającego ciężko rottweilera z sierścią w kolorze głębszym niż czerni. Niedawno pitbul zabił kobietę w San Francisco. To było dziwne, że ludzie kochali stworzenia, które mogły zrobić im krzywdę? Albo zrozumieli: może wręcz kochali je za powściągliwość, za sposób, w jaki zapewniały istotom ludzkim chwilowe bezpieczeństwo.

Pośpiesznie wróciłam do środka. Nie mogłam wiecznie mieszkać w domu Dana. Kolejna praca niedługo się pojawi. Jakże to było znajome: wkładanie kogoś

do ciepłych, nieustępliwych wód wanny terapeutycznej. Siedzenie w poczekalniach przed gabinetami lekarskimi, czytanie artykułów o wpływie soi na guzy. Ważność napełnienia talerza ęczą. Zwykle życzeniowe kłamstwa, tragiczne w swojej nieskuteczności. Czy ktoś naprawdę w nie wierzył? Jakby jaskrawy błysk naszych wysiłków mógł zdekoncentrować śmierć idącą po nas, skłonić parsającego byka do nieszkodliwej pogoni za czerwoną płachtą.

Czajnik gwizdał, na początku więc nie usłyszałam Sashy wchodzącej do kuchni. Jej nagła obecność mnie przestraszyła.

– Dzień dobry – powiedziała. Na jej policzku zaschła strużka śliny. Była ubrana w krótkie dresowe szorty i skarpetki w maleńkie jaskraworóżowe symbole, które jak sobie uświadomiłam, były czaszkami. Przełknęła z trudem, usta miała zaklejone od snu. – Gdzie jest Julian? – zapytała.

Próbowałam ukryć zaskoczenie.

– Chwilę temu słyszałam odjeżdżający samochód.

Zmrużyła oczy.

– Co? – zapytała.

– Nie powiedział ci, że jedzie?

Zobaczyła moją litość. Twarz jej się ściągnęła.

– Jasne, że powiedział – oznajmiła po chwili. – Taa, jasne. Wróci jutro.

Więc ją zostawił. Moją pierwszą myślą była irytacja. Nie jestem niańką. Potem ulga. Sasha była dzieckiem – nie powinna jechać z nim do Humboldt. Wyprawa samochodem terenowym przez ogrodzone drutem kolczastym posterunki na jakieś gówniane ranczo z brezentowym dachem w Garberville po to tylko, żeby odebrać worek trawki. Nawet trochę cieszyłam się z towarzystwa.

– Zresztą nie lubię jazdy – powiedziała Sasha, dzielnie dostosowując się do sytuacji. – Robi mi się niedobrze na tych małych drogach. Poza tym on prowadzi jak szalony. Strasznie szybko. – Ziewając, oparła się o blat.

– Zmęczona? – zapytałam.

Odparła, że próbowała snu polifazowego, ale musiała zrezygnować.

– To było kompletnie pokrecone – powiedziała. Przez koszulę widać było jej sutki.

– Sen polifazowy? – powtórzyłam, w przyływie pruderii otulając się mocniej szlafrokiem.

– Thomas Jefferson tak robił. Śpi się po godzinie, powiedzmy sześć razy na dobę.

– A przez resztę czasu jesteś przytomna?

Sasha kiwnęła głowę.

– Przez pierwsze dni jest super. Ale potem padłam. Wyglądało na to, że nigdy nie będę normalnie spała.

Nie potrafiłam połączyć dziewczyny podsłuchanej wczoraj w nocy z tą, która

stała przede mną i opowiadała o eksperymentach ze snem.

– W czajniku jest dość gorącej wody, jeśli masz ochotę czegoś się napić – powiedziałam, ale Sasha pokręciła głową.

– Nie jem nic rano jak baletnica. – Spojrzała w okno na morze niczym tafla ołowiu. – Pływasz?

– Woda jest lodowata. – Tylko czasami widywałam jakiegoś surfera ośmielającego się wejść w fale z ciałem okrytym neoprenem, z kapturem na głowie.

– Więc próbowałaś? – zapytała.

– Nie.

Twarz Sashy ułożyła się w wyraz współczucia. Jakby omijała mnie jakąś oczywista przyjemność. Ale nikt nie pływa, pomyślałam, czując przyplływ opiekuńczości wobec własnego życia w tym pożyczonym domu, miejscowych orbit moich dni.

– No i są tam rekiny – dodałam.

– One tak naprawdę nie atakują ludzi. – Sasha wzruszyła ramionami.

Była śliczna jak gruźliczka zżerana przez wewnętrzny żar. Próbowałam wyłapać jakiś pornograficzny osad z poprzedniej nocy, ale niczego się nie dopatrzyłam. Twarz miała bladą i niewinną jak mniej ważny księżyc.

Bliskość Sashy nawet przez jeden dzień wymusiła niejaką normalność. Wbudowany środek prewencyjny w postaci innej osoby oznaczał, że nie mogłam pobłażać zwierzęcym instynktom, nie mogłam zostawiać w zlewie skórek z pomarańczy. Ubrałam się przed śniadaniem, zamiast do wieczora snuć się w szlafroku. Nałożyłam tusz z niemal wyschniętej tubki. To były niepodważalne ludzkie wysiłki, codzienne obowiązki, które oddalały większą panikę, ale żyjąc w pojedynkę, pozbyłam się nawyku – nie czułam się dostatecznie namacalna, by zasługiwać na ten rodzaj pracy.

Po raz ostatni mieszkałam z kimś lata temu, z mężczyzną, który uczył angielskiego jako drugiego języka w jednym z tych podejrzanych college'ów reklamujących się na przystankach autobusowych. Studentami byli głównie bogaci cudzoziemcy zamierzający projektować gry wideo. Zaskoczyło mnie to myślenie o nim, o Davidzie, wspomnienie okresu, kiedy wyobrażałam sobie życie z drugim człowiekiem. Nie miłość, ale przyjemną inercję, która mogła być substytutem. Zgodne milczenie w czasie jazdy samochodem. Wyraz, który zobaczyłam w jego oczach, kiedy spojrzał na mnie przy przechodzeniu przez parking.

Ale potem się zaczęło: kobieta, która pukała do drzwi mieszkania o dziwnych porach. Z łazienki zniknęła szczotka do włosów z kości słoniowej należąca do mojej babki. Nigdy nie powiedziałam Davidowi o pewnych sprawach, stąd bliskość, jakkolwiek mieliśmy, była automatycznie uszkodzona, robak wwiercający się w jabłko. Moja tajemnica opadła głęboko, ale tam była. Może

dlatego to się zdarzyło. Inne kobiety. Zostawiłam otwartą przestrzeń na tego rodzaju sekrety. A poza tym do jakiego stopnia udaje się nam poznać drugą osobę?

Wyobrażałam sobie, że spędzimy z Sashą dzień w grzecznym milczeniu. Że Sasha schowa się jak myszka. Była dostatecznie uprzejma, ale wkrótce jej obecność stała się oczywista. Zastałam otwarte drzwi lodówki wypełniającej kuchnię dziwnym brzęczeniem. Jej bluzka rzucona na stół, książka o Enneagramie rozłożona na krześle. Z jej pokoju z głośników laptopa dobiegała głośna metaliczna muzyka. Zaskoczyła mnie – płaczliwy głos tego piosenkarza był stałym tłem dźwiękowym dla określonego typu dziewcząt, które pamiętałam z college'u. Dziewcząt już przesiąkniętych nostalgią, dziewcząt zapalających świece, do późnej nocy wyrabiających ciasto na chleb w trykotach marki Danskin, z gołymi stopami.

Przywykłam do spotkań z pozostałościami – popioły lat sześćdziesiątych były wszędzie w tej części Kalifornii. Poszarpane strzępy flag modlitewnych w gałęziach dębów, vany bez kół na wieczność zaparkowane na polach. Starsi mężczyźni w ozdobnych koszulach i ich konkubiny. To jednak były oczekiwane zjawy lat sześćdziesiątych. Dlaczego Sashę miałyby to interesować?

Byłam zadowolona, kiedy zmieniła muzykę. Kobieta śpiewająca przy akompaniamencie brzmiącego gotycko pianina elektronicznego – nic, co rozpoznawałam.

Tamtego popołudnia próbowałam się zdrzemnąć, ale nie mogłam zasnąć. Leżałam, wpatrując się w oprawną fotografię wiszącą nad sekretarzykiem: piaszczysta wydma pofałdowana miętą. Demoniczne wiry pajęczyn w kątach. Zniecierpliwiona poprawiłam się w pościeli. Zbyt dotkliwie byłam świadoma Sashy w sąsiednim pokoju. Muzyka z jej laptopa nie umilkła przez całe popołudnie, czasami poza piosenkami wyłapywałam cyfrowy hałas, popiskiwanie i dzwonki. Co ona robiła – grała na telefonie? Wymieniała esemesy z Julianem? Nagle poczułam ból z powodu sposobów, w jakie musi podchodzić do swojej samotności.

Zapukałam do jej drzwi, ale muzyka była za głośno. Spróbowałam ponownie. Nic. Zakłopotana ujawnieniem wysiłków, już miałam umknąć do siebie, kiedy w progu pojawiła się Sasha. Twarz nadal miała otępiąłą od snu, włosy zmierzwiłone od poduszki. Może ona też chciała się zdrzemnąć.

– Napijesz się herbaty? – zapytałam.

Kiwnęła głową dopiero po chwili, jakby zapomniała, kim jestem.

Przy stole Sasha milczała. Studiowała swoje paznokcie, wzdychała z kosmicznej nudy. Pamiętałam tę pozę z własnego okresu dojrzewania: szczęka wypchnięta do przodu, wzrok utkwiony w oknie samochodu jak u niesłusznie oskarżonego więźnia i nieustanne rozpaczliwe pragnienie, żeby matka coś powiedziała. Sasha czekała, aż przebiję się przez jej rezerwę, zadam pytania, i czułam na sobie jej wzrok, kiedy nalewałam herbatę. Miło było być

obserwowaną, nawet podejrzliwie. Podałam ładne kubki, a krakersy gryczane, które ułożyłam w wachlarzyk, były tylko trochę nieświeże. Delikatnie stawiając przed nią talerz, uświadomiłam sobie, że chciałam jej zrobić przyjemność.

Herbata była za gorąca; w ciszy pochylałyśmy się nad kubkami, twarz mi wilgotniała od cienkiej roślinnej pary. Kiedy zapytałam Saszę, skąd pochodzi, skrzywiła się.

– Z Concord – powiedziała. – Tam jest do dupy.

– Chodzisz do college’u z Julianem?

– Julian nie jest w college’u.

Nie byłam pewna, czy Dan o tym wie. Usiłowałam sobie przypomnieć, co ostatnio słyszałam. Kiedy Dan wspominał o synu, robił to z wystudiowaną rezygnacją, grał kompletnie niezorientowanego tatusia. Kłopoty relacjonował z sitcomowym westchnieniem: chłopcy muszą się wyszumieć. W liceum u Juliana zdiagnozowano jakieś zaburzenia behawioralne, chociaż Dan nadał temu nic nieznaczące brzmienie.

– Długo jesteście razem? – zapytałam.

Sasha popijała herbatę.

– Kilka miesięcy. – Twarz jej się ożywiła, jakby rozmowa o Julianie była źródłem pokarmu.

Musiała mu już wybaczyć, że ją zostawił. Dziewczętom świetnie wychodziło kolorowanie tego rodzaju rozczarowujących pustych miejsc. Pomyślałam o poprzedniej nocy, o jej przesadzonych jękach. Biedna Sasha.

Przypuszczalnie wierzyła, że wszelki smutek, każde ukłucie niepokoju o Juliana to tylko problemy logistyczne. W tym wieku smutek miał przyjemną fakturę uwięzienia: wierzgałaś i dąsałaś się z powodu ograniczeń narzucanych przez rodziców, szkołę, lata, rzeczy, które cię odgradzały od czekającego pewnego szczęścia. Na pierwszym roku college’u miałam chłopaka mówiącego bez tchu o ucieczce do Meksyku – nie przyszło mi do głowy, że już nie możemy uciec z domu. Nie wyobrażałam też sobie, do czego będziemy uciekać, poza mglistymi obrazami ciepłego powietrza i częstszego seksu. Teraz byłam starsza i życzeniowe rekwizyty przyszłych wcieleń utraciły zdolność podnoszenia na duchu. Niewykluczone, że zawsze w jakiejś formie to czułam, depresję, która nie mijała, ale stawała się bardziej zwarta, znajoma, była przestrzenią zajmowaną w taki sposób jak smutna próżnia pokojów hotelowych.

– Posłuchaj – powiedziałam, wchodząc w śmiesznie niezasłużoną rolę rodzica. – Mam nadzieję, że Julian jest dla ciebie miły.

– Dlaczego miałby nie być? To mój chłopak. Mieszkamy razem.

Z taką łatwością mogłam sobie wyobrazić, co uchodziło za mieszkanie razem. Wynajmowane na miesiąc mieszkanie, cuchnące mrożonymi daniami i cloroxem, z dziecięcą kołderką Juliana na materacu. Dziewczęcy wysiłek

zapalania świecy zapachowej koło łóżka. Co nie znaczy, że sama lepiej sobie radziłam.

– Pewnie przeprowadzimy się do mieszkania z pralką – powiedziała Sasha, w jej głosie pojawiła się nuta nowej prowokacji, gdy zdradzała mizerne warunki, w jakich żyli. – Za kilka miesięcy.

– Twoim rodzicom odpowiada, że mieszkasz z Julianem?

– Mogę robić, co mi się podoba. – Wsunęła dłonie w rękawy bluzy Juliana. – Mam osiemnaście lat.

To nie mogło być prawdą.

– A poza tym – powiedziała – chyba miałeś tyle lat co ja, kiedy byłeś w tej sekcie?

Mówiła obojętnie, ale ja wyobraziłam sobie cień oskarżenia.

Zanim zdążyłam się odezwać, Sasha wstała i przesunęła się w stronę lodówki. Obserwowałam jej sztuczne ruchy, swobodę, z jaką wyjęła piwo, które przywieźli. Na etykietce lśnił zarys posrebrzanych gór. Spojrzała mi w oczy.

– Chcesz? – zapytała.

Zrozumiałam, że to test. Albo będę typem dorosłego, którego trzeba ignorować lub któremu należy współczuć, albo osobą, z którą da się pogadać. Kiwnęłam głową i Sasha się odprężyła.

– Orientuj się – powiedziała, rzucając mi butelkę.

Noc nadeszła szybko, jak ma w zwyczaju na wybrzeżu, bez pośrednictwa budynków łagodzących zmianę. Słońce wisiało nisko, mogliśmy patrzeć prosto w jego tarczę, obserwować, jak znika z zasięgu wzroku. Obie wypiliśmy po kilka piw. W kuchni zrobiło się ciemno, ale żadna z nas nie wstała, żeby zapalić światło. Wszystko pokrywał błękitny cień, miękki i wspaniały, upraszczający meble do zarysów. Sasha zapytała, czy możemy zapalić w kominku.

– Jest na gaz – odparłam. – I zepsuty.

Mnóstwo rzeczy w domu było zepsutych albo zapomnianych: zegar kuchenny nie chodził, gałka szafy została mi w dłoni. Z kątów wymiotłam połyskliwą masę much. Zapobieżenie rozkładowi wymagało stałego i długotrwałego zamieszkiwania tego miejsca. Nawet moja kilkutygodniowa obecność niewiele pomogła.

– Ale możemy rozpalić ognisko na podwórku – powiedziałam.

Piaszczyste podwórko za garażem było osłonięte przed wiatrem, plastikowe krzesła pokrywały zbite wilgotne liście. Kiedyś był tam rodzaj paleniska, kamienie leżały rozrzucone pomiędzy bezsensownymi archeologicznymi relikami życia rodzinnego: dodatki do zapomnianych zabawek, wyglądające na pogryzione kawałki frisbee. Naszą uwagę zajęły przygotowania, obowiązki, które zezwalały na przyjazne milczenie. W garażu znalazłam stos gazet sprzed trzech lat i wiązkę drewna ze sklepu w mieście. Sasha kopniakami na powrót ułożyła kamienie

w krąg.

– Zawsze fatalnie mi to wychodziło – powiedziałam. – Trzeba coś zrobić, tak? Jakiś specjalny kształt z drewna?

– Jak dom – odparła Sasha. – Powinny wyglądać jak dom. – Stopą wyrównywała krąg. – Kiedy byłam mała, często jeździliśmy na biwak do Yosemite.

To Sasha rozpała ogień: kuciała na piasku i wypuszczała z płuc równy strumień powietrza. Oswajała płomień, aż mocno rozbłysły.

Usiadłyśmy na plastikowych krzesłach z powierzchnią pocętkowaną przez piasek i wiatr. Swoje przyciągnęłam blisko ognia – chciałam czuć gorąco, pocić się. Sasha milczała, wpatrując się w podskakujące płomień, wyczuwałam jednak jej wirujące myśli, odległe miejsce, w którym zniknęła. Może sobie wyobrażała, co Julian robi w Garberville. Piżmowy futon, na którym będzie spał, wykorzystując ręcznik jako koc. Wszystkie elementy przygody. Jakie to musi być miłe, kiedy się jest dwudziestoletnim chłopakiem.

– Te sprawy, o których mówił Julian – odezwała się Sasha, odchrząkując, jakby była zażenowana, chociaż jej zainteresowanie rzucało się w oczy. – Byłaś, no, zakochana w tym facecie czy jak?

– W Russellu? – Patykiem szturchnęłam polana. – Nie myślałam o nim w taki sposób.

To była prawda: inne dziewczęta krążyły wokół Russella, śledziły jego poruszenia i nastroje jak linie na mapach pogodowych, ale w moim umyśle najczęściej pozostawał odległy. Jak ukochany nauczyciel, którego życia domowego uczniowie nigdy sobie nie wyobrażają.

– W takim razie dlaczego z nimi byłaś?

W pierwszym impulsie chciałam uniknąć tego tematu. Wiązał się z koniecznością sprecyzowania wszystkich krawędzi. Odegrania moralitetu: żal, przestroga. Próbowalam przyjąć rzeczowy ton.

– W tamtych czasach ludzie ciągle wplątywali się w takie rzeczy. Scjentologia, Process, technika pustego krzesła. To nadal jest modne? – Spojrzałam na nią: czekała na dalszy ciąg. – Przypuszczam, że po części to był pech. Trafiłam akurat na tę grupę.

– Ale zostałaś.

Po raz pierwszy wyczułam pełną siłę ciekawości Sashy.

– Była tam pewna dziewczyna. Bardziej chodziło o nią niż o Russella. – Zawahałam się. – Suzanne. – Dziwnie było wypowiadać jej imię, pozwolić, by żyło w świecie. – Starsza ode mnie. Niewiele, ale wydawało się, że dużo.

– Suzanne Parker?

Przez płomień wpatrywałam się w Sashę.

– Sprawdziłam dzisiaj różne rzeczy – powiedziała. – W sieci.

Raz straciłam na to wiele godzin. Strony wielbicieli czy jak je nazwać. Dziwniejsze zakątki. Strona poświęcona więziennym dziełom Suzanne. Akwarele z łańcuchami górskimi, purchawkami obłoków, podpisami naszpikowanymi błędami ortograficznymi. Poczułam ukłucie, wyobrażając sobie Suzanne pracującą w wielkim skupieniu, ale zamknęłam stronę, kiedy zobaczyłam fotografię: Suzanne w błękitnych dżinsach i białej koszulce – dżinsy wypełnione tłuszczem wieku średniego, twarz jak pusta kurtyna.

Na myśl o Sashy żerującej na tym zalewie makabry poczułam się nieswojo. Faszerowała się szczegółami: raportami z sekcji zwłok, zeznaniami dziewczyn o tamtej nocy jak zapis sennego koszmaru.

– To nie jest powód do dumy – powiedziałam. Zrelacjonowałam rzeczy oczywiste: to było okropne. Nie wspaniałe, nie godne zazdrości.

– Nie było nic o tobie – powiedziała Sasha. – W każdym razie ja nic nie znalazłam.

Zamarłam. Chciałam powiedzieć jej coś wartościowego, o moim życiu analizowanym z taką starannością, żebym stała się widzialna.

– Tak jest lepiej – powiedziałam. – Dzięki temu nie namierzą mnie wariaci.

– Ale byłaś tam?

– Mieszkałam tam. Praktycznie. Przez pewien czas. Nikogo nie zabiłam ani nic takiego. – Mój śmiech zabrzmiał płasko. – Jak widać.

Otuliła się bluzą.

– Tak po prostu odeszłaś od rodziców? – W jej głosie brzmiał podziw.

– To były inne czasy – odparłam. – Wszyscy uciekali. Moi rodzice się rozwiedli.

– Tak jak moi – powiedziała Sasha, zapominając o nieśmiałości. – I byłaś w moim wieku?

– Trochę młodsza.

– Założę się, że byłaś śliczna. To znaczy, hm, teraz też jesteś śliczna.

Widziałam, jak się nadyma własną wspaniałomyślnością.

– Jak w ogóle ich spotkałaś? – zapytała Sasha.

Minęła chwila, nim pozbierałam myśli, przypomniałam sobie sekwencję wydarzeń. „Powrót” to słowo, którego zawsze używają w rocznicowych artykułach o morderstwie. „Powrót do koszmaru przy Edgewater Road”, jakby to zdarzenie istniało pojedynczo, było pudełkiem, które można zamknąć pokrywką. Jakby nie zatrzymywały mnie setki widmowych Suzanne na ulicach albo na drugim planie filmów.

Odpowiadałam na pytania Sashy, jacy byli w prawdziwym życiu ci ludzie, którzy stali się totemami samych siebie. Media mniej interesowały się Guyem, był mężczyzną robiącym to, co mężczyźni zawsze robili, ale dziewczęta zamieniono w legendę. Donna była tą nieatrakcyjną, powolną i nieokrzesaną, często

przedstawianą jako obiekt litości. Miała wygłodniałą surowość na twarzy. Helen, dawna członkini organizacji Camp Fire, opalona, z kucykami, śliczna – była fetyszem, morderczynią z plakatu. Ale najbardziej dostało się Suzanne. Zdeprawowana. Zła. Jej ukradkowa uroda nie wychodziła dobrze na fotografiach. Wyglądała dziko i mizernie, jakby mogła istnieć wyłącznie po to, żeby zabić.

Rozmowa o Suzanne wywołała u mnie przyspieszone bicie serca, byłam pewna, że Sasha to widzi. To wydawało się powodem do wstydu. Odczuwanie takiego beznadziejnego podniecenia, wzięwszy pod uwagę to, co się stało.

Dozorca na kanapie, jego zwinięte wnętrzności na widoku. Włosy matki przesiąknięte krwią. Chłopczyk do tego stopnia z maltretowany, że policja nie była pewna jego płci. Sasha z pewnością o tym też czytała.

– Zastanawiałaś się kiedyś, czy mogłabyś zrobić to co oni? – zapytała.

– Jasne, że bym nie mogła – odparłam odruchowo.

Przy wszystkich tych okazjach, kiedy komuś opowiadałam o ranczu, tylko garstka zadawała mi to pytanie. Czy ja też mogłabym to zrobić. Czy o mało tego nie zrobiłam. Większość zakładała, że odróżniał mnie podstawowy poziom moralności, jakby te dziewczyny należały do innego gatunku.

Sasha milczała. Jej milczenie wydawało się rodzajem miłości.

– Chyba czasami się zastanawiałam – powiedziałam. – To czysty przypadek, że tego nie zrobiłam.

– Przypadek?

Ogień słabł, stawał się nierówny.

– Różnica nie była aż tak wielka. Pomiędzy mną a pozostałymi dziewczynami.

Dziwnie było powiedzieć to na głos. Ostrożnie okrążyć, nawet z daleka, niepokój, który przez cały ten czas przepracowywałam. Sasha nie okazywała dezaprobaty ani nawet czujności. Po prostu patrzyła na mnie uważnie, jakby mogła przyjąć moje słowa i znaleźć dla nich dom.

Poszliśmy do jedyne go baru w mieście serwującego jedzenie. To wydawało się dobrym pomysłem, celem, do którego mogliśmy zmierzać. Pożywienie. Ruch. Rozmawialiśmy, dopóki ognisko nie wypaliło się do rozżarzonych strzępów gazet. Sasha kopniakami zasypała palenisko, rozśmieszyła mnie ta jej skautowska skrupulatność. Cieszyłam się, że jestem z kimś, choć ta ulga była tymczasowa – Julian wróci, Sasha wyjedzie i znowu zostanę sama. Mimo to miło było być przedmiotem czyjegoś podziwu. Bo głównie na tym to polegało: odnosiłam wrażenie, że Sasha szanuje czternastolatkę, którą byłam, uważa, że jestem interesująca, że w przeszłości zdobyłam się na jakąś odwagę. Usiłowałam wyprowadzić ją z błędu, ale w mojej klatce piersiowej rozprzestrzeniło się poczucie komfortu, na nowo zajęło całe ciało, jakbym się przebudziła z mglistego snu wywołanego lekami.

Ramię w ramię szliśmy poboczem drogi wzdłuż akweduktu. Spiczaste drzewa były gęste i ciemne, ale nie czułam strachu. Wieczór nabrał dziwnej, radosnej atmosfery i Sasha z jakiegoś powodu zaczęła nazywać mnie Vee.

– Mama Vee – powiedziała.

Była jak kociak, miła i łagodna, jej ciepłe ramię objęło się o moje. Kiedy na nią spojrzałam, zobaczyłam, że przygryzając dolną wargę, unosi twarz do nieba. Ale nic nie mogła zobaczyć, gwiazdy przysłaniała mgła.

W barze było kilka stołków i niewiele więcej. Zwykły kolaż zardzewiałych szyldów, dwa mruczące neonowe oka nad drzwiami. Ktoś w kuchni palił papierosa, chleb był przesiąknięty dymem. Po zjedzeniu nie wyszliśmy od razu. Sasha wyglądała na piętnaście lat, ale ich to nie obchodziło. Barmanka, kobieta po pięćdziesiątce, najwyraźniej była wdzięczna za jakikolwiek ruch. Sprawiała wrażenie przepracowanej, włosy miała kruche od kupowanej w drogerii farby. Byliśmy niemal w tym samym wieku, nie zamierzałam jednak patrzeć w lustro, żeby potwierdzać podobieństwa, nie z Sashą na sąsiednim krześle. Sashą, której czyste, niewinne rysy przypominały świętą z medalika.

Sasha kręciła się na stołku jak małe dziecko.

– Popatrz na nas. – Śmiała się. – Ostro imprezujemy. – Zamówiła piwo, potem wodę, skrupulatny zwyczaj, który jednak nie zapobiegł widocznemu zwiotczeniu mięśni. – Właściwie się cieszę, że Juliana tu nie ma – powiedziała.

Słowa wywołały w niej ekscytację. Wtedy już wiedziałam, żeby jej nie straszyć, tylko dać przestrzeń, by powoli zmierzała do celu. Sasha z roztargnieniem kopnęła w dolną poręcz baru, jej piwny oddech był bliski.

– Nie powiedział mi, że wyjeżdża – dodała. – Do Humboldt. – Udałam zaskoczenie. Roześmiała się niewesoło. – Rano nigdzie go nie było, pomyślałam, że no, wyszedł. To trochę dziwne, no nie? Że tak po prostu wyjechał?

– Tak, dziwne. – Zbyt ostrożnie może, ale pilnowałam się, by nie sprowokować cnotliwej obrony Juliana.

– Przysłał mi esemesa, że przeprasza. Chyba myślał, że o tym rozmawialiśmy. – Napila się piwa. Wilgotnym palcem narysowała uśmiechniętą buźkę na drewnianym blacie baru. – Wiesz, dlaczego go wykopali z Irvine? – Była w połowie wstawiona, w połowie ostrożna. – Zaraz, nie powiesz o tym jego tacie, prawda?

Pokręciłam głową, osoba dorosła gotowa zachować tajemnicę nastolatki.

– Okay. – Sasha nabrała powietrza w płuca. – Miał nauczyciela informatyki, którego nienawidził. To był głupek. To znaczy ten nauczyciel. Nie pozwolił Julianowi po terminie oddać pracy, chociaż wiedział, że bez tej oceny Julian nie zaliczy przedmiotu. Więc Julian poszedł do domu tego faceta i zrobił coś jego psu. Nakarmił go czymś, żeby zachorował. Wybielaczem albo trutką na szczury, dokładnie nie wiem. – Sasha spojrzała mi w oczy. – Pies zdechł. Był stary.

Zmagałam się, by zachować obojętny wyraz twarzy. Pozbawiona cienia emocji prostota, z jaką opowiedziała tę historię, tylko ją pogorszyła.

– W szkole wiedzieli, że to zrobił, ale nie mieli dowodów – powiedziała Sasha. – Więc go zawiesili za inne sprawy, ale nie mógł wrócić ani nic takiego. To takie pochrzanione. – Spojrzała na mnie. – Nie wydaje ci się?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Mówił, że nie chciał zabić ani nic, tylko żeby pies się pochorował. – Ton Sashy był ostrożny, testujący myśl. – To nie jest takie złe, co?

– Nie wiem – odparłam. – Dla mnie brzmi źle.

– Ale wiesz, ja z nim mieszkam – powiedziała Sasha. – On płaci czynsz i tak dalej.

– Zawsze są miejsca, do których można się przenieść.

Biedna Sasha. Biedne dziewczęta. Świat tuczy je obietnicą miłości. Jak strasznie jej potrzebują i jak mało większość z nich kiedykolwiek jej dostaje. Przesłodzone piosenki pop, sukienki opisywane w katalogach słowami takimi jak „zachód słońca” i „Paryż”. A potem marzenia są odbierane z gwałtowną siłą: dłoń szarpiąca guziki dżinsów, nikt nie patrzy na mężczyznę wrzeszczącego na swoją dziewczynę w autobusie. Smutek z powodu Sashy ścisnął mi gardło.

Musiała wyczuć moje wahanie.

– Nieważne – powiedziała. – To było jakiś czas temu.

Tak pewnie to wygląda, kiedy się jest matką, pomyślałam, patrząc, jak Sasha opróżnia szklankę i po chłopięcemu wyciera usta. Odczuwanie do drugiej osoby niespodziewanej, niezmierzonej czułości, pozornie biorącej się nie wiadomo skąd. Kiedy przyplątał się bilardzista, byłam gotowa go przepędzić. Ale Sasha szeroko się uśmiechnęła, pokazując spiczaste zęby.

– Cześć – powiedziała i potem on postawił nam po piwie.

Sasha piła równo. Przechodziła od roztargnionej nudy do maniackalnego zainteresowania, udawanego lub nie, tym, co mężczyzna mówił.

– Nie jesteście stąd? – zapytał. Włosy miał siwiejące i długie, turkusowy pierścionek na kciuku – kolejna zjawa z lat sześćdziesiątych. Może nawet w tamtych czasach nasze drogi się skrzyżowały, kiedy nawiedzaliśmy te same wydeptane szlaki. Poprawił spodnie. – Siostry?

Jego głos ledwo próbował mnie włączyć w zasięg starań i prawie wybuchnęłam śmiechem. Mimo to zdawałam sobie sprawę, że przez to, iż siedzę koło Sashy, część uwagi spływa także na mnie. Szokujące było przypomnienie sobie tego napięcia, nawet z drugiej ręki. Co się czuło, kiedy ktoś nas pożądał. Może Sasha tak bardzo do tego przywykła, że przestała to zauważać. Złapana w pęd swojego życia, w przekonanie o trajektorii wiodącej ku poprawie.

– To moja matka – powiedziała Sasha. Wzrok miała intensywny, chciała, żebym podjęła żart.

I tak zrobiłam. Objęłam ją.

– Jesteśmy na wyprawie we dwie, matka i córka – powiedziałam. – Jedziemy jedyneką. Aż do Eureka.

– Żadne przygód! – wykrzyknął mężczyzna, waląc w blat.

Dowiedziałyśmy się, że ma na imię Victor. Tapeta na jego komórce przedstawiała aztecki obraz, do tego stopnia naładowany mocami, jak nam powiedział, że przez samo wpatrywanie się w niego człowiek stawał się mądrzejszy. Był przekonany, że wydarzenia na świecie są aranżowane przez skomplikowane i trwałe spiski. Wyjął banknot jednodolarowy, żeby nam pokazać, jak Iluminaci komunikują się ze sobą.

– Dlaczego tajne stowarzyszenie miałoby prezentować swoje plany na zwykłym banknocie? – zapytałam.

Pokiwał głową, jakby się spodziewał tego pytania.

– Żeby pokazać zasięg swojej władzy.

Zazdrościłam Victorowi pewności, idiotycznej składni sprawiedliwych. Wiary – jakby świat odznaczał się widzialnym porządkiem, a my musieliśmy tylko rozglądać się za symbolami – że zło jest szyfrem, który można złamać. Mówił dalej. Zęby miał mokre od drinka, martwy trzonowy połyskiwał szaroniebiesko. Victor miał w zanadrzu ogrom spisków, które chciał nam wyjaśnić w szczegółach, dysponował mnóstwem poufnych informacji, którymi mógł się z nami podzielić. Mówił o „wejściu na poziom”. O „ukrytych częstotliwościach” i „rządach cieni”.

– Ojej – powiedziała Sasha ze śmiertelną powagą. – Wiedziałaś o tym, mamo?

Nadal nazywała mnie mamą głosem przesadzonym i komicznym – chwilę mi zajęło zorientowanie się, jaka jest pijana. Uświadomienie sobie, jaka ja jestem pijana. Noc wpłynęła na obce wody. Migotanie neonów, barmanka paląca w progu. Patrzyłam, jak przydeptuje niedopałek, jak japonki ślizgają się jej na stopach. Victor powiedział, jakie to fajne, że między Sashą a mną tak świetnie się układa.

– W dzisiejszych czasach to rzadki widok. – Z namysłem pokiwał głową. – Matki i córki, które razem wyjeżdżają w podróż. Które tak słodko się do siebie odnoszą jak wy.

– Och, ona jest rewelacyjna – powiedziała Sasha. – Kocham moją mamę.

Posłała mi podstępny uśmiezek, po czym zbliżyła twarz do mojej. Suchy nacisk jej warg, ukłucie soli z pikli. Najbardziej niewinny z pocałunków. Ale jednak pocałunek. Victor był zszokowany. Tak bardzo, jak Sasha liczyła.

– Cholera – powiedział Victor, równocześnie zde gustowany i podniecony.

Wyprostował swoje szerokie ramiona, wsunął za pasek podobną do bluzki koszulę. Nagle patrzył na nas czujnie, rozglądał się w poszukiwaniu wsparcia, potwierdzenia. Chciałam mu wyjaśnić, że Sasha nie jest moją córką, ale przestało mnie cokolwiek obchodzić, noc podsyciała niemądre, dezorientujące wrażenie, że

jakimś sposobem po okresie nieobecności wróciłam do świata, znowu zamieszkałam w królestwie żywych.

1969

Ojciec zawsze zajmował się basenem: przesuwał po tafli wody siecią, składał mokre liście na stos. Kolorowymi fiolkami sprawdzał poziom chloru. Nigdy nadmiernie się do tego nie przykładał, ale po jego odejściu basen był w okropnym stanie. Salamandry leniwie krążyły wokół filtra. Kiedy się podciągnęłam na krawędzi, poczułam jakiś ospały opór, za mną rozprasał się kozuch. Matka była na spotkaniu grupy. Zapomniała, że obiecała mi kupić nowy kostium kąpielowy, nosiłam więc stary pomarańczowy: jasny jak kantalupa, z prującymi się szwami. Góra była za mała, ale dorosły rowek między piersiami sprawiał mi przyjemność.

Od imprezy z okazji przesilenia minął dopiero tydzień, a ja już wróciłam na ranczo, już kradłam pieniądze dla Suzanne, banknot za banknotem. Lubię sobie wyobrażać, że zajęło to więcej czasu. Że miesiącami trzeba było mnie przekonywać, wolno łamać. Uwodzić z taką starannością jak walentynkę. Ale ja byłam chętnym celem, palącym się, żeby siebie ofiarować.

Unosiłam się na wodzie, algi cętkowały włoski na moich nogach jak opiłki magnesu. Na leżaku marszczyła się zapomniana książka w miękkiej oprawie. Liście drzew srebrzyły się i błyszcząły jak łuski, wszystko rozwinęło się bujnie w czerwcowym leniwym upale. Czy drzewa wokół mojego domu zawsze wyglądały tak dziwnie i wodnie? A może dla mnie sprawy już się zmieniały, nudne śmieci normalnego świata przekształcały się w bogate sceniczne scenografie innego życia?

Rano po przesileniu Suzanne odwiozła mnie do domu, rower leżał na tylnym siedzeniu. Usta miałam wylugowane i obce od nadmiernego palenia, ubranie stęchłe od ciała i cuchnące popiołem. Ciągłe wyjmowałam słomę z włosów – dowód na ubiegłą noc, który wywoływał we mnie dreszcze jak podstemplowany paszport. Więc to jednak się zdarzyło, prowadziłam sugestywny katalog szczęśliwych danych. To, jak siedziałam obok Suzanne, nasze przyjazne milczenie. Perwersyjna duma, że byłam z Russellem. Przyjemność sprawiało mi odtwarzanie aktu, nawet brudnych i nudnych części. Dziwne chwile spokoju, kiedy Russell doprowadzał się do erekcji. Była jakaś potęga w otwartości funkcji ludzkiego ciała. Jak wyjaśnił mi Russell: ciało może cię przepchać przez ograniczenia, jeśli mu na to pozwolisz.

Prowadząc, Suzanne paliła bez przerwy, od czasu do czasu podawała mi papierosa w błogim rytuale. Cisza pomiędzy nami nie była martwa ani niewygodna. Za oknem samochodu migwały drzewa oliwne, spalona letnia ziemia. Dalekie kanały wolno toczące się do morza. Suzanne ciągle zmieniała stacje w radiu, aż w końcu gwałtownie je wyłączyła.

– Potrzebujemy benzyny – oznajmiła.

My, powtórzyłam w myślach, *my* potrzebujemy benzyny.

Suzanne wjechała na stację Texaco, pustą z wyjątkiem niebiesko-białego pick-upa z przyczepą na łądz.

– Podaj mi kartę – powiedziała Suzanne. Głową wskazała skrytkę.

Z trudem ją otworzyłam, uwalniając stosy kart kredytowych. Każda na inne nazwisko.

– Niebieską – powiedziała. Sprawiała wrażenie zniecierpliwionej.

Kiedy podałam jej kartę, zobaczyła moją dezorientację.

– Ludzie nam je dają – powiedziała. – Albo im zabieramy. – Przesunęła palcem po niebieskiej karcie. – Ta jest od Donny. Zwędziła ją swojej mamie.

– Kartę na benzynę?

– Uratowała nam dupę, umarlibyśmy z głodu – powiedziała Suzanne. – Tak jak ty zwinęłaś ten papier toaletowy, no nie?

Zarumieniłam się na tę wzmiankę. Może wiedziała, że skłamałam, ale nie potrafiłam tego odczytać z jej zamkniętej twarzy – więc może nie.

– Poza tym – ciągnęła – to jest lepsze od tego, co oni by z nimi zrobili: więcej gówna, więcej rzeczy, więcej mnie, mnie, mnie. Russell próbuje pomóc ludziom. Nie ocenia, to nie jego działka. Nie obchodzi go, czy jesteś bogata czy biedna.

Słowa Suzanne miały jakiś sens. Próbowali zrównoważyć siły w świecie.

– To jest ego – mówiła, opierając się o samochód, ale czujnie obserwując licznik: nikt z nich nigdy nie napełniał baku bardziej niż w jednej czwartej. – Pieniądze to ego i ludzie z nich nie zrezygnują. Chcą się chronić, czepiają się ich jak koca. Nie zdają sobie sprawy, że są niewolnikami pieniędzy. To chore.

Roześmiała się.

– Śmieszne jest to, że w chwili gdy wszystko rozdasz, w chwili gdy powiesz: „Hej, weź to”, wtedy naprawdę masz wszystko.

Ktoś z grupy został zatrzymany za grzebanie w kontenerach ze śmieciami i Suzanne z rozdrażnieniem opowiadała tę historię, wyjeżdżając ze stacji na drogę.

– Coraz więcej sklepów się w tym orientuje. Co za gówno – powiedziała. – Wyrzucają coś i nadal im na tym zależy. To jest Ameryka.

– To jest gówno. – Dźwięk tego słowa wydał się dziwny w moich ustach.

– Coś wykombinujemy. Niedługo. – Spojrzała we wsteczne lusterko. – Pieniądzy brakuje. Ale przed tym po prostu nie da się uciec. Przypuszczalnie nie wiesz, jak to jest.

Nie szydziła ze mnie, w gruncie rzeczy nie – mówiła, jakby po prostu stwierdzała prawdę. Z przyjaznym wzruszeniem ramion uznawała rzeczywistość. To wtedy pomysł przyszedł mi do głowy, w pełni uformowany, jakbym sama na niego wpadła. I tak to wyglądało, jak właściwe rozwiązanie, jak błyszcząca ozdoba w zasięgu ręki.

– Mogę zdobyć pieniądze – powiedziałam, później wzdrygając się na swój

zapał. – Moja mama wiecznie zostawia gdzieś torebkę.

To była prawda. Ciągłe natykałam się na pieniądze: w szufladach, na stołach, zapomniane koło umywalki w łazience. Dostawałam kieszonkowe, ale matka często niechętnie dawała mi więcej albo mgliście wskazywała w kierunku torebki.

– Weź, ile potrzebujesz – powtarzała. A ja nigdy nie brałam więcej, niż powinnam, i zawsze skrupulatnie zwracałam resztę.

– Och nie – powiedziała Suzanne, pstrykając niedopałkiem przez okno. – Nie musisz tego robić. Ale słodki z ciebie dzieciak – powiedziała. – Miło, że zaproponowałaś.

– Chcę.

Ściągnęła usta, udając niepewność, rozpalając płomyk w moim brzuchu.

– Nie chcę, żebyś robiła coś, czego nie chcesz robić. – Roześmiała się krótko. – Ja taka nie jestem.

– Ale ja chcę – zapewniłam. – Chcę pomóc.

Suzanne nie odzywała się przez minutę, potem się uśmiechnęła, nie patrząc na mnie.

– Okay – powiedziała. Nie przegapiłam sprawdzającej nuty w jej głosie. – Chcesz pomóc. Możesz pomóc.

Zadanie uczyniło ze mnie szpiega w domu matki, a z mojej matki nieświadomą ofiarę. Byłam nawet w stanie przeprosić za kłótnię, kiedy tamtego wieczoru wpadłam na nią w bezruchu korytarza. Matka wzruszyła lekko ramionami, ale przyjęła przeprosiny, uśmiechając się odważnie. Normalnie zaniepokoiłby mnie ten drżący dzielny uśmiech, ale nowa ja schyliła głowę w pokornym żalu. Imitowałam córkę, zachowując się, jak zachowywałaby się córka. Część mnie ekscytowała się wiedzą, którą trzymałam poza jej zasięgiem, tym, że za każdym razem kiedy na nią patrzę albo do niej mówię, kłamie. Noc z Russellem, ranczo, sekretna przestrzeń, którą pielęgnowałam na boku. Ona mogła mieć tylko skorupę mojego dawnego życia, wszystkie te wyschnięte resztki.

– Wcześniej wróciłaś – powiedziała. – Myślałam, że znowu przenocujesz u Connie.

– Nie miałam ochoty.

Dziwne było to przypomnienie o Connie, gwałtowne wepchnięcie do normalnego świata. Byłam wręcz zaskoczona, że czuję zwyczajny apetyt na jedzenie. Chciałam, żeby świat dostrzegalnie się przeorganizował wokół zmiany, jak skóra na rozcięciu.

Matka złagodniała.

– Cieszę się, bo chciałam spędzić trochę czasu z tobą. Tylko we dwie. Minęło trochę czasu, co? Może przygotuję strogonowa – powiedziała. – Albo pulpeciki. Co o tym myślisz?

Jej oferta wzbudziła we mnie podejrzliwość: nie kupowała jedzenia do

domu, dopóki nie napisałam jej liścika, który znajdowała po powrocie z grupy. I od wieków nie jadłyśmy mięsa. Sal powiedziała matce, że jedzenie mięsa to jedzenie strachu, a jedzenie strachu powoduje tycie.

– Pulpeciki byłyby świetne – zgodziłam się. Nie chciałam zauważyć, jak ją uszczęśliwiłam.

Matka włączyła radio w kuchni, nadawano rodzaj lekkich, kojących piosenek, które uwielbiałam w dzieciństwie. Brylantowe pierścionki, chłodne strumienie, jabłonie. Gdyby Suzanne albo Connie kiedykolwiek przyłapały mnie na słuchaniu tego rodzaju muzyki, skręcałabym się z zażenowania (była przesłodzona, radosna i staroświecka), ale ja darzyłam ją powściągliwą, prywatną miłością. Matka śpiewała fragmenty, które znała. Tryskała teatralnym entuzjazmem, łatwo więc było poddać się jej beztróscie. Postawę matki ukształtowały lata końskich pokazów w czasach młodości, uśmiechy z grzbietów smukłych arabów, światła areny odbijające się w kryształach górskich na jej kołnierzu. Kiedy byłam młodsza, wydawała mi się taka tajemnicza. Nieśmiałość, z którą obserwowałam, jak krąży po domu, szurając pantoflami. Szuflada z biżuterią, której proveniencję kazałam jej opisywać sztuka po sztuce, jakby deklamowała wiersz.

Dom był czysty, okna dzieliły na fragmenty ciemną noc, dywan uginał się miękko pod moimi bosymi stopami. To było przeciwieństwo rancza, wyczuwałam, że powinnam mieć wyrzuty sumienia – że niesłusznie jest żyć tak wygodnie, pragnąć jeść to jedzenie z matką w naszej wymuskaney, czystej kuchni. Co Suzanne i pozostali robili w tej chwili? Nagle trudno było to sobie wyobrazić.

– Co u Connie? – zapytała matka, przerzucając kartki ze spisanyymi ręcznie przepisami.

– W porządku. – Pewnie tak było. Oglądała, jak na aparacie zębowym May Lopes zbierają się śmieci.

– Wiesz, ona zawsze może tu przychodzić. Ostatnio spędzacie strasznie dużo czasu u niej.

– Jej tacie to nie przeszkadza.

– Brakuje mi jej – powiedziała matka, chociaż zawsze sprawiała wrażenie zdziwionej obecnością Connie, jak ledwo tolerowanej samotnej ciotki. – Powinnyśmy wybrać się do Palm Springs albo gdzieś. – Jasne było, że czekała, żeby złożyć tę ofertę. – Możesz zaprosić Connie, jeśli chcesz.

– Sama nie wiem. – Mogło być miło. Connie i ja popychające się na spieczonym słońcem tylnym siedzeniu, pijące koktajle z farmy daktyli koło Indio.

– Hm – mruknęła matka. – Możemy wyjechać za kilka tygodni. Ale wiesz, skarbie – przerwała – niewykluczone, że Frank też pojedzie.

– Nigdzie nie pojedę z tobą i twoim chłopakiem.

Próbowała się uśmiechnąć, ale widziałam, że nie mówi wszystkiego.

– Skarbie – zaczęła. – Skoro zamierzamy razem mieszkać...

– Co? – Nienawidziłam tego, jak mój głos automatycznie nabrał nadęsanego brzmienia, które wykluczało wszelki autorytet.

– Nie od razu, na pewno nie. – Wydęła usta. – Ale jeśli Frank się wprowadzi...

– Ja też tu mieszkam – powiedziałam. – Pozwolisz mu wprowadzić się pewnego dnia, nawet mi o tym nie mówiąc?

– Masz czternaście lat.

– Gównu.

– Hej! Pilnuj się – powiedziała, chowając dłonie pod pachami. – Nie wiem, dlaczego jesteś taka arogancka, ale musisz z tym skończyć, i to szybko. – Bliskość błagalnej twarzy matki, jej obnażona dezorientacja – to wywołało we mnie biologiczny wstręt do niej, jak wtedy gdy w łazience czułam falę żelaza i wiedziałam, że ma okres. – Ja próbuję zachować się miło, zapraszając twoją przyjaciółkę. Możesz zaliczyć mi to na plus?

Roześmiałam się, ale mój śmiech ociekał poczuciem zdrady. Dlatego chciała zrobić mi kolację. Teraz było to jeszcze gorsze, ponieważ tak łatwo dałam się zadowolić.

– Frank to dupek.

Twarz jej zapłonęła, ale zmusiła się do zachowania spokoju.

– Uważaj, co mówisz. To moje życie, rozumiano? Usiłuję zapewnić sobie odrobinę szczęścia – powiedziała – a ty musisz mi na to pozwolić. Możesz to zrobić?

Zasłużyła na swoje anemiczne życie z jego marnymi dziewczęcymi niepewnościami.

– Dobra – powiedziałam. – Dobra. Życzę szczęścia z Frankiem.

Zmrużyła oczy.

– Co to znaczy?

– Nieważne. – Wyczuwałam zapach surowego mięsa dochodzącego do temperatury pokojowej, gryzącą nutę zimnego metalu. Żołądek mi się ścisnął. – Nie jestem już głodna – powiedziałam i zostawiłam ją stojącą w kuchni.

W radiu nadal grali piosenki o pierwszych miłościach, o tańcach nad rzeką, a mięso rozmroziło się na tyle, że matka będzie musiała je przygotować, chociaż nikt go nie zje.

Później łatwo mi było powiedzieć sobie, że zasłużyłam na pieniądze. Russell mówił, że większość ludzi jest egoistyczna, niezdolna do miłości, i to wydawało się prawdą w odniesieniu do mojej matki i ojca też, bezpiecznie ukrytego z Tamar w Portofino Apartments w Palo Alto. To była sprawiedliwa zamiana, kiedy tak o tym myślałam. Jakby pieniądze, które banknot po banknocie zwijałam, w sumie tworzyły substytut mogący zastąpić coś, co odeszło. Zbyt przygnębiająca była myśl, że może nigdy tego czegoś nie było. Nie było nic – przyjaciółni Connie

również. Peter nigdy nie czuł do mnie nic poza irytacją z powodu oczywistości mojego dzieciennego uwielbienia.

Matka jak zawsze zostawiła torebkę na wierzchu i to sprawiło, że pieniądze, które były wewnątrz, traciły na wartości, były czymś, o co nie dbała na tyle, by to poważnie traktować. Mimo to niezręcznie było grzebać w torebce jak w grzechotliwym wnętrzu matczynego mózgu. Śmieci były zbyt osobiste: papierek po karmelku, karta z mantrą, kieszonkowe lusterko. Tubka kremu koloru plastra, który wklepywała sobie pod oczy. Świsnęłam dziesiątkę i schowałam do kieszeni szortów. Nawet gdyby mnie zobaczyła, powiedziałabym, że idę na zakupy. Dlaczego miałyby mnie podejrzewać? Swoją córkę, która zawsze była grzeczna, nawet jeśli bardziej rozczarowywała, niż imponowała talentami.

Dziwię się, że czułam się tak mało winna. Wręcz przeciwnie – było coś słusznego w sposobie, w jaki gromadziłam pieniądze matki. Przejmowałam po części brawurę panującą na ranczu, pewność, że mogę brać, co chcę. Wiedza o ukrytych banknotach pozwoliła mi uśmiechnąć się rano do matki, zachowywać tak, jakbyśmy poprzedniego wieczoru nie powiedziały sobie wszystkich tych rzeczy. Stać cierpliwie, kiedy bez ostrzeżenia poprawiła mi grzywkę.

– Nie ukrywaj oczu – powiedziała matka. Jej oddech był bliski i gorący, palce czesały mi włosy.

Chciałam strząsnąć jej rękę, cofnąć się, ale tego nie zrobiłam.

– Proszę – powiedziała zadowolona. – Moja słodka córeczka.

Myślałam o pieniądzach, pluskając się w basenie z ramionami nad taflą wody. Była czystość w tym zajęciu, gromadzeniu banknotów w mojej małej, zamykanej na zamek błyskawiczny torebce. Kiedy zostawałam sama, lubiłam liczyć pieniądze, każda nowa piątka albo dziesiątka była wyjątkowym skarbem. Składałam nowsze banknoty na wierzchu, żeby stosik wyglądał ładniej. Zwabiona w słodką błędną mgłę snów na jawie, wyobrażałam sobie radość Suzanne i Russella, kiedy im je przyniosę.

Pływałam z zamkniętymi oczami, otworzyłam je dopiero wtedy, gdy za linią drzew usłyszałam hałas. Może to jeleni. Spięłam się, niespokojnie poruszając nogami w wodzie. Nie pomyślałam, że to może być człowiek: nie martwiliśmy się takimi sprawami. To przyszło później. A zresztą stworzenie, które przytruchtało z lasu na skraj basenu, było dalmatyńczykiem. Spojrzał na mnie z powagą i zaczął szczekać.

Wyglądał dziwnie, w plamki i cętki, ujadał z przenikliwym ludzkim strachem. Wiedziałam, że należy do sąsiadów po lewej, Duttonów. Ojciec rodziny skomponował jakąś piosenkę filmową, na przyjęciach słyszałam, jak jego żona kpiąco nuci ją gościom. Ich syn był młodszy ode mnie, często strzelał z wiatrówki na podwórzu, pies szczekał, dodając nerwowy refren.

– Odejdź – powiedziałam, chlapiąc bez przekonania. Nie chciałam

wychodzić z wody. – Idź sobie.

Pies szczekał.

– Idź – spróbowałam ponownie, ale pies tylko zaszczekał głośnie.

Moje szorty były mokre od kostiumu kąpielowego, kiedy doszłam do domu Duttonów. Włożyłam korkowe sandały, pobrudzone zjawami moich stóp, i wzięłam psa za obrozę, z włosów mi kapalo. Drzwi otworzył Teddy Dutton. Miał jedenaście, dwanaście lat, nogi poznaczone strupami i zadrapaniami. W zeszłym roku spadł z drzewa i złamał rękę, moja matka zawiozła go do szpitala: mruczała posępnie, że jego rodzice za często zostawiają go samego. Nigdy nie spędzałam dużo czasu z Teddym, znaliśmy się tylko z sąsiedzkich przyjęć, gdzie wszystkich poniżej osiemnastu lat tłoczono razem i zmuszano do wspólnego marszu ku przyjaźni. Czasami widywałam go, jak on i chłopak w okularach jeżdżą na rowerach wzdłuż drogi pożarowej: raz pozwolił mi pogłaskać wiejskiego kotka, którego znaleźli. Trzymał zwierzątko pod koszulą. Z oczu kotka sączyła się ropa, ale Teddy traktował go łagodnie, jak mamusia. Wtedy po raz ostatni z nim rozmawiałam.

– Cześć – powiedziałam, kiedy Teddy otworzył drzwi. – Twój pies.

Teddy gapił się na mnie, jakbyśmy przez całe swoje życie nie byli sąsiadami. Przewróciłam oczami na jego milczenie.

– Był na naszym podwórzu – ciągnęłam. Pies poruszył się pod moją ręką.

Teddy odezwał się dopiero po sekundzie, ale zanim to zrobił, zobaczyłam, jak rzuca beznadziejne spojrzenie na górę mojego stroju kąpielowego, za bardzo ściśnięte piersi. Teddy zorientował się, że to zauważyłam, i jeszcze bardziej się zmieszał. Zganił psa, chwytając go za obrozę.

– Zły Tiki – powiedział, wciągając psa do domu. – Niedobry pies.

Myśl, że Teddy Dutton może jakimś sposobem denerwować się w mojej obecności, była zaskoczeniem. Chociaż kiedy ostatni raz go widziałam, nie miałam na sobie bikini, a moje piersi były teraz większe, co nawet mnie sprawiało przyjemność. Jego uwagę przyjął niemal z uniesieniem. Kiedyś nieznajomy pokazał mnie i Connie swojego fiuta koło toalet w kinie – chwilę zajęło zrozumienie, dlaczego ten facet łapie powietrze jak ryba, ale potem zobaczyłam penis wystający z rozporka jak ręka z rękawa. Patrzył na nas, jakbyśmy były motylami, które przypina szpilkami do tablicy. Connie złapała mnie za rękę, odwróciłyśmy się i uciekłyśmy ze śmiechem, rodzynki w czekoladzie roztapiały mi się w dłoni. Wyrażałyśmy nasz wstręt ostrym tonem, choć była też w tym duma. Jak satysfakcja, z którą kiedyś po lekcji Patricia Bell mnie zapytała, czy widziałam, jak pan Garrison się na nią gapił, i czy nie uważam, że to pokręcone.

– Ma mokre łapy – powiedziałam. – Zabrudzi podłogi.

– Rodziców nie ma w domu. To bez znaczenia. – Teddy stał w progu, niezręczny w swym oczekiwaniu. Czy on myślał, że spędzimy razem czas?

Stał tam jak nieszczęśliwi chłopcy, którzy nagle przy tablicy bez żadnego powodu dostają erekcji – nie ulegało wątpliwości, że znajdował się pod wpływem innych sił. Może otaczała mnie nowa aura seksu.

– No tak – powiedziałam. Martwiłam się, że wybuchnę śmiechem. Teddy wyglądał na strasznie zakłopotanego. – Cześć.

Teddy odchrząknął, próbując przestawić głos na niższy poziom.

– Przepraszam – powiedział. – Jeśli Tiki cię niepokoił.

Skąd wiedziałam, że mogę pograć z Teddym? Dlaczego mój umysł momentalnie wybrał taką opcję? Od imprezy z okazji przesilenia byłam na ranczu tylko dwa razy, ale już zaczynałam absorbować określone sposoby postrzegania świata, określoną logikę. Społeczeństwo jest zatłoczone normalnymi ludźmi, mówił nam Russell, ludźmi w paraliżującej władzy interesów korporacyjnych, potulnymi i uśpionymi jak laboratoryjne szympansy. My na ranczu funkcjonowaliśmy na zupełnie innym poziomie, walcząc z okropnym szkwałem, więc co z tego, jeśli trzeba pogrywać z normalnymi ludźmi, by osiągnąć większe cele, lepsze światy? Gdybyś zerwał ten stary kontrakt, mówił nam Russell, gdybyś odrzucił całą tę głównianą strategię strachu klasy społecznej, modlitewników i gabinetu dyrektora szkoły, zobaczyłbyś, że nie istnieje nic takiego jak dobro i zło. Jego permissywne równania zredukowały te koncepty do pustych reliktyw jak medale nadawane przez reżim, który stracił władzę.

Poprosiłam Teddy'ego o coś do picia. Lemoniada, myślałam, napój gazowany, cokolwiek, ale nie to, co mi przyniósł. Dłoń nerwowo mu dygotała, kiedy podawał mi szklanę.

– Chcesz serwetkę? – zapytał.

– Nie.

Intensywność okazywanej mi uwagi była wyraźna, więc się zaśmiałam. Dopiero zaczynałam się uczyć, jak to jest, kiedy ktoś ci się przygląda. Upiłam wielki łyk. Szklanka była pełna wódki, mętnej od kropli soku pomarańczowego. Zakaszlałam.

– Rodzice pozwalają ci pić? – zapytałam, wycierając usta.

– Robię, co chcę – odparł z dumą, a równocześnie niepewnie.

Oczy mu błyszczały: patrzyłam, jak podejmuje decyzję, co powiedzieć. Dziwnie było obserwować kogoś, jak ocenia swoje czyny i niepokoi się o nie, zamiast samej się niepokoić. Czy Peter tak się czuł w mojej obecności? Ograniczona cierpliwość, poczucie władzy uderzające do głowy i lekko stresujące. Piegowata twarz Teddy'ego, ogorzała i żarliwa – był tylko dwa lata młodszy ode mnie, ale dystans wydawał się ogromny. Upiłam wielki łyk, Teddy odchrząknął.

– Mam narkotyki, jeśli chcesz – powiedział.

Teddy zaprowadził mnie do swojego pokoju, wyczekująco patrzył, jak wodzę wzrokiem po jego chłopięcych gadżetach. Wyglądały na zaaranżowane jak

eksponaty na wystawie, chociaż to były śmieci: zegar marynistyczny ze stojącymi wskazówkami, dawno zapomniane formikarium, koślawe i pleśniejące. Szklisty kawałek grotu, słoń z drobnymi, zielony i brudny jak zatopiony skarb. W normalnych okolicznościach zakpiłabym z Teddy'ego. Zapytałabym, skąd ma ten grot, albo powiedziałabym o całym, który sama znalazłam, z końcem z obsydianu dostatecznie ostrym, by przeciąć skórę. Wyczuwałam jednak presję, by zachować wyniosły chłód jak Suzanne tamtego dnia w parku. Już zaczynałam rozumieć, że podziw innych ludzi czegoś od ciebie wymaga. Że musisz wokół niego się uformować. Trawka, którą Teddy wyciągnął spod materaca, była brązowa i pokruszona, ledwo nadawała się do palenia, chociaż trzymał plastikowy woreczek z gburowatą powagą.

Roześmiałam się.

– To szajs. Nie, dziękuję.

Wyraźnie urażony, wepchnął woreczek głęboko do kieszeni. Zrozumiałam, że to była jego karta atutowa i nie spodziewał się porażki. Jak długo woreczek tam leżał, miażdżony przez materac, czekając na zastosowanie? Nagle zrobiło mi się żal Teddy'ego, wykrój jego koszulki w paski zwiotczał od brudu. Powiedziałam sobie, że nadal jest czas, żeby wyjść. Odstawić pustą już szklankę, lekkim tonem się pożegnać i wrócić do domu. Były inne sposoby na zdobycie pieniędzy. Ale zostałam. Siedząc na łóżku, mierzył mnie wzrokiem z uwagą i niedowierzaniem, jakby odwrócenie oczu mogło zburzyć wyjątkowy urok mojej obecności.

– Mogę ci załatwić prawdziwy towar, jeśli chcesz – powiedziałam. – Dobry. Znam faceta.

Jego wdzięczność była żenująca.

– Naprawdę?

– Jasne. – Zobaczyłam, że zauważa, jak poprawiam ramiączko stroju kąpielowego. – Masz forszę?

Miał trzy dolary w kieszeni, poskładane i wiotkie, i bez wahania mi je podał. Schowałam banknoty rzeczowym gestem. Nawet posiadanie tak małej sumy pieniędzy rozпалиło we mnie obsesyjną potrzebę, pragnienie, by się przekonać, ile jestem warta. Równanie mnie podnieciło. Możesz być śliczna, możesz być pożądana, a to czyni cię wartościową. Doceniałam czystość handlową. I może już przewidywałam to w relacjach z mężczyznami – ten dreszcz dyskomfortu, uczucie bycia oszukaną. Przynajmniej tutaj z układu wynikała jakaś korzyść.

– A twoi rodzice? – zapytałam. – Nie mają gdzieś pieniędzy?

Rzucił mi szybkie spojrzenie.

– Nie ma ich, prawda? – Westchnęłam zniecierpliwiona. – Więc kogo to obchodzi?

Teddy zakaszłał. Rysy mu się zmieniły.

– Taa – powiedział. – Sprawdzę.

Pies następował nam na pięty, kiedy wchodziłam po schodach za Teddym. Mrok w pokoju jego rodziców, pokoju, który wydawał się równocześnie znajomy – szklanka stęchłej wody na nocnym stoliku, lakierowana taca z buteleczkami perfum – i obcy, spodnie jego ojca leżące w kącie, tapicerowana ławka w nogach łóżka. Denerwowałam się i widziałam, że Teddy także się denerwuje. Przebywanie w sypialni jego rodziców w środku dnia było jakoś perwersyjne. Za zasłonami świeciło gorące słońce, jaskrawo wyznaczając ich granice.

Teddy wszedł do garderoby w odległym kącie, ja za nim. Jeśli trzymałam się blisko niego, nie czułam się aż takim intruzem. Kiedy on szukał, ja przesuwałam ubrania wiszące na pretensjonalnych jedwabnych wieszakach. Ubrania jego matki. Bluzki w tureckie wzory z kokardą pod szyją, ponure, obcisłe tweedy. Wszystkie wyglądały jak kostiumy, bezosobowe i nie całkiem prawdziwe, dopóki nie wzięłam w palce rękawa bluzki w kolorze kości słoniowej. Matka miała taką samą i poczułam się nieswojo, znajome złoto metki z I. Magnin było jak nagana.

– Nie możesz się pośpieszyć? – syknęłam do Teddy’ego.

Odpowiedział stłumionym pomrukiem, grzebiąc dalej, aż wreszcie wyciągnął wyglądające na nowe banknoty. Wepchnął pudełko z powrotem na półkę, ciężko oddychając, podczas gdy ja liczyłam.

– Sześćdziesiąt pięć – powiedziałam. Wyrównałam stos, złożyłam, nadając mu solidniejszą grubość.

– To nie wystarczy?

Z jego twarzy, z wysiłku wkładanego w oddychanie domyślałam się, że gdybym zażądała więcej, skądś by je wytrzasnął. Po części niemal tego chciałam. Napawać się tą nową władzą, przekonać się, jak daleko mnie zaprowadzi. Ale potem Tiki przytruchtał na próg, strasząc nas oboje. Pies dyszał, szturchając nosem nogi Teddy’ego. Zauważyłam, że nawet język miał w plamki, pofałdowany róż znaczonej czernią.

– Powinno wystarczyć – powiedziałam, wkładając pieniądze do kieszeni. Wilgotne szorty wydzielają drażniący zapach chloru.

– Więc kiedy dostanę towar? – zapytał Teddy.

Sekundę zajęło zrozumienie jego znaczącego spojrzenia: obiecałam mu narkotyki. Niemal zapomniałam, że nie tylko zażądałam pieniędzy. Widząc moją minę, poprawił się:

– No wiesz, nie ma pośpiechu. Skoro trzeba na to czasu.

– Trudno powiedzieć. – Tiki węszył w moim kroczu, odepchnęłam go gwałtowniej, niż zamierzałam, jego nos zamoczył mi dłoń. Nagle potrzeba wyjścia z tego pokoju była obezwładniająca. – Pewnie całkiem niedługo – odparłam, ruszając do drzwi. – Przyniosę, kiedy będę miała.

– Tak – powiedział Teddy. – Tak, okay.

Przy frontowych drzwiach ogarnęło mnie kłopotliwe wrażenie, że Teddy jest

gościem, a ja gospodynią. Dzwonki wiatrowe nad gankiem wydzwaniały cienką melodię. Słońce, drzewa i jasne wzgórza w oddali przyrzekały wielką wolność, już zaczynałam zapominać o tym, co zrobiłam, przytłoczona innymi sprawami. Przyjemnym solidnym prostokątem poskładanych banknotów w kieszeni. Kiedy spojrzałam na piegowatą twarz Teddy'ego, przeszła przeze mnie fala impulsywnego, cnotliwego uczucia: był jak młodszy brat. Ta łagodność, z którą opiekował się wiejskim kotkiem.

– Do zobaczenia – powiedziałam i nachyliłam się, żeby pocałować go w policzek.

Gratulowałam sobie słodczy swojego gestu, dobroci, ale potem Teddy przesunął biodra, kuląc je obronnym ruchem; kiedy się oddaliłam, zobaczyłam jego erekcję uparcie wypychającą dzinsy.

Mogłam większość drogi przejechać na rowerze. Na Adobe Road nie było samochodów, czasem pojawiał się motocyklista albo traktor z przyczepą na konie. Jeśli jechał samochód, zwykle kierował się na ranczo – podwozili mnie, rower w połowie wystawał z okna. Dziewczyny w szortach, drewnianych sandałkach i plastikowych kółkach z pojemników przed aptekami Rexall. Chłopcy, którzy ciągle gubili tok myśli, potem przytomnieli z oszołomionymi uśmiechami, jakby wracali z turystycznej wyprawy w kosmos. Leciutkie kiwnięcia głową, którymi się witaliśmy, nastawieni na tę samą niewidoczną częstotliwość.

To nie tak, że nie potrafiłam sobie przypomnieć swojego życia sprzed Suzanne i pozostałych, ale było ograniczone i przewidywalne, przedmioty i ludzie zajmowali swoje umiarkowane orbity. Żółty tort, który matka upiekła mi na urodziny, gęsty i chłodny z lodówki. Dziewczęta w szkole jedzące lunch na asfalcie, siedząc na odwróconych plecakach. Od poznania Suzanne moje życie wkroczyło w etap wyrazistej tajemniczej ulgi, odsłaniając świat poza tym, który znałam dotąd, ukryte przejście za biblioteczką. Łapałam się na jedzeniu jabłka i nawet wilgotny kęs owocu mógł obudzić we mnie wdzięczność. Układ dębowych liści zagęszczający się nad głową z cieplarnianą wyrazistością, tropy do zagadki, o której nie miałam pojęcia, że można spróbować ją rozwiązać.

Poszłam za Suzanne wzdłuż motocykli zaparkowanych przed głównym budynkiem, z wyglądu tak wielkich i ciężkich jak krowy. Mężczyźni w dżinsowych kamizelkach siedzieli na pobliskich gładkach i palili. Koło zagrody lam powietrze drażniło nozdrza, śmieszny zapach siana, potu i spalonych słońcem odchodów.

– Hej, króliczki – zawołał jeden z motocyklistów, przeciągając się tak, że jego brzuch jak w ciąży naparł na koszulę.

Suzanne odpowiedziała uśmiechem, ale szarpnęła mnie za rękę.

– Jak będziesz za długo tu stała, wskoczą na ciebie – powiedziała, chociaż odchyłała ramiona, by uwydatnić piersi. Kiedy zerknęłam za siebie, ten sam pokazał mi język, wysuwając go z ust szybko jak wąż.

– Russell może jednak pomóc wszystkim rodzajom ludzi – powiedziała Suzanne. – I wiesz, świnie nie zadzierają z motocyklistami. To ważne.

– Dlaczego?

– Ponieważ – odparła, jakby to było oczywiste. – Gliniarze nienawidzą Russella. Nienawidzą każdego, kto próbuje uwolnić ludzi z systemu. Ale trzymają się z daleka, jeśli ci faceci tu są. – Pokręciła głową. – Świnie też tkwią w pułapce, na tym polega całe to gówno. Te ich pierdolone lśniące czarne buty.

Podsyciłam własną słuszną zgodę: sprzymierzyłam się z prawdą. Poszłam za nią na polanę za domem, w kierunku ogniskowego chóru głosów. Pieniądze były ciasno związane w kieszeni, ciągle chciałam powiedzieć o nich Suzanne, ale

traciłam odwagę, zmartwiona, że ofiara jest zbyt mizerna. W końcu ją zatrzymałam, dotykając jej ramienia, zanim dołączyliśmy do reszty.

– Mogę zdobyć więcej – powiedziałam speszona.

Chciałam tylko poinformować ją o istnieniu tych pieniędzy, wyobrażając sobie, że to ja dam je Russellowi. Ale Suzanne szybko skorygowała ten pomysł. Starłam się nie mieć nic przeciwko temu, jak szybko wyjęła banknoty z mojej dłoni i przeliczyła je wzrokiem. Zobaczyłam, że jest zaskoczona ilością.

– Grzeczna dziewczynka.

Słońce rozgrzewało do czerwoności metalowe wychodki i rozbijało dym w powietrzu. Ktoś zapalił kadzidełko, które ciągle gasło. Wzrok Russella przesunął się po naszych twarzach, grupa siedziała u jego stóp, i zarumieniłam się, kiedy złapał moje spojrzenie – nie wyglądał na zaskoczonego moim powrotem. Dłoń Suzanne dotknęła moich pleców lekko, zaborczo i ogarnęła mnie cisza jak w teatrze albo w kościele. Świadomość jej dotyku niemal paraliżowała. Donna bawiła się swoimi pomarańczowymi włosami. Zaplatała pasemka w ciasne koronkowe warkoczyki, paznokciami odrywała rozdwojone końcówki.

Russell wyglądał młodziej, kiedy śpiewał, splecione włosy miał związane z tyłu i grał na gitarze w śmieszny, kpiący sposób, jak telewizyjny kowboj. Jego głos nie należał do najładniejszych, jakie słyszałam, ale tamtego dnia – moje nogi w słońcu, kłucie owsa – tamtego dnia zdawał się ślizgać po mnie, nasycać powietrze i czułam się przykuta do miejsca. Nie mogłabym się ruszyć, nawet gdybym chciała, nawet gdybym sobie wyobraziła, że istnieje jakiegokolwiek miejsce, do którego mogłabym pójść.

Russell przestał śpiewać, zapadła cisza. Suzanne wstała, na sukience już miała gęstą warstwę kurzu, i poszła do niego. Twarz mu się zmieniła, gdy do niego szeptala. Kiwnął głową, ściskając jej ramię. Zobaczyłam, jak podaje mu zwitek banknotów i jak Russell chowa je do kieszeni. Na moment jego palce na nim pozostały, jakby udzielał błogosławieństwa.

Oczy Russella otoczyły zmarszczki.

– Mamy dobre wiadomości. Mamy środki, kochani. Ponieważ ktoś się na nas otworzył, otworzył swoje serce.

Przeszedł mnie dreszcz. W jednej chwili poczułam, że było warto: przeczesywanie matczynej torebki. Bezruch sypialni rodziców Teddy’ego. Jak czysto tamten niepokój przekształcił się w przynależność. Suzanne z zadowoloną miną pośpiesznie wróciła na miejsce koło mnie.

– Mała Evie pokazała nam swoje wielkie serce – powiedział Russell. – Pokazała nam swoją miłość, prawda? – Pozostali odwrócili głowy, żeby na mnie spojrzeć, nurt życzliwości pulsował w moim kierunku.

Reszta popołudnia sennie minęła w słońcu. Kościste psy z wywieszonymi językami schowały się pod dom. Siedzieliśmy same na schodach, Suzanne opierała

głowę na moich kolanach i relacjonowała urywki snu. Przerywała, żeby oderwać kawałki długiej bagietki.

– Byłam przekonana, że znam język migowy, choć z drugiej strony nie miałam wątpliwości, że tak nie jest, że tylko wymachuję rękami. Ale ten człowiek rozumiał wszystko, co mówiłam, jakbym rzeczywiście ten język znała. Później się okazało, że udawał głuchego – powiedziała. – Więc to wszystko było fałszywe, on, ja, cały ciąg.

Zaśmiała się po namyśle, śmiech stanowił wyrazisty aneks – jak bardzo się cieszyłam z każdej informacji o jej wnętrzu, z tajemnicy przeznaczonej wyłącznie dla mnie. Nie potrafiłam stwierdzić, jak długo tam siedziałyśmy, obie odcięte od rytmów normalnego życia. Ale tego pragnęłam – żeby nawet czas odczuwać inaczej i na nowo, żeby wypełniało go wyjątkowe znaczenie. Jakbyśmy we dwie przebywały w tej samej piosence.

Rozpoczęliśmy budowę, mówił nam Russell, nowego rodzaju społeczeństwa. Wolnego od rasizmu, wolnego od wykluczeń, wolnego od hierarchii. Służyliśmy głębszej miłości. Właśnie tak powiedział, głębsza miłość, jego głos dudnił ze zrujnowanego domu na kalifornijskiej równinie. Bawiliśmy się jak psy, przepychając się i gryząc, zadyszani od szoku wywołanego słońcem. Ledwo dorośliśmy, większość z nas, nasze zęby wciąż były mleczne i nowe. Jedliśmy, cokolwiek przed nami postawiono. Owsiankę, która zatykała gardło. Keczup na chlebie, suszoną wołowinę z puszki. Ziemniaki ociekające tłuszczem.

– Miss tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku – nazywała mnie Suzanne. – Nasza własna.

I tak mnie traktowali, jak nową zabawkę – po kolei brali mnie pod rękę, klócili się, kto zaplecie moje długie włosy. Droczyli się ze mną z powodu szkoły z internatem, o której wspomniałam, mojej sławnej babki, której nazwisko część rozpoznawała. Moich czystych skarpetek. Pozostali byli z Russellem od miesięcy, nawet lat. To był pierwszy niepokój, który dni wolno we mnie roztapiały. Gdzie były ich rodziny, dziewcząt takich jak Suzanne? Albo Helen o dziecięcym głosie – czasami mówiła o domu w Eugene. O ojcu, który co miesiąc robił jej lewatywę i po treningu tenisowym masował łydki mentolowym balsamem, nie wspominając o innych wątpliwych praktykach higienicznych. Ale gdzie on był? Jeśli komukolwiek dom dawał to, czego ta osoba potrzebowała, dlaczego miałyby spędzać na ranczu dzień za dniem i w nieskończoność przedłużać pobyt?

Suzanne spała do późna, rzadko wstawiała w południe. Nieprzytomna i spowolniona, poruszająca się ospale. Jakby zawsze było więcej czasu. Wtedy już raz na kilka dni spałam w łóżku Suzanne. Materac nie był wygodny, zapiaszczony, ale to mi nie przeszkadzało. Niekiedy we śnie wyciągała rękę i obejmowała mnie, ciepło jej ciała było jak upieczony chleb. Leżałam, boleśnie świadoma bliskości Suzanne. Rzucając się, skopywała pościel, odsłaniała nagie piersi.

Rano w jej pokoju było mroczno i upalnie, na smołowanym dachu przybudówki tworzyły się bąbelki od słońca. Już się ubrałam, ale wiedziałam, że przez następną godzinę nie dołączymy do reszty. Suzanne zawsze długo się przygotowywała, choć było to bardziej kwestią czasu, nie czynności – wolno wracała do siebie. Lubiłam obserwować ją z materaca, słodki, pusty sposób, w jaki przyglądała się swojemu odbiciu pozbawionym kierunku spojrzeniem z portretu. W takich chwilach jej nagie ciało było skromne, wręcz dziecięce, zgięte pod niepoehlebnym kątem, gdy grzebała w worku z ubraniami. Jej człowieczeństwo dodawało mi otuchy. Kostki szorstkie od odrastających włosków albo kropeczki wągrów.

Dawniej Suzanne była tancerką w San Francisco. Migający neon wił się jak wąż przed klubem, czerwone jabłko rzucało dziwną poświatę na przechodniów. Jedna z dziewcząt za kulisami wypaliła jej pieprzyki sztyftem kaustycznym.

– Niektóre tego nienawidziły – powiedziała, wciągając sukienkę na swoją nagość. – Tańców, całej reszty. Ale ja nie uważałam, że było tak źle.

Oceniła sukienkę w lustrze, przez materiał ujęła w dłonie piersi.

– Ludzie potrafią być tacy pruderyjni – powiedziała. Zrobiła lubieżną minę, trochę się z siebie śmiejąc, i puściła piersi. Potem powiedziała mi, że Russell czasami pieprzył ją łagodnie, a czasami nie, i że można lubić oba te sposoby. – W tym nie ma nic chorego – powiedziała. – Ludzie, którzy zachowują się strasznie sztywno, którzy się zachowują, jakby to było takie złe... To oni są prawdziwymi zbokami. Jak niektórzy faceci przychodzący oglądać nas w klubie. Wściekli na nas, że tam są. Jakbyśmy zwabiły ich podstępem.

Suzanne nie mówiła często o swoim mieście ani o rodzinie, a ja nie pytałam. Na jednym przegubie miała błyszczącą pomarszczoną bliznę, czasami widziałam, jak z tragiczną dumą przesuwają po niej palcami, a raz się wygadała i wspomniała o dusznej ulicy koło Red Bluff. Zaraz się opanowała.

– Ta cipa – spokojnym tonem nazwała matkę.

Przytłoczyła mnie własna oszołomiona solidarność, znużona sprawiedliwość w jej głosie – myślałam, że obie wiemy, jak to jest być samotną, chociaż teraz wydaje mi się to niemądre. Sądzić, że byliśmy tak bardzo podobne, kiedy ja wyrastałam z gosposiami i rodzicami, a ona, jak mi powiedziała, czasami mieszkała w samochodzie, spała na rozkładanym fotelu pasażera obok matki na fotelu kierowcy. Jeśli byłam głodna, jadłam. Łączyły nas jednak, Suzanne i mnie, inne rzeczy, inny głód. Czasami tak strasznie pragnęłam dotyku, że tęsknota cięła mnie na kawałki. To samo widziałam w Suzanne, która za każdym razem, gdy zbliżał się Russell, podrywała się jak zwierzę czujące jedzenie.

Suzanne pojechała z Russellem do San Rafael obejrzeć ciężarówkę. Ja zostałam – były obowiązki do wykonania i oddałam się im z zapalem zrodzonym ze strachu. Nie chciałam dać im żadnego pretekstu do wypędzenia mnie. Karmienie

lam, plewienie ogrodu, szorowanie i bielenie kuchennej podłogi. Praca była po prostu innym sposobem na okazanie miłości, na zaoferowanie siebie.

Napełnianie koryta lam zajmowało wiele czasu, ciśnienie wody w najlepszym razie było ociężałe, ale miło było przebywać na słońcu. Komary krążyły nad moją nagą skórą, ciągle musiałam je odganiać. Nie naprzykrzały się lamom, które stały w zagrodzie, ponętne i zerkające spod ciężkich powiek jak gwiazdy srebrnego ekranu.

Za głównym domem widziałam Guya, grzebał w silniku autobusu bez większej ciekawości, jak w przypadku projektu na kiermasz naukowy z mało interesującymi nagrodami. Robił przerwy na papierosa i głaskanie marniejącego psa. Co chwila szedł do głównego domu po kolejne piwo z zapasu Russella i sprawdzał, czy wszyscy wykonują swoje obowiązki. On i Suzanne byli jak główni terapeuci, trzymali Donnę i pozostałych w ryzach rzucanym sporadycznie słowem albo spojrzeniem. Działali jak satelickie wersje Russella, chociaż szacunek, jakim darzono Guya, różnił się od tego, jakim cieszyła się Suzanne. Myślę, że Guy został na ranchu, ponieważ Russell był sposobem na zdobycie rzeczy, na których mu zależało: dziewczyn, narkotyków, miejsca, żeby się przekimnąć. Nie kochał Russella, nie kulił się ani nie dyszał w jego obecności – Guy był raczej skrzydłowym, we wszystkich chełpliwych opowieściach o przygodach i ciężkich czasach nadal grał główną rolę.

Podszedł do płotu z piwem i papierosem w jednej ręce, z dzinsami opuszczonymi nisko na biodra. Wiedziałam, że mnie obserwuje, i koncentrowałam się na wężu, na napełnianiu ciepłą wodą koryta.

– Dym je odpędza – powiedział Guy, a ja się odwróciłam, jakbym właśnie zauważyła jego obecność. – Komary – dodał, wyciągając papierosa.

– Tak – odparłam – pewnie. Dziękuję. – Wzięłam papierosa ponad płotem, uważając, żeby wąż znajdował się nad korytem.

– Widziałaś Suzanne?

Guy już zakładał, że znam miejsce jej pobytu. Pochlebiła mi rola strażniczki jej poruszeń.

– Jakiś facet w San Rafael sprzedawał ciężarówkę – powiedziałam. – Pojechała z Russellem ją obejrzeć.

– Hm. – Guy wyciągnął rękę po papierosa.

Najwyraźniej bawił go mój profesjonalizm, chociaż jestem pewna, że dostrzegął też uwielbienie przemykające po mojej twarzy, kiedy mówiłam o Suzanne. Mój posuwisty krok, kiedy do niej biegłam. Może go dezorientowało, że nie jest obiektem tego pożądania – był przystojnym chłopakiem, przyzwyczajonym do uwagi ze strony dziewcząt. Dziewcząt, które wciągały brzuchy, kiedy przesuwiał dłonią po ich dzinsach, dziewcząt, które wierzyły, że jego biżuteria jest ślicznym dowodem na niewykorzystane głębokie emocjonalne.

– Pewnie są w darmowej przychodni – powiedział Guy. Udał, że drapie się po kroczu, papieros zataczał łuki. Usiłował mnie skłonić do pogardliwego śmiechu z Suzanne, do jakiejś zmywy – nie zareagowałam, tylko uśmiechnęłam się ponuro. Stał na skraju obcasów swoich kowbojskich butów. Przyglądał mi się uważnie.

– Możesz iść pomóc Roos – powiedział pomiędzy dwoma ostatnimi łykami piwa. – Jest w kuchni.

Już skończyłam swoje obowiązki na ten dzień, praca w dusznej kuchni zapowiadała się na uciążliwą, ale z miną męczennicy kiwnęłam głową.

Roos była żoną policjanta w Corpus Christi, powiedziała mi Suzanne, co wydawało się jakoś słuszne. Dryfowała z senną dbałością bitych żon i nawet moją propozycję pomocy przy myciu naczyń przyjęła, lekko się kuląc. Usuwałam galaretowaty osad z największego garnka, bezbarwne skrawki jedzenia przyklejały się do gąbki. Guy karał mnie na swój podły sposób, ale się nie przejmowałam. Irytację złagodził powrót Suzanne. Zadyszana wpadła do kuchni.

– Facet dał Russellowi ciężarówkę – powiedziała Suzanne. Twarz jej jaśniała, rozglądała się za słuchaczami. Otworzyła szafkę, zaczęła w niej grzebać. – Idealnie, bo chciał dwieście dolców. A Russell powiedział z całym spokojem: „Powinieneś nam ją dać”.

Śmiała się, wciąż odczuwając cień tamtego dreszczu, i usiadła na blacie. Zaczęła się przegryzać przez torebkę zakurzonych z wyglądu orzeszków.

– Facet najpierw się wściekł, że Russell go o to prosi. Żeby nie chciał pieniędzy.

Roos puszczała jej słowa mimo uszu, zajęta przygotowywaniem kolacji, ale ja odwróciłam się od zlewu i całą sobą patrzyłam na Suzanne.

– A Russell powiedział: „Pogadajmy przez chwilę. Opowiem ci, o co mi chodzi”. – Suzanne wypluła łupinę do torebki. – Napiliśmy się z nim herbaty w jego odjechanej chacie z bali. Byliśmy tam z godzinę. Russell przedstawił mi całą wizję w szczegółach. A faceta szczerze zainteresowało, co tu robimy. Pokazał Russellowi stare fotki z wojska. A potem powiedział, że możemy wziąć ciężarówkę.

Wytarłam dłonie w szorty, jej odurzenie tak mnie onieśmieliło, że musiałam się odwrócić. Skończyłam mycie przy odgłosach pękających orzechów dobiegających z jej grzędy na blacie, skorupki gromadziły się w nierówny wilgotny stos, aż w torebce pokazało się dno i Suzanne poszła szukać nowego słuchacza.

Dziewczęta spędzały czas w pobliżu strumienia, bo tam było chłodniej, wietrzyk przynosił ulgę, chociaż od much aż się roiło. Kamienie pokryte algami, senny cień. Russell wrócił z miasta nową ciężarówką, przywożąc batoniki, komiksy, których stronice robiły się wiotkie od naszych dłoni. Helen od razu zjadła swój batonik i wodziła po nas spojrzeniem kipiącym zazdrością. Mimo że także pochodziła z bogatej rodziny, nie byliśmy blisko. Uważałam, że jest nudna,

zmieniała się tylko w obecności Russella, kiedy jej rozkapryszenie przyjmowało określony cel. Prężąc się pod jego dotykiem, zachowywała się, jakby była młodsza nawet ode mnie, opóźniona w sposób, który później wyda się patologiczny.

– Jezu, przestań się na mnie gapić – powiedziała Suzanne, chowając batonik przed Helen. – Ty już swój zjadłaś.

Jej kształt obok mnie na brzegu, palce stóp wbijające się w ziemię. Podskoczyła, kiedy przy jej uchu przeleciał komar.

– Tylko gryza – zakwiliła Helen. – Jeden róg.

Roos uniosła wzrok znad barwnego stosu materiału na swoich kolanach. Cerowała koszulę roboczą Guya, robiła maleńkie ściegi z roztargnioną precyzją.

– Mogę ci dać swój – powiedziała Donna – pod warunkiem że się zamkniesz. – Podeszła do Helen z batonikiem najeżonym orzeszkami ziemnymi.

Helen ugryzła kawałek. Kiedy się roześmiała, jej zęby pokrywała czekolada.

– Batonikowa joga – oznajmiła.

Wszystko mogło być jogą: zmywanie naczyń, pielęgnowanie łam. Przygotowywanie jedzenia Russellowi. Miałaś się tym rozkoszować, dostosować do wszystkiego, czego rytmy będą cię uczyć.

Złamać siebie, oddać siebie niczym pyłek wszechświatowi.

We wszystkich książkach przedstawiano to tak, jakby mężczyźni zmusili dziewczęta do działania. To nie była prawda, nie przez cały czas. Suzanne posługiwała się aparatem fotograficznym jak bronią. Skłaniała mężczyzn do opuszczania dżinsów. Obnażania penisów, wrażliwych i nagich w ciemnym gnieździe włosów. Mężczyźni uśmiechali się nieśmiało, pobladli od poczucia winy, cali składali się z włosów i wilgotnych zwierzęcych oczu.

– W aparacie nie ma filmu – mówiła Suzanne, chociaż w sklepie ukradła rolkę. Chłopcy udawali, że jej wierzą. Tak było z wieloma innymi rzeczami.

Snułam się za Suzanne, za nimi wszystkimi. Suzanne pozwalała mi rysować olejkami do opalania słońca i księżycy na swoich nagich plecach, podczas gdy Russell wygrywał czczy riff na gitarze, kokieterijne góra-dół. Helen wzdychała jak śmiertelnie zakochany dzieciak, którym była, Roos przyłączała się do nas ze swym powolnym uśmiechem, jakiś nastolatek, którego nie znałam, przyglądał się nam z pełnym wdzięczności podziwem i nikt nawet nie musiał się odzywać – wystarczającym spoiwem było milczenie.

Przygotowałam się wewnętrznie na zaloty Russella, ale doszło do nich dopiero po pewnym czasie. Russell kiwnął do mnie głową i wiedziałam, że mam za nim iść.

Myłam z Suzanne okna w głównym domu – podłogę zaścielały pogniecione gazety nasączone octem, grało radio tranzystorowe; nawet nudne obowiązki nabierały przyjemności wagarowania. Suzanne śpiewała z radiem, rozmawiała ze mną z radosnym rozbujałym zatraceniem. Wyglądała inaczej przy tych okazjach,

kiedy razem pracowałyśmy, jakby się zapominała, odprężała i stawała dziewczyną, którą była. Dziwnie było przypominać sobie, że ma dopiero dziewiętnaście lat. Kiedy Russell kiwnął do mnie, odruchowo na nią spojrzałam. Prosząc o pozwolenie albo wybaczenie, a może o jedno i drugie. Na jej twarzy swoboda ustąpiła miejsca szorstkiej masce. Szorowała wypaczone okno z nowym skupieniem. Kiedy wychodziłam, na pożegnanie wzruszyła ramionami, jakby się tym nie przejmowała, chociaż wyczuwałam jej czujne spojrzenie na plecach.

Za każdym razem kiedy Russell tak na mnie kiwał głową, pomimo obcości serce mi się ścisnęło. Zależało mi na tych spotkaniach, zależało na utrwaleniu miejsca pomiędzy nimi, jakby robienie tego, co robiła Suzanne, było sposobem na bycie z nią. Russell nigdy mnie nie pieprzył – to zawsze były inne rzeczy, palce poruszające się we mnie z techniczną obojętnością, którą przypisywałam jego czystości. Jego cele są wyższe, mówiłam sobie, niezbrukane prymitywnymi instynktami.

– Popatrz na siebie – mówił, kiedy wyczuwał wstyd albo wahanie. Wskazywał mi mętne lustro w przyczepie. – Popatrz na swoje ciało. To nie jest ciało obcej osoby – mówił gładko. Kiedy się wzbraniałam, mamrocząc niewyraźnie jakąś wymówkę, brał mnie za ramiona i znowu stawiał przed lustrem. – To ty – mówił. – Evie. Nie ma w tobie nic poza pięknem.

Słowa działały na mnie, nawet jeśli trwało to tylko chwilę. Władzę nade mną przejmował trans, gdy widziałam swoje odbicie – strome piersi, nawet miękki brzuch, nogi poznaczone ukąszeniami komarów. Nie było nic do rozumienia, nie było skomplikowanych zagadek do rozwiązania – tylko oczywisty fakt chwili, jedyne miejsce, gdzie miłość naprawdę istniała.

Później podawał mi ręcznik, żebym się oczyściła, i wydawało się to gestem wielkiej dobroci.

Kiedy wracałam w zasięg Suzanne, zawsze przez krótki czas traktowała mnie lodowato. Nawet jej ruchy były sztywne, jakby czuła się skrepowana, i miała pustkę za oczami jak ktoś śpiący za kierownicą. Szybko się nauczyłam, jak ją komplementować, jak kłusować przy jej boku, aż wreszcie zapominała, że powinna trzymać dystans, i zniżala się do poczęstowania mnie papierosem. Dopiero później przyszło mi do głowy, że Suzanne tęskniła za mną, gdy odchodziłam, jej oficjalne zachowanie było nieudolnym przebraniem. Chociaż trudno to stwierdzić – może to tylko życzeniowe wyjaśnienie.

Inne sceny z rancza wracają w przebłyskach. Czarny pies Guya, którego wołali zmieniającymi się imionami. Wędrowcy przewijający się przez ranczo tamtego lata, spędzający noc albo dwie i odchodzący. Obywatele bezmózgiego snu, pojawiający się o każdej porze dnia z plecionymi plecakami i samochodami rodziców. Nie dostrzegałam niczego znajomego w sposobie, w jaki Russell szybko ich przekonywał do pozbycia się rzeczy, wciągał w światło reflektorów, przez co

ich wielkoduszność zmieniała się w wymuszony teatr. Wręczali wymówienia swoim samochodom, oddawali książeczki bankowe, raz nawet złotą obrączkę ślubną z oszołomieniem, wyczerpaniem i ulgą tonącego, który wreszcie poddaje się nurtowi. Moją uwagę odwracały ich opowieści o smutku, równocześnie wstrząsające i banalne. Skargi na złych ojców i okrutne matki – podobieństwo tych historii sprawiało, że wszyscy czuliśmy się jak ofiary tego samego spisku.

Był jeden z niewielu dni, kiedy tamtego lata padało, większość z nas siedziała w domu, stary salon cuchnął wilgocią i szarością jak powietrze na dworze. Na podłodze koce tworzyły wzór kraty. Słyszałam relację z meczu baseballowego z radia w kuchni, deszcz kapał do plastikowego wiadra ustawionego pod dziurą w dachu. Roos robiła Suzanne masaż dłoni, palce miały śliskie od emulsji, ja czytałam stare czasopismo. Mój horoskop na marzec tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Pomiędzy nami wisiało zirytowanie, nadąsanie, nie byliśmy przyzwyczajeni do ograniczeń, do tkwienia gdziekolwiek.

Dzieciom lepiej wychodziło przebywanie pod dachem. Tylko przelotnie pojawiały się w zasięgu naszego wzroku, tocząc się w sobie znanym celu. Z sąsiedniego pokoju dobiegł huk przewracanego krzesła, ale nikt nie wstał, żeby to sprawdzić. Wyjąwszy Nica, nie wiedziałam, czyje to są dzieci – wszystkie miały cieniutkie przeguby, jakby ciężko chorowały, wokół ust błyszczącą warstewkę mleka w proszku. Kilka razy w zastępstwie Roos pilnowałam Nica, trzymałam go w objęciach i czułam jego spocony, przyjemny ciężar. Cesałam mu włosy palcami, rozplątywałam naszyjnik z zębów rekina. Wykonywałam wszystkie te samoświadomie macierzyńskie czynności, czynności, które mnie sprawiały większą przyjemność niż jemu i pozwalały sobie wyobrażać, że ja jedyna mam moc uspokajania go. Nico nie współdziałał z tymi chwilami łagodności, brutalnie przerywał urok, jakby wyczuwał moje dobre emocje i nie cierpiał ich. Szarpał swoim małym penisem w moim kierunku. Piskliwym falsetem domagał się sosu. Raz uderzył mnie tak mocno, że miałam siniaka. Patrzyłam, jak kuca i sra na beton przy basenie, czasami te gówna zmywaliśmy węžem, czasami nie.

Helen zeszła na dół w koszulce ze Snoopym i za wielkich skarpetach, czerwone pięty zwijały się jej wokół kostek.

– Ktoś chce zagrać w kości kłamców?

– Nie – oznajmiła Suzanne. W imieniu nas wszystkich, tak to przyjęto.

Helen opadła na wyliniały fotel pozbawiony poduch. Spojrzała na sufit.

– Nadal cieknie – powiedziała. Wszyscy ją zignorowali. – Może ktoś zrobić skręta? Proszę.

Kiedy nikt nie odpowiedział, dołączyła do Roos i Suzanne na podłodze.

– Proszę, proszę, proszę? – powiedziała, ocierając głowę o ramię Roos, gramoląc się na jej kolana jak pies.

– Po prostu zrób – odezwała się Suzanne.

Helen zerwała się i poszła po pudełko ze sztucznej kości słoniowej, w którym trzymali zapasy, a Suzanne patrząc na mnie, przewróciła oczami. Odwzajemniłam uśmiech. Bycie w tej grupie nie jest takie złe, pomyślałam. Wszyscy tłoczyliśmy się w jednym pokoju jak uratowani z katastrofy przez Czerwony Krzyż, na piecu gotowała się woda na herbatę. Roos pracowała przy oknie, gdzie światło wpadające przez podarte firanki miało alabastrowy odcień.

Spokój zburzyło nagle wycie Nica wpadającego do pokoju w pogoni za dziewczynką z krótkimi włosami – miała jego naszyjnik z zębów rekina, z krzykiem zaczęli się przepychać. Łzy, drapanie.

– Hej – powiedziała Suzanne, nie podnosząc wzroku, i dzieci umilkły, chociaż nadal z wściekłością na siebie patrzyły. Ciężko oddychały, jak pijani. Wydawało się, że jest po sprawie, sytuację szybko załagodzone, ale potem Nico wbił w buzię dziewczynki swoje przerośnięte paznokcie i wrzaski wybuchły z podwójną siłą. Dziewczynka obie ręce przyciskała do policzka, lamentując tak bardzo, że widać było jej wszystkie mlecze zęby. Na wysokiej nucie rozpaczy.

Roos z wysiłkiem wstała.

– Dziecinko – powiedziała, wyciągając ręce. – Dziecko, musisz być grzeczny. – Zrobiła kilka kroków w stronę Nica, który też zaczął krzyczeć, siadając ciężko na pieluszce. – Wstań – powiedziała Roos. – No, dziecko. – Próbowała złapać go za ramiona, ale on zwiotczał i nie pozwolił się ruszyć. Dziewczynka otrzeźwiała w obliczu hysterii Nica, tego, jak wyrwał się z uchwytu matki i zaczął walić głową o podłogę. – Dziecinko – Roos podniosła głos – nie, nie, nie – ale on nie przestawał, przyjemność sprawiała, że oczy mu ciemniały i robiły się jak guziki.

– Boże – roześmiała się Helen. Jej dziwny śmiech zawisł w powietrzu.

Nie wiedziałam, co robić. Pamiętałam beznadziejną panikę, która czasami mnie ogarniała, kiedy opiekowałam się dziećmi, świadomość, że to dziecko nie jest moje i znajduje się poza moim zasięgiem; teraz wyglądało na to, że Roos sparaliżowała ta sama emocja. Jakby czekała, aż prawdziwa matka Nica wróci do domu i wszystko naprawi. Nico różowiał z wysiłku, jego czaszka nadal waliła w podłogę. Wrzeszczał. Wreszcie na ganku rozległy się kroki – to był Russell i zobaczyłam, jak twarze wszystkich gęstnieją od nowego życia.

– Co jest? – zapytał Russell. Miał na sobie jedną z wyrzuconych przez Mitcha koszul, z wielkimi krwawymi różami wyszytymi na karczku. Był bosy, cały mokry od deszczu.

– Zapytaj Roos – zaświergotała Helen. – To jej dziecko.

Roos zaczęła coś mruścić, na końcu zdania słowa kompletnie się poplątały, ale Russell nie zareagował na tym poziomie. Zdawało się, że jego spokojny głos zakreśla krąg wokół płaczącego dziecka i wytraconej z równowagi matki.

– Odpręźcie się – zaintonował Russell. Nie pozwalał nikomu się nakręcać,

zamęt w pokoju stracił na sile pod jego spojrzeniem. Nawet Nico był czujny w jego obecności, histeria nabierała pustego tonu, jakby chłopiec był własnym dublerem. – Młody człowieku – powiedział Russell – chodź tutaj i porozmawiaj ze mną.

Nico posłał matce wściekle spojrzenie, ale jego oczy bezradnie powędrowały do Russella. Wydał wydatną dolną wargę i kalkulował.

Russell został w progu, nie pochylał się skwapliwie z uśmiechem obnażającym wilgotne od śliny zęby, jak zachowują się wobec dzieci niektórzy dorośli, i Nico właściwie się uspokoił, teraz tylko pochlipywał. Raz jeszcze omiótł spojrzeniem matkę i Russella, po czym podbiegł do Russella i pozwolił wziąć się na rękę.

– Grzeczny mały człowiek – powiedział Russell.

Rękę Nica ciasno przywarły do jego szyi i pamiętam, jak dziwnie było oglądać zmianę na twarzy Russella, kiedy mówił do chłopczyka. Jego rysy podlegały mutacjom, przekształcały się w błazeńskie i niemądre jak u pajaca, chociaż głos pozostawał spokojny. Zmieniał się, żeby dostosować się do drugiej osoby, jak woda przybierająca kształt naczynia, do którego jest wlewana. Potrafił jednocześnie być tymi wszystkimi osobami: mężczyzną, który zginał we mnie palce; mężczyzną, który wszystko dostawał za darmo; mężczyzną, który czasami pieprzył Suzanne brutalnie, a czasami łagodnie; mężczyzną, który szeptał do chłopczyka, głosem ocierając się o jego ucho.

Nie słyszałam, co mówił Russell, ale Nico przełknął łzy. Twarz miał radosną i wilgotną, wydawał się szczęśliwy tylko dlatego, że ktoś trzyma go w objęciach.

Caroline, jedenastoletnia kuzynka Helen, uciekła z domu i została z nami przez jakiś czas. Mieszkała w Haight, ale policja dokonała tam nalotu i Caroline związała na ranczo z portfelem ze skóry wołowej i zniszczonym futrem z lisa, które gładziła z płochliwym uczuciem, jakby nie chciała, żeby ktokolwiek zobaczył, jak bardzo je kocha.

Ranczo nie było znowu tak daleko od San Francisco, ale nie jeździliśmy tam często. Ja byłam tylko raz z Suzanne, odbierałyśmy funt trawy z domu, który żartobliwie nazywała Ambasadą Rosyjską. Od kumpli Guya, tak myślę, ze starej satanistycznej grupy. Frontowe drzwi pomalowano na smolistą czerń – zobaczyła moje wahanie i ujęła mnie pod rękę.

– Przeróżające, co? – powiedziała. – Ja też na początku tak pomyślałam.

Kiedy przyciągnęła mnie bliżej, poczułam uderzenie jej kości biodrowych. Te chwile dobroci zawsze były dla mnie wyłącznie odurzające.

Później poszłyśmy obie na Hippie Hill. Wzgórze w mżawce było szare i puste, tylko tu i tam grupki ćpunów plątały się jak zombie. Z całej siły próbowałam wycisnąć wibracje z powietrza, ale nic tam nie było – poczułam ulgę, kiedy Suzanne także się roześmiała, przerywając wysiłki mające na celu znalezienie znaczenia.

– Jezu – powiedziała – to jakieś wysypisko.

Ostatecznie wylądowałyśmy z powrotem w parku, z liści eukaliptusa słyszalnie kapała mgła.

Niemal każdy dzień spędzałam na ranczu, wyjątkiem były krótkie wypadki do domu po ubrania albo żeby zostawić na kuchennym stole liściki do matki. Z podpisem „Twoja kochająca córka”. Pobłażałam rozbuchanemu uczuciu, dla którego miejsce zrobiła moja nieobecność.

Wiedziałam, że zacznę wyglądać inaczej, tygodnie na ranczu pozostawiały na mnie brudną warstwę. Włosy jaśniały mi od słońca i były ostre na końcówkach, nawet po umyciu pachniały lekko dymem. Wiele z moich ubrań przeszło w posiadanie rancza, zmieniły się w stroje, których często nie poznawałam: Helen pajacowała w mojej niegdyś cennej bluzce z żabotem, teraz podartej i poplamionej sokiem brzoskwiniowym. Ubierałam się jak Suzanne, w niechlujną zbieraninę odstrzeloną z komunalnych pojemników na odzież, w rzeczy, których bylejąkość oznajmiała wrogość do większego świata. Raz poszłam z Suzanne do Home Market, Suzanne miała na sobie górę z bikini i obcięte spodnie, obserwowaliśmy, jak inni klienci denerwują się i gotują z oburzenia, jak ich spojrzenia z ukosa zmieniają się w spojrzenia wprost. Śmiałyśmy się szalonymi, bezradnymi parsknięciami, jakbyśmy miały jakiś zwariowany sekret – bo rzeczywiście miałyśmy. Kobieta, która wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać z niedowierzającego wstrętu, ściskająca rękę córki, nie zdawała sobie sprawy, że jej nienawiść tylko wzmacnia naszą moc.

Przygotowywałam się na możliwe spotkania z matką, dokonując zbożnych ablucji: brałam prysznic, stojąc w gorącej wodzie, aż skórę pokrywały mi czerwone plamy, włosy miałam śliskie od odżywki. Wkładałam prostą koszulkę i białe bawełniane szorty – tak mogłam się ubierać, kiedy byłam młodsza – usiłując wyglądać na dostatecznie wyszorowaną i bezpłciową, żeby uspokoić matkę. Chociaż może nie musiałam aż tak się starać – nie przyglądała się dostatecznie uważnie, by te wysiłki były uzasadnione. Kiedy jadłyśmy razem kolację, głównie w ciszy, grzebała w jedzeniu jak marudne dziecko. Wynajdywała powody, żeby mówić o Franku, składać bezsensowne raporty meteorologiczne ze swojego życia. Mogłabym być kimkolwiek. Pewnego wieczoru nie zaprzętnęłam sobie głowy zmianą ubrania, usiadłam do stołu w nylonowej bluzeczce wiązanej na karku, która odsłaniała brzuch. Nic nie powiedziała, z roztargnieniem orała łyżką w ryżu, aż w końcu nagle przypomniała sobie o mnie. Rzuciła mi spojrzenie z ukosa.

– Strasznie zeszczuplałaś – oznajmiła, łapiąc mnie za przegub i puszczając go po zazdrosnej przymiarce. Wzruszyłam ramionami i więcej o tym nie mówiła.

Kiedy wreszcie spotkałam Mitcha Lewisa osobiście, był bardziej tłusty, niż oczekiwałam po kimś sławnym. Napuchnięty, jakby pod skórą miał masło. Twarz zarastały mu bokobrody, złote włosy były jak piórka. Przywiózł skrzynkę piwa

korzennego dla dziewcząt i sześć siatek pomarańczy. Stęchłe ciastka polane niemiecką czekoladą w osobnych marszczonych kubeczkach wyglądających jak czepki Pielgrzymów. Cukierki nugatowe w jaskraworóżowych puszkach. Resztki z koszy upominkowych, założyłam. Karton papierosów.

– Wie, że lubię tę markę – powiedziała Suzanne, tuląc papierosy do piersi. – Pamiętał.

Wszystkie mówiły o Mitchu z taką zaborczością, jakby był bardziej ideą niż prawdziwym człowiekiem. Stroiły się i szykowały na jego wizytę z dziewczęcą gorliwością.

– Z jego wanny widać ocean – powiedziała Suzanne. – Mitch zapala światła i woda się żarzy.

– Ma naprawdę wielkiego fiuta – dodała Donna. – Fioletowego.

Donna myła pachy pod zlewem. Suzanne przewróciła oczami.

– Kąpiel kurwy – mruknęła, chociaż sama przebrała się w sukienkę. Nawet Russell przyglądał włosy wodą, co nadało mu miejski, kulturalny wygląd.

Russell przedstawił mnie Mitchowi, mówiąc:

– Nasza mała aktorka.

Dłoń trzymał na moich plecach.

Mitch przyglądał mi się z pytającym, pełnym zadowolenia z siebie uśmiechem. Mężczyznom przychodziło to z taką łatwością, to momentalne szacowanie wartości. I to, jak im zależało, żebyś spiskowała z własnym osądem.

– Jestem Mitch – powiedział. Jakbym już tego nie wiedziała. Cerę miał świeżą, pozbawioną porów jak u bogatych żarłoków.

– Uściskaj Mitcha – powiedział Russell. Szturchając mnie. – Mitch tego chce, jak my wszyscy. Przyda mu się trochę miłości.

Mitch wyraźnie tego oczekiwał, otwierał prezent, którym już potrząsnął i który zidentyfikował. Zwykle zżerałaby mnie nieśmiałość. Świadomość swojego ciała, błędu, który mogę popełnić. Ale ja już czułam się inaczej. Byłam jedną z nich, a to oznaczało, że mogę odwzajemnić uśmiech, zrobić krok w kierunku Mitcha i pozwolić, żeby się do mnie przycisnął.

Potem nastąpiło długie popołudnie. Mitch i Russell na zmianę grali na gitarach. Helen w górze z bikini siedziała Mitchowi na kolanach. Ciągle chichotała, chowała swoją głowę z kucykami na jego szyi. Mitch był o wiele lepszym muzykiem niż Russell, ale starałam się tego nie dostrzegać. Odurzyła mnie nowa i wściekła koncentracja, wykraczająca poza zdenerwowanie, przechodząca w stan otępienia. Uśmiechałam się niemal wbrew sobie, zaczynały mnie boleć policzki. Obok mnie na ziemi siedziała po turecku Suzanne, jej palce ocierały się o moje. Twarze miałyśmy uniesione i uważne jak tulipany.

To był jeden z tych szlamowatych dni, kiedy ofiarowaliśmy sobie naszemu wspólnemu marzeniu i naszą awersję do prawdziwego życia cechowała przemoc;

choć mówiliśmy sobie, że to wszystko dotyczy połączenia, zestrojenia się. Mitch przywiózł trochę kwasu z laboratorium w Stanfordzie. Donna mieszała go z sokiem pomarańczowym w papierowych kubkach, wypiliśmy to na śniadanie, drzewa więc brzęczały od energii, cienie wydawały się fioletowe i mokre. Jeśli były jakieś narkotyki pod ręką, brałam je. Istniałeś w chwili, kiedy w tamtych czasach wszystko się działo. Potrafiliśmy rozmawiać o *chwili* godzinami. Obracaliśmy ją na wszystkie strony: sposób, w jaki poruszało się światło, dlaczego ktoś milczał, rozbieraliśmy wszystkie warstwy prawdziwego sensu spojrzenia. Wydawało się rzeczą ważną to nasze pragnienie, by opisać kształt każdej sekundy, kiedy mijała, wydobyć wszystko, co ukryte, i stłuc na śmierć.

Suzanne i ja pracowałyśmy nad dziecinnymi bransoletkami, które dziewczęta wymieniały między sobą, kolekcjonując je na rękach jak gimnazjalistki. Ćwiczyłyśmy oczka w kształcie litery V. Białe i różowe paski. Robiłam bransoletkę dla Suzanne, grubą i szeroką, w czerwony jak mak jodełkę na brzoskwiniowym tle. Lubiłam spokojny zbiór węzłów, to, jak kolory wibrowały pod moimi palcami. Wstałam raz, żeby przynieść Suzanne szklankę wody, i w tym akcie była domowa łagodność. Chciałam zaspokoić potrzebę, dostarczyć wody do jej ust. Suzanne uśmiechała się do mnie, kiedy piła, połykając tak szybko, że widziałam, jak po jej gardle przebiega fala.

Tamtego dnia była z nami kuzynka Helen, Caroline. Zdawała się wiedzieć więcej niż ja, gdy miałam jedenaście lat. Jej bransoletki kołysały się przy wtórce pocałunków taniego metalu. Koszula w kolorze bladej żółci cytrynowego sorbetu odsłaniała mały brzuch, ale kolana miała podrapane i sine jak u chłopca.

– Odłotowo – powiedziała, kiedy Guy przystawił jej do warg papierowy kubek z sokiem, i jak nakręcana zabawka powtarzała to słowo, kiedy kwas zaczął działać. Zaczynałam także dostrzegać pierwsze objawy u siebie, usta wypełniła mi ślina. Myślałam o wezbranych strumieniach, które widziałam w dzieciństwie, o śmiertelnie zimnej deszczówce przepływającej błyskawicznie nad kamieniami.

Słyszałam Guya opowiadającego brednie na ganku. To była jedna z jego bezsensownych historii, narkotyk sprawiał, że głośne przechwałki odbijały się echem. Długie włosy związał w ciemny węzeł u podstawy czaszki.

– Facet walił w drzwi – mówił. – Wrzeszczał, że przyszedł po swoje, a ja mu na to, kurwa, wielka sprawa – ciągnął monotonicznie – jestem Elvis Presley. – Roos cały czas kiwała głową. Przez zmrużone oczy patrzyła na słońce, podczas gdy z domu dobiegała piosenka Country Joego. Obłoki pływały po błękitnie, wyraźnie zaznaczając się na neonowym tle.

– Sprawdź, co z sierotką Marysią – powiedziała Suzanne, oczami wskazując Caroline.

Caroline na początku przesadzała, głupio się powtarzając, kiedy jednak narkotyk zaczął działać, po jej szeroko otwartych, rozbieganych oczach widać było,

że się przestraszyła. Była na tyle chuda, że widziałam pulsowanie w jej gardle. Suzanne także ją obserwowała i czekałam, aż coś powie, ale tego nie zrobiła. Helen, rzekoma kuzynka Caroline, także się nie odzywała. Oszołomiona słońcem, katatoniczna, leżała na kawałku starego dywanu i słuchała z dłonią na oczach. Chichocząc do nikogo. W końcu podeszłam do Caroline i dotknęłam jej drobnego ramienia.

– Jak leci? – zapytałam.

Nie spojrzała na mnie, dopóki nie zwróciłam się do niej po imieniu. Zapytałam, skąd jest. Zaciśnęła kurczowo oczy. Nie należało tak mówić – jasne, że nie, przywoływanie całego tego okropnego gówna z zewnątrz powodowało, że wszelkie straszne wspomnienia przypuszczalnie się podwajały. Nie miałam pojęcia, jak wyciągnąć ją z trzęsawiska.

– Chcesz? – powiedziałam, podsuwając jej bransoletkę.

Zerknęła na nią.

– Muszę ją skończyć, ale jest dla ciebie.

Caroline się uśmiechnęła.

– Będzie na tobie ślicznie wyglądała – mówiłam dalej. – Będzie pasowała do twojej koszuli.

Napięcie w jej oczach złagodniało. Odsunęła koszulę od ciała, żeby się jej przyjrzeć.

– Ja to zrobiłam – powiedziała, muskając wyszywaną pacyfkę na koszuli, i zobaczyłam godziny, które przy tym spędziła, może pożyczwszy od matki przybornik do szycia.

To wydawało się łatwe: być dla niej miłą, włożyć skończoną bransoletkę na jej przegub, przypalić końcówki zapalką, żeby później musiała ją przeciąć. Nie zauważyłam, że Suzanne nam się przygląda, a na kolanach leży jej zapomniana bransoletka.

– Piękna – powiedziałam, unosząc przegub Caroline. – Nic poza pięknem.

Jakbym była mieszkańcem tego świata, kimś, kto potrafi wskazać drogę innym. Taka wielkość mieszająca się z moim poczuciem dobra: zaczynałam zapełniać puste miejsca w sobie pewnikami rancza. Chłodny zalew słów Russella – koniec z ego, wyłączyć umysł. Zamiast tego złapać kosmiczny wiatr. Nasze przekonania były równie spokojne i strawne jak słodkie bułeczki i ciastka, które kradliśmy z piekarni w Sausalito, napełniając usta łatwą do przełknięcia skrobią.

W następnych dniach Caroline włóczyła się za mną jak zbłąkany pies. Z progu pokoju Suzanne pytała, czy chcę papierosa, bo wyżebrała kilka od motocyklistów. Suzanne wstała i przeciągnęła się, wypychając łokcie za plecy.

– Tak ci je dali? – rzuciła ostro. – Za darmo?

Caroline spojrzała na mnie.

– Papierosy?

Suzanne tylko się roześmiała, nie dodała nic więcej. W takich chwilach byłam zdezorientowana, choć przekładałam to na kolejny dowód: Suzanne była nieprzyjemna dla innych ludzi, ponieważ oni nie rozumieli jej tak dobrze jak ja.

Nie powiedziałam sobie tego głośno ani nawet zbyt często o tym nie myślałam. Dokąd zmierzają sprawy z Suzanne. Osad dyskomfortu, kiedy zniknęła z Russellem. Nie miałam pojęcia, co robić bez niej, czepiałam się Donny albo Roos jak zagubione dziecko. To, jak wróciła, cuchnąc zaschniętym potem, i z grubsza wytarła się ścierką między nogami, jakby zupełnie jej nie obchodziło, że się przyglądam.

Wstałam, kiedy zobaczyłam, jak nerwowo Caroline przesuwa palcami po bransoletce, którą jej dałam.

– Poczęstuję się papierosem – powiedziałam, uśmiechając się do niej.

Suzanne wzięła mnie pod rękę.

– Ale idziemy nakarmić lamy – oznajmiła. – Chyba nie chcesz, żeby padły z głodu, co? Żeby się zmarnowały?

Zawahałam się i Suzanne zaczęła się bawić moimi włosami. Ciągłe to robiła: zdejmowała strzępy z mojej koszuli, raz wepchnęła mi paznokiec między przednie zęby, żeby usunąć kawałek jedzenia. Przełamywała granice, dawała do zrozumienia, że one nie istnieją.

Pragnienie Caroline, by ją zaprosić, było tak oczywiste, że niemal zrobiło mi się wstyd. To jednak nie powstrzymało mnie od wyjścia za Suzanne na dwór; w geście przeprosin wzruszyłam ramionami do Caroline. Wyczuwałam, że odprowadza nas wzrokiem. Zamaskowane zabiegi dziecka, to zrozumienie bez słów. Widziałam, że rozczarowanie już było dla Caroline rzeczą znajomą.

Przeglądałam zawartość matczynej lodówki, słoje zacementowane zaschniętą zawartością. Drażniące opary roślin z rodziny kapustowatych dochodzące z plastikowych torebek. Nic do jedzenia, jak zwykle. Tego rodzaju drobiazgi przypominały mi, dlaczego wolałam być gdzie indziej. Kiedy usłyszałam matkę szurającą przy drzwiach frontowych, wesoły szczeł jej ciężkiej biżuterii, próbowałam się niepostrzeżenie wymknąć.

– Evie – zawołała, wchodząc do kuchni. – Poczekaj chwilkę.

Brakowało mi tchu po jeździe na rowerze z rancza, z końcówki haju. Staralam się mrugać zwykłą liczbę razy, prezentować pustą twarz, z której nic nie zdołałaby wyczytać.

– Taka jesteś opalona – powiedziała, podnosząc moją rękę.

Wzruszyłam ramionami. Z roztargnieniem zgarnęła moje włosy na plecy i z powrotem, później znieruchomiła. Nastąpił nieprzyjemny moment. Wpadło mi do głowy, że wreszcie się zorientowała w strumyku znikających pieniędzy. Myśl o jej gniewie mnie nie przeraziła. Czyn był do tego stopnia dziwaczny, że nabrał bezpiecznej aury nierealności. Niemal zaczęłam wierzyć, że nigdy tak naprawdę

tutaj nie mieszkałam, tak silne było wrażenie dysocjacji, kiedy przemykałam się przez dom, załatwiając sprawy dla Suzanne. Grzebałam w szufladzie z bielizną matki, przesiewałam jedwabie barwy herbaty i zmechaczone koronki, aż moja dłoń zamknęła się na zwitku banknotów opasanych gumką do włosów.

Matka zmarszczyła brwi.

– Posłuchaj – powiedziała. – Dzisiaj rano Sal widziała cię na Adobe Road. Samą.

Staralam się zachować twarz wypraną z emocji, chociaż czułam ulgę – to była tylko jedna z mdłych obserwacji Sal. Powtarzałam matce, że jestem u Connie. I nadal czasami nocowałam w domu, próbując zachować równowagę.

– Sal mówiła, że są tam bardzo dziwni ludzie – powiedziała matka. – Jacyś mistycy albo coś w tym rodzaju, chociaż on wygląda... – Twarz się jej wykrzywiła.

Oczywiście – pokochałaby Russella, gdyby mieszkał w posiadłości w Marin, miał gardenie unoszące się w basenie i brał po pięćdziesiąt dolarów od bogatych kobiet za astrologiczne wróżby. Jak przezroczyista czasami mi się wydawała, zawsze czujna i nastawiona przeciwko wszystkiemu co mniejsze, chociaż sama otwierała dom przed każdym, kto się do niej uśmiechnął. Przed Frankiem i jego koszulami z błyszczącymi guzikami.

– Nigdy go nie spotkałam – oznajmiłam beznamiętnie.

Matka mogła zdawać sobie sprawę, że kłamię – fakt kłamstwa unosił się w powietrzu. Patrzyłam, jak matka przygotowuje się do odpowiedzi.

– Chciałam cię tylko ostrzec – powiedziała. – Żebyś wiedziała, że ten facet tam jest. Spodziewam się, że ty i Connie opiekujecie się sobą wzajemnie, rozumiesz?

Widziałam, jak bardzo chce uniknąć kłótni, jak z wysiłkiem brnie na w miarę bezpieczny grunt. Ostrzegła mnie, zrobiła, co powinna była zrobić. To oznaczało, że nadal jest moją matką. Niech sobie czuje, że to prawda – kiwnęłam głową i odprężyła się. Włosy jej urosły. Miała na sobie nową bluzeczkę z robionymi na drutach ramiączkami, skóra na jej ramionach była luźna, z nieopaloną paskiem po kostiumie kąpielowym – nie miałam pojęcia, kiedy albo gdzie matka pływała. Jak szybko stałyśmy się dla siebie obce, niczym zdenerwowane współlokatorki spotykające się na korytarzu.

– No tak – powiedziała.

Przez moment dostrzegłam dawną matkę, wyraz znużonej miłości malujący się na jej twarzy, który jednak się rozplynął, kiedy bransoletki z cichutkim szcękaniem zsunęły się na jej przeguby.

– W lodówce jest ryż i miso – dodała, a ja mruknęłam coś, że może zjem, choć obie wiedziałyśmy, że tego nie zrobimy.

Na policyjnych zdjęciach dom Mitcha wyglądał na ciasny i dość straszny, jakby z góry skazany na swój los. Grube popękane krokwie na suficie, kamienny kominek, wiele poziomów i korytarzy jak na litografiach Eschera, które Mitch kupował w galerii w Sausalito. Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy tam weszłam, pomyślałam, iż jest oszczędny i pusty jak nadmorski kościół. Sprzętów było mało. Wielkie okna w kształcie jodełki. Parkiety na podłogach, szerokie i niskie stopnie. Z drzwi frontowych widać było czarną równinę zatoki rozpościerającą się za domem, mroczny skalisty brzeg. Łodzie obijające się spokojnie o siebie jak kostki lodu.

Mitch nalał nam drinki, Suzanne otworzyła jego lodówkę. Nucąc pod nosem, przeglądała zawartość półek. Mruczała z aprobatą lub dezaprobatą, zdejmując folię z misek, żeby coś powąchać. W takich momentach ją podziwiałam. Jak odważnie zachowywała się w świecie, w cudzym domu, obserwowałam nasze odbicia w czarnych oknach, włosy spadały nam luźno na ramiona. Oto byłam w kuchni sławnego człowieka. Człowieka, którego muzykę syszałam w radiu. Zatoka za drzwiami lśniła jak lakierowana skóra. I tak się cieszyłam, że jestem tu z Suzanne, która zdawała się wszystkie te rzeczy przywoływać do życia.

Wcześniej po południu Mitch miał spotkanie z Russellem – zauważyłam, pamiętam, że dziwne było to, iż Mitch się spóźnił. Minęła druga, a my wciąż na niego czekaliśmy. Milczałam jak wszyscy, cisza między nami się powiększała. Giez użądlił mnie w kostkę. Nie chciałam go odpędzić, świadoma obecności Russella kilka kroków dalej – z zamkniętymi oczami siedział na krześle. Słyszałam, jak nuci pod nosem. Russell uznał, że będzie najlepiej, jeśli Mitch tak go zastanie, w otoczeniu dziewcząt, z Guyem przy boku: trubadur ze swoją widownią. Przygotował się do występu, gitara leżała na jego kolanach. Bosa stopa podrygiwała.

Russell przebierał palcami po gitarze, naciskając bezgłośnie na struny, i to zwróciło moją uwagę – denerwował się w sposób, którego na razie nie potrafiłam odcyfrować. Russell nie podniósł wzroku, gdy Helen zaczęła szeptać do Donny, bardzo cicho – pewnie coś o Mitchu, a może o jakimś idiotyzmie, który powiedział Guy – ale kiedy nie przestawała, wstał. Poświęcił chwilę na oparcie gitary o krzesło, upewnienie się, że jest stabilna, potem szybko podszedł do Helen i uderzył ją w twarz.

Mimowolnie zaskomlała, dziwnie i bulgoczaco. Uraza niemal natychmiast wyparowała z szeroko otwartych oczu, zastąpiły ją przeprosiny. Mrugała szybko, żeby nie popłynęły łzy.

Po raz pierwszy widziałam Russella reagującego w taki sposób, ostrze gniewu skierowane przeciwko jednemu z nas. W żadnym razie nie mógł jej

uderzyć – głupi blask słońca to uniemożliwił, popołudniowa godzina. Pomysł był zbyt idiotyczny. Rozejrzałam się, szukając potwierdzenia tego przerażającego pogwałcenia, ale wszyscy znacząco patrzyli w drugą stronę albo ułożyli rysy w maski dezaprobaty, jakby Helen sama była sobie winna. Guy drapał się za uchem i wzdychał. Nawet Suzanne sprawiała wrażenie znudzonej, jakby to, co się stało, niczym się nie różniło od uścisku ręki. Ocet w moim gardle, nagły rozpaczliwy szok wydawał się porażką.

Dość szybko Russell gładził Helen po włosach, poprawiał przekrzywione kucyki. Szeptał jej coś do ucha, a ona uśmiechała się i kiwała głową jak lalka niemowlę z głupimi oczami.

Kiedy godzinę spóźniony Mitch w końcu pojawił się na ranczu, przywiózł bardzo potrzebne zapasy: karton fasoli w puszcze, suszone figi i pastę czekoladową. Twarde jak kamień gruszki odmiany Packham, każda zawinięta w różową bibułę. Pozwolił dzieciom gramolić się po nogach, chociaż zwykle je przepędzał.

– Cześć, Russell – powiedział. Z warstewką potu na twarzy.

– Kopę lat, bracie – odparł Russell. Uśmiechał się, ale nie wstał z krzesła. – Jak tam Wielki Amerykański Sen?

– Jakoś leci, nie narzekam, stary. Przepraszam za spóźnienie.

– Długo się nie odzywałeś. Łamiesz mi serce, Mitch.

– Byłem zajęty. Sporo się dzieje.

– Zawsze sporo się dzieje – powiedział Russell. Rozejrzał się po naszych twarzach, nawiązał kontakt wzrokowy z Guyem. – Nie sądzisz? Zawsze sporo się dzieje i na tym polega życie. Myślę, że to się kończy dopiero wtedy, kiedy umierasz.

Mitch się roześmiał, jakby wszystko było w porządku. Rozdawał papierosy, które przywiózł, jedzenie jak pocący się Święty Mikołaj. Książki będą ów dzień wyróżniać jako ten, kiedy relacje Russella i Mitcha uległy zmianie, chociaż wtedy o niczym nie miałam pojęcia. Nie wyłapałam znaczenia w napięciu między nimi, wściekłość Russella tłumiała spokojna, pobłażliwa postawa. W końcu Mitch przyjechał, żeby przekazać Russellowi złą wiadomość, że z kontraktu płytowego nici: papierosy, jedzenie, wszystko to miało być pocieszeniem. Russell tygodniami dręczył Mitcha w związku z rzekomym kontraktem. Nalegał, naciskał, wysysał z Mitcha siły. Posyłał Guya z enigmatycznymi wiadomościami, których ton oscylował między groźbą a łagodnością. Russell próbował zdobyć to, na co, jak wierzył, zasługiwał.

Paliliśmy trawkę. Donna zrobiła kanapki z masłem orzechowym. Siedziałam w kręgu w cieniu rzucanym przez dąb. Nico biegał z innym dzieckiem, na brodach mieli resztki śniadania. Dźgnął patykiem worek ze śmieciami, a te się rozsypały – nikt tego nie zauważył oprócz mnie. Pies Guya biegał po łące, lamy tupały, bardzo ożywione. Ukradkiem zerkałam na Helen, która wyglądała na niezwykle

szczęśliwą, jakby rozmowa z Russellem spełniła kryteria pocieszającego wzoru.

Policzek powinien być bardziej alarmujący. Chciałam, żeby Russell był dobry, więc taki był. Chciałam przebywać blisko Suzanne, więc wierzyłam w rzeczy, które mi pozwalały tam zostać. Mówiłam sobie, że są sprawy, których nie rozumiem. Przetwarzałam słowa wcześniej usłyszane od Russella, formowałam je w wyjaśnienia. Czasami musiał nas ukarać, żeby nam pokazać swoją miłość. Nie chciał tego robić, ale musiał, żebyśmy szli do przodu, dla dobra grupy. Jego też to bolało.

Nico i drugi malec porzucili stos śmieci, kucali w trawie z obwisłymi, ciężkimi pieluchami. Szybko mówili do siebie poważnymi azjatyckimi głosami, z trzeźwą, racjonalną intonacją, jak w rozmowie dwóch małych mędrców. Wybuchnęli nagłym histerycznym śmiechem.

To wydarzyło się później tego dnia. Piliśmy mętne wino sprzedawane na galony w mieście, osad barwił nam języki, upał wywoływał nudności. Mitch wstał, gotowy wracać do domu.

– Może z nim pojedziesz? – zasugerował Russell. Ścisnął mi dłoń w ukrytym kodzie.

Czy wymienili spojrzenia z Mitchem? A może sobie wyobrażam, że byłam świadkiem takiej wymiany. Logistykę tamtego dnia okrywał całun dezorientacji, tak więc jakimś sposobem był zmrok, a ja i Suzanne odwoziłyśmy Mitcha do domu, podskakując na bocznych drogach Marin w jego samochodzie.

Mitch siedział z tyłu, Suzanne prowadziła. Ja siedziałam obok niej. Ciągle łapałam twarz Mitcha w lusterku, zagubionego w bezcelowej mgłę. Potem nagle się otrząsnął i popatrzył na nas ze zdziwieniem. Nie do końca rozumiałam, dlaczego nas wybrano, żebyśmy odwiozły Mitcha do domu. Informacje przekazywane były selektywnie, wiedziałam tylko, że będę z Suzanne. Wszystkie okna były otwarte na letnią ziemię i sekretny błysk innych podjazdów, innych egzystencji wzdłuż wąskiej drogi w cieniu góry Tam. Pętla węzłów ogrodowych, śliczna magnolia. Czasami Suzanne skręcała na zły pas i piszczałyśmy ze szczęśliwym, skonfundowanym przerażeniem, chociaż w moich wrzaskach brakowało emocji: nie wierzyłam, że kiedykolwiek może zdarzyć się coś złego, w gruncie rzeczy nie.

Mitch przebrał się w biały garnitur podobny do piżamy, pamiątkę z trzytygodniowego pobytu w Waranasi. Podał nam szklanki – złapałam medyczny zapach dzinu i coś jeszcze, nutę goryczy. Wypiłam bez kłopotu. Byłam niemal patologicznie naćpana, ciągle przelykałam, nos mi się zapychał. Trochę się śmiałam do siebie. To było takie dziwne, że jestem w domu Mitcha Lewisa. Pomiędzy jego zagraconymi kapliczkami i nowymi z wyglądu meblami.

– Jefferson Airplane mieszkali tu przez kilka miesięcy – powiedział. Często mrugał. – Z psem – ciągnął, rozglądając się po domu. – Wielkim i białym. Jak one się nazywają? Nowofundlandy? Przeorał trawnik.

Najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że go ignorujemy. Był poza tym, okryty szklistą warstwą milczenia. Nagle wstał, włączył płytę. Podkreślił głośność tak bardzo, że się przestraszyłam, ale Suzanne ze śmiechem go ponagliła, żeby zrobił jeszcze głośniejsze. To była jego muzyka, co mnie wprawiło w zakłopotanie. Jego ciężki brzuch napinał długą koszulę, powiewną jak suknia.

– Śmieszne z was dziewczyny – powiedział niewyraźnie.

Patrzył, jak Suzanne zaczyna tańczyć. Na jej brudne stopy na białym dywanie. Znalazła w lodówce kurczaka, palcami oderwała kawałek i teraz żuła, poruszając biodrami.

– Kurczak kona – zauważył. – Z Trader Vic's.

Banalność tej uwagi – Suzanne i ja spojrzaliśmy sobie w oczy.

– Co? – zapytał Mitch. Nie przestałyśmy się śmiać i on też zaczął. – Ale zabawa – powtarzał, przekrzykując muzykę. Ciągłe opowiadał, jak bardzo pewien znajomy aktor lubi tę piosenkę. – Naprawdę zrozumiał. Puszczal bez przerwy. Gość się zestroił.

To było dla mnie nowe – że można traktować kogoś sławnego, jakby wcale nie był wyjątkowy, że można dostrzec jego braki, normalność, zauważyć, że w jego kuchni cuchnie odpadkami, których nie wyniesiono. Fantomowe kwadraty na ścianie, gdzie przedtem wisiały fotografie, nadal owinięte w folię złote płyty oparte o listwy przypodłogowe. Suzanne zachowywała się tak, jakbyśmy naprawdę liczyły się tylko my dwie, a to wszystko było małą grą, którą rozpoczęłyśmy z Mitchem. Stanowił tło do większej opowieści, naszej opowieści, i litowałyśmy się nad nim, a równocześnie byłyśmy mu wdzięczne za to, jak poświęcił się dla naszej rozrywki.

Mitch miał trochę koki i niemal boleśnie było patrzeć, jak starannie wysypuje ją na książkę o medytacji transcedentalnej, wpatrując się w swoje dłonie z dziwnym dystansem, jakby do niego nie należały. Oddzielił trzy kreski, później się im przyjrzał. Tak długo przy nich marudził, aż jedna była znacząco większa, i szybko ją wciągnął, ciężko oddychając.

– Aach – powiedział, odchylając głowę, gardło znaczył krótki złoty zarost. Podał książkę Suzanne, która nie przerywając tańca, wciągnęła kreskę. Ja zrobiłam to na końcu.

Koka obudziła we mnie ochotę do tańca, zaczęłam więc tańczyć. Suzanne złapała moje ręce, uśmiechając się do mnie. To była dziwna chwila: tańczyłyśmy dla Mitcha, ale pożerały mnie jej oczy, jej ponaglenia. Obserwowała moje ruchy z przyjemnością.

Mitch próbował rozmawiać, opowiadał o swojej dziewczynie. Jaki jest samotny, odkąd wyjechała do Marrakeszu, bo nagle poczuła, że potrzebuje więcej przestrzeni.

– Brednie – powtarzał. – Ach, brednie.

Dogadzałyśmy mu: wzorowałam się na Suzanne, która kiwała głową, kiedy

Mitch mówił, lecz do mnie przewracała oczami, albo głośno go zachęcała, żeby powiedział coś więcej. Tamtego wieczoru mówił o Lindzie, ale jej imię nic dla mnie nie znaczyło. Ledwo go słuchałam: wzięłam małe drewniane pudełko z grzechoczącymi srebrnymi kuleczkami i próbowałam umieścić je w otworach namalowanych tak, by wyglądały jak pyski smoków.

W czasie morderstwa Linda będzie jego była dziewczyną; miała tylko dwadzieścia sześć lat, chociaż w tamtym okresie ten wiek wydawał mi się mglisty, jak pukanie do odległych drzwi. Jej syn Christopher miał pięć lat, ale już był w dziesięciu krajach, spakowany w tobołek razem z woreczkiem biżuterii ze skarabeuszami. Kowbojskie buty ze strusiej skóry wypchała zwiniętymi czasopismami, żeby zachowały kształt. Linda była piękna, chociaż jestem pewna, że z wiekiem jej twarz stałaby się rozpustna albo pospolita. Spała ze swoim złotowłosym synkiem jak z pluszowym misiem.

Tak bardzo uśpiło mnie poczucie, że świat przesiał się wokół Suzanne i mnie, że Mitch był tylko komicznym wypełnieniem – nawet nie wzięłam pod uwagę innych ewentualności. Poszłam do łazienki, skorzystałam z dziwnego czarnego mydła Mitcha, zajrzałam do szafki załadowanej buteleczkami hydromorfonu.

Lśniąca emalia wanny, nuta wybielacza w powietrzu: wiedziałam, że ma sprzątaczkę.

Właśnie skończyłam sikać, kiedy ktoś bez pukania otworzył drzwi. Drgnęłam, odruchowo próbując się zasłonić. Zobaczyłam, jak mężczyzna obrzucił spojrzeniem moje obnażone nogi, zanim wycofał się na korytarz. – Przepraszam – usłyszałam jego głos z drugiej strony drzwi. Łańcuch wypchanych lorys timorskich kołysał się łagodnie koło umywalki.

– Proszę przyjąć najszczerze przeprosiny – powiedział mężczyzna. – Szukałem Mitcha. Przepraszam, że przeszkodziłem.

Wyczuwałam, że się waha, potem lekko stuknął w drzwi i odszedł. Wciągnęłam szorty. Adrenalina, która rozlała mi się w żyłach, straciła na sile, ale nie znikła. To pewnie jakiś przyjaciel Mitcha. Byłam rozedrgana od koki, ale nie przestraszona. To miało sens: nikt wtedy nie myślał, że obcy może nie być przyjacielem, takie podejrzenie pojawiło się później. Nasza miłość do innych bezkresna, całe uniwersum jednym wielkim bezpiecznym miejscem.

Kilka miesięcy później uświadomiłam sobie, że to musiał być Scotty Weschler. Dozorca, który mieszkał w małym domku, pomalowanej na biało chacie z płytą grzewczą i ogrzewaniem. Człowiek, który czyścił filtry w jacuzzi na patio, podlewał trawnik i sprawdzał, czy Mitch w nocy nie przedawkował. Przedwcześnie łysiejący, w okularach w drucianych oprawkach: Scotty był kadetem w akademii wojskowej w Pensylwanii, zrezygnował z nauki i przeniósł się na zachód. Nigdy nie pozbył się swojego kadeckiego idealizmu: pisał do matki listy o sekwojach,

Pacyfiku, używając słów takich jak „majestatyczny” i „dostojny”.

On będzie pierwszy. Ten, który próbował walczyć, uciekać.

Żałuję, że nie mogłam wycisnąć więcej z naszego krótkiego spotkania. Wierzyć, że kiedy otworzył drzwi, poczułam dreszcz tego, co miało nadejść. Ale ja tylko przelotnie zobaczyłam nieznanego i niewiele o tym myślałam. Nie zapytałam nawet Suzanne, kim był ten człowiek.

Kiedy wróciłam, salon był pusty. Muzyka ryczała, w popielniczce dymił papieros. Szklane drzwi wychodzące na zatokę były otwarte. Zaskoczyła mnie nagłość wody, gdy stanęłam na tarasie, ściana wełnistych świateł: San Francisco we mgle.

Na brzegu nikogo nie widziałam. Potem znad wody dobiegło zniekształcone echo. Byli tam oboje, pluskali się w falach, woda pieniała się wokół ich nóg. Mitch chlapał się w białym stroju, teraz jak nasiąknięte prześcieradło, Suzanne w sukience, którą nazywała Br'er Rabbit. Serce mi się ścisnęło – chciałam się do nich przyłączyć. Coś jednak zatrzymało mnie w miejscu. Stałam na schodach prowadzących na piasek, czując zapach drewna wygładzonego przez morze. Wiedziałam, co zaraz będzie? Patrzyłam, jak Suzanne zrzuca sukienkę z pijaną niezgrabnością, jak on się do niej dobiera. Schyla głowę, by lizać jej nagie piersi. Oboje chwiali się w wodzie. Patrzyłam dłużej, niż wydawało się to właściwe. Byłam nabuzowana i zagubiona, kiedy się odwróciłam i weszłam do domu.

Przyciszyłam muzykę. Zamknęłam lodówkę, którą Suzanne zostawiła otwartą. Poszarpane truchło kurczaka. Kurczaka kona, jak podkreślił Mitch – jego widok wywołał u mnie lekkie mdłości. Zbyt różowe mięso emanujące chłodem. To się nigdy nie zmieni, pomyślałam, zawsze będę osobą zamykającą lodówkę. Która ze schodów jak widmo patrzy, podczas gdy Suzanne pozwala Mitchowi na wszystko, na co ten ma ochotę. Zazdrość zaczęła krążyć w moich wnętrznościach. Poczułam dziwnie ostry ścisk w żołądku, kiedy sobie wyobraziłam jego palce w niej, to, jak smakowała słoną wodę. Pojawiła się też konsternacja – jak szybko sprawy się zmieniły i znowu byłam tą na zewnątrz.

Chemiczna przyjemność w mojej głowie już wyblakła, teraz rozpoznawałam tylko jej brak. Nie byłam zmęczona, ale nie chciałam siedzieć na kanapie i czekać na nich. Znalazłam niezamkniętą na klucz sypialnię, która wyglądała na pokój gościnny: żadnych ubrań w szafie, łóżko z cokolwiek pomiętą pościelą. Pachniała kimś innym, na nocnym stoliku leżał jeden złoty kolczyk. Pomyślałam o własnym domu, o ciężarze i dotyku własnej pościeli – a potem pojawiło się nagłe pragnienie, by spać w domu Connie. Zwinięta przy jej plecach w naszym znajomym rytualnym układzie, w pościeli drukowanej w pulchne tęcze z kreskówek.

Leżałam w łóżku, słuchając odgłosów Suzanne i Mitcha w drugim pokoju. Jakbym była grubokarkim chłopakiem Suzanne: to samo koło słusznego gniewu. Nie był skierowany na nią, nie całkiem – nienawidziłam Mitcha z żarem, który nie

pozwalał mi zasnąć. Chciałam, żeby się dowiedział, jak wcześniej się z niego śmiała, żeby poznał dokładny rozmiar litości, który do niego czułam. Jakże bezsilny był mój gniew, fala bez miejsca do wylądowania, i jak znajome to było: zduszone uczucia w moim wnętrzu jak na poły ukształtowane dzieci, rozgoryczone i najeżone.

Później byłam prawie pewna, że w tym samym pokoju spali Linda i jej synek. Chociaż wiem, że były inne sypialnie, inne możliwości. W wieczór morderstwa Linda i Mitch już nie byli ze sobą, ale nadal się przyjaźnili, tydzień wcześniej Mitch dostarczył ogromną wypchaną żyrafę na urodziny Christophera. Linda zatrzymała się u Mitcha tylko dlatego, że w jej mieszkaniu na Sunset pojawiła się pleśń – planowała spędzić w jego domu dwie noce. Później ona i Christopher mieli się przenieść do Woodside do jej chłopaka, który był właścicielem sieci restauracji serwujących owoce morza.

Po morderstwach widziałam go w talk-show: czerwona twarz, chusteczka przy oku. Zastanawiałam się, czy miał zrobiony manikur. Powiedział prowadzącemu, że zamierzał oświadczyć się Lindzie. Chociaż kto wie, czy to była prawda.

Okolo trzeciej nad ranem rozległo się pukanie do moich drzwi. To była Suzanne, wtoczyła się do środka, nie czekając na odpowiedź. Była naga, wniosła aromat słonej wody i dymu papierosowego.

– Cześć – powiedziała, ciągnąc za kołdrę.

Na wpół spałam, ukołysana monotonią czarnego sufitu, a ona była jak istota ze snu, nagle się pojawiająca, roztaczająca ten swój zapach. Pościel zwilgotniała, kiedy się położyła. Wierzyłam, że przyszła dla mnie. Żeby ze mną być, w geście przeprosin. Ale jak szybko ta myśl zniknęła, kiedy dotarło do mnie jej naleganie, naćpany, szklisty wzrok – wiedziałam, że robi to dla niego.

– Daj spokój – powiedziała Suzanne i roześmiała się. W dziwnym niebieskim świetle jej twarz była nowa. – Będzie pięknie, przekonasz się. On jest delikatny.

Jakby na nic więcej nie można było liczyć. Usiadłam, łapiąc kołdrę.

– Mitch to świr – odparłam.

Było dla mnie jasne, że jesteśmy w domu nieznanego. Pusty, za wielki pokój gościnny z nieapetycznym odorem gazów innych ludzi.

– Evie, nie bądź taka.

Jej bliskość, jej rozbiegane oczy w mroku. Łatwość, z jaką przycisnęła usta do moich, językiem rozchylając mi wargi. Przesuwając czubkiem po zębach, uśmiechając się i mówiąc coś, czego nie dosłyszałam.

Wyczuwałam kokainę na jej wargach, słone morze. Chciałam znowu ją pocałować, ale ona już się odsunęła, uśmiechając się, jakby to była gra, jakbyśmy zrobiły coś zabawnego i nierealnego. Bawiła się moimi włosami.

Z radością przekręcałam znaczenia, rozmyślnie źle odczytywałam symbole. Zrobienie tego, o co prosiła Suzanne, wydawało się najlepszym prezentem, jaki mogę jej dać, sposobem na uwolnienie jej uczuć. A ona na swój sposób była uwięziona, tak samo jak ja, tylko że tego nie dostrzegałam, bez oporów przesuając się w kierunku, w którym mnie popychała. Jak drewniana zabawka ze stukiem zderzająca się ze srebrną piłką przechylałam się i dążyłam ku malowanym otworom, próbując wygrać.

Pokój Mitcha był wielki, posadzka z kafelków zimna. Łóżko stało na podwyższeniu, rzeźbione w figury z Bali. Uśmiechnął się, widząc mnie za Suzanne, przelotnie błysnęły jego zęby, i wyciągnął do nas ręce, na jego piersi kłębiły się włosy. Suzanne od razu podeszła do niego, ale ja usiadłam na skraju łóżka, ręce złożyłam na kolanach. Mitch podniósł się na łokciach.

– Nie – powiedział, klepiąc w materac. – Tutaj. Chodź tutaj.

Przysunęłam się i położyłam obok niego. Wyczuwałam zniecierpliwienie Suzanne, widoczne w tym, jak ukradkiem zbliżyła się do niego, jak pies.

– Na razie cię nie chcę – powiedział jej Mitch.

Nie widziałam twarzy Suzanne, mogłam jednak sobie wyobrazić przelotną urazę.

– Możesz to zdjąć? – Mitch poklepał moje majtki.

Wstydziałam się: były pełne i dziecięce, z luźnym pasem. Zsunęłam je do kolan.

– O Boże – powiedział Mitch, siadając. – Możesz lekko rozchylić nogi?

Rozchyliłam. Kucnął nade mną. Czułam jego twarz tuż nad moim dziecięcym wzgórkim. Jego nos wydzielał wilgotny zwierzęcy żar.

– Nie dotknę cię – powiedział Mitch, a ja wiedziałam, że kłamie. – Jezu – westchnął. Gestem wezwał Suzanne. Mrucząc gardłowo, ułożył nas jak lalki. Wygłaszał kapryśne kwestie na stronie do nikogo w szczególności. Suzanne wyglądała dla mnie jak obca w tym obcym pokoju, jakby ta jej część, którą rozpoznawałam, wycofała się.

Wciągnął mój język w swoje usta. Potrafiłam pozostać w bezruchu przez większość czasu, kiedy Mitch mnie całował, i przyjmować jego sondujący język z pustym dystansem, nawet jego palce we mnie jako coś ciekawego i pozbawionego znaczenia. Mitch podniósł się i wszedł we mnie. Zajęczał, gdy napotkał na przeszkodę. Napluł na dłoń i potarł mnie, potem znowu spróbował – jakie to było nagłe, ten jego czop między moimi nogami, i jak myślałam z niejakim zaskoczeniem i niedowierzeniem, że to naprawdę się dzieje, a potem poczułam, jak Suzanne łapie mnie za rękę.

Może Mitch szturchnął Suzanne w moim kierunku, ale ja tego nie widziałam. Kiedy Suzanne znowu mnie pocałowała, to mnie uspiło, skłoniło do myśli, że robi to dla mnie, że to jest nasz sposób na bycie razem. Że Mitch jest tylko odgłosem

w tle, koniecznym pretekstem dla jej chętnych ust, zgiętych palców. Czułam zapach swój i zapach Suzanne. Wierzyłam, że gardłowy jęk jest przeznaczony dla mnie, jakby jej rozkosz znajdowała się na poziomie, na którym Mitch nie mógł jej słyszeć. Położyła moją dłoń na swojej piersi, zadrżała, kiedy dotknęłam jej sutka. Zamknęła oczy, jakbym zrobiła coś dobrego.

Mitch stoczył się ze mnie, żeby patrzeć. Ugniatał mokrą główkę swojego fiuta, materac przechylał się pod jego ciężarem.

Całowałam Suzanne, i to było zupełnie inne od całowania mężczyzny. Ich miażdżące usta przeczyły idei pocałunku, ale nie to. Udawałam, że Mitcha tu nie ma, chociaż wyczuwałam jego wzrok, jego usta obwisłe jak otwarty bagażnik samochodu. Spłoszyłam się, kiedy Suzanne próbowała rozchylić mi nogi, ale uśmiechnęła się do mnie, więc jej pozwoliłam. Jej język na początku był ostrożny, potem użyła też palców, i wstydziłam się tego, jak bardzo jestem mokra, odgłosów, które wydawałam. Umysł szalał mi z rozkoszy tak obcej, że nie wiedziałam, jak ją nazwać.

Później Mitch wypieprzył nas obie, jakby chciał skorygować naszą oczywistą preferencję. Pocił się obficie, oczy zaciskał z wysiłku. Łóżko odsunęło się od ściany.

Kiedy rano się obudziłam i zobaczyłam brudny kłębek mojej bielizny na posadzce Mitcha, w moim wnętrzu urosła taka bańka zakłopotania, że prawie się rozplakałam.

Mitch odwiózł nas na ranczo. Nic nie mówiłam, patrzyłam w okno. Mijane domy wyglądały na od dawna uśpione, eleganckie samochody osłonięte pokrowcami w kolorze cementu. Suzanne siedziała z przodu. Od czasu do czasu się odwracała i uśmiechała do mnie. Przeprasząco, widziałam to wyraźnie, ale twarz miałam kamienną, serce ściśnięte. Żal, któremu nie w pełni ulegałam.

Przypuszczam, że pielęgnowałam złe emocje, jakbym mogła oddalić smutek brawurą, beztroskim sposobem, w który myślałam o Suzanne. Uprawiałam seks: i co z tego? To nie była wielka sprawa, kolejna funkcja ludzkiego ciała. Jak jedzenie. Mechaniczna i dostępna dla każdego. Wszystkie te nabożne i pastelowe nalegania, żebyś poczekała, zrobiła z siebie dar dla przyszłego męża: była ulga w pospolitości rzeczywistego aktu. Obserwowałam Suzanne z tylnego siedzenia, patrzyłam, jak się śmieje z czegoś, co powiedział Mitch, i otwiera okno. Jej włosy unosił wiatr.

Mitch zahamował przed ranczem.

– Do zobaczenia, dziewczęta – powiedział, podnosząc różową dłoń. Jakby zabrał nas na lody, na jakąś niewinną wycieczkę, i teraz zwracał do kołyski rodzicielskiego domu.

Suzanne natychmiast poszła poszukać Russella, oddzielając się ode mnie bez słowa. Później uświadomiłam sobie, że musiała zdać mu raport. Poinformować,

w jakim nastroju był Mitch, czy uszczęśliwiłyśmy go na tyle, żeby zmienił zdanie. Wtedy zauważyłam tylko porzucenie.

Próbowałam się czymś zająć, w kuchni obierałam więc czosnek z Donną. Miażdżyłam ząbki na blacie płaską stroną noża, jak mi pokazała. Donna, przesuwając gałką radia z jednej strony skali na drugą i z powrotem, uzyskiwała różne natężenia zakłóceń i alarmujące urywki Herba Alperta. W końcu się poddała i wróciła do dźgania czarnego ciasta.

– Roos posmarowała mi włosy wazeliną – powiedziała Donna. Potrząsnęła głową i jej włosy prawie nie drgnęły. – Będą bardzo miękkie, kiedy je umyję.

Nie odpowiedziałam. Donna widziała, że jestem roztargniona, i wbiła we mnie wzrok.

– Pokazał ci fontannę na tylnym dziedzińcu? – zapytała. – Sprowadził ją z Rzymu. Dom Mitcha ma rewelacyjne wibracje – ciągnęła. – Wszystkie te jony z oceanu.

Poczerwieniałam, usiłując skoncentrować się na wyłuskaniu czosnku z łupin. Brzęczenie radia nagle wydało się nieprzyjemne, zanieczyszczające, spiker mówił za głośno. Wszyscy tam byli, zrozumiałam, w dziwnym domu Mitcha nad morzem. Zostałam wtłoczona we wzór, zdefiniowana jednoznacznie jako dziewczyna, zapewniałam znaną wartość. Było w tym coś niemal pocieszającego, jasność celu, mimo że czułam wstyd. Nie rozumiałam, że można mieć nadzieję na więcej.

Nie widziałam fontanny. Nie przyznałam się do tego.

Oczy Donny błyszczały.

– Wiesz – powiedziała – rodzice Suzanne są w rzeczywistości bardzo bogaci. Propan czy coś takiego. Nigdy nie była bezdomna ani nic w tym rodzaju. – Wyrabiała ciasto na blacie. – Nie wylądowała w szpitalu. Nic z tego gówna, które opowiada, nie jest prawdą. Zraniła się spinaczem do papieru na jakimś popieprzonym odlocie.

Było mi niedobrze od odoru resztek jedzenia mięknących w zlewie. Wzruszyłam ramionami, jakby niewiele mnie to obchodziło.

– Nie wierzysz mi – mówiła dalej Donna. – Ale to prawda. Byliśmy w Mendocino. Spaliśmy u właściciela sadu jabłkowego. Wzięła za dużo kwasu, zaczęła się ranić tym spinaczem, aż kazaliśmy jej przestać. Chociaż nawet nie krwawiła.

Kiedy nie zareagowałam, Donna wrzuciła ciasto do miski. Biła w nie pięściami.

– Myśl, co chcesz – powiedziała.

Suzanne przyszła do swojej sypialni później, kiedy się przebierałam. Obronnym gestem osłoniłam nagie piersi. Suzanne to zauważyła i wyglądało na to, że zaraz mnie wyśmiej, ale się powstrzymała. Zobaczyłam blizny na jej przegubie, nie zadałam jednak trudnych pytań – Donna po prostu była zazdrosna. A nie ma co

zwracać uwagi na Donnę i jej sztywne od wazeliny włosy, mięsiste i wstrętne jak u piżmaka.

– Wczoraj w nocy był odlot – powiedziała Suzanne.

Odsunęłam się, kiedy próbowała mnie objąć.

– Och, dajże spokój, podobało ci się – powiedziała. – Widziałam.

Zrobiłam minę, jakby mi było niedobrze – roześmiała się. Zająłam się wygładzaniem pościeli, jakby łóżko mogło kiedykolwiek być czymś więcej poza wilgotnym gniazdem.

– Ej, jest w porządku – powiedziała Suzanne. – Mam coś, co poprawi ci humor.

Myślałam, że mnie przeprosi. Ale potem wpadło mi do głowy, że znowu mnie pocałuje. W mrocznym pokoju zabrakło powietrza. Niemal czułam, jak to się dzieje, to nieznaczne nachylenie – ale Suzanne tylko podniosła torbę na łóżko, frędzle rozlały się po materacu. Torba była dziwnie ciężka. Suzanne spojrzała na mnie triumfalnie.

– No, zajrzyj do środka – zachęciła.

Parsknęła na mój upór i otworzyła ją sama. Nie rozumiałam, co tam jest: niezwykle metaliczny błysk. Ostre rogi.

– Wyjmij to – powiedziała Suzanne zniecierpliwiona.

To była złota płyta w szkle, o wiele cięższa, niż się spodziewałam.

Suzanne mnie szturchnęła.

– Załatwiłyśmy go, co?

Jej wyczekujące spojrzenie... Miało coś wyjaśnić? Gapiłam się na nazwisko wygrawerowane na małej plakietce: Mitch Lewis. Album *Sun King*.

Suzanne zaczęła się śmiać.

– Ludzie, powinnaś zobaczyć swoją minę – powiedziała. – Nie wiesz, że jestem po twojej stronie?

Płyta połykiwała mętnie w ciemnym pokoju, ale nawet śliczna egipska poświata mnie nie poruszyła – to był po prostu przedmiot z tamtego dziwnego domu, nic aż tak wartościowego. Od ciężaru już mdlały mi ręce.

Poszczekiwanie na ganku przestraszyło mnie, po nim rozległ się płynny śmiech matki, ciężkie kroki Franka. Byłam w salonie, wyciągnięta w fotelu dziadka czytałam jeden z numerów matczynego czasopisma „McCall’s”. Z fotografiami genitalnie śliskich szynek otoczonych wieńcem ananasa. Z Lauren Hutton w staniku z Bali leżącą na skalistym klifie. Matka i Frank zachowywali się głośno, wchodząc do salonu, ale umilkli, kiedy mnie zobaczyli. Frank w swoich kowbojkach, matka przełykająca to, co wcześniej mówiła.

– Skarbie. – Oczy miała zasnutę łzami, ciało chwiejące się na tyle, że wiedziałam, iż jest pijana i próbuje to ukryć, chociaż różowa szyja – odsłonięta w szyfonowej bluzce – i tak by ją zdradziła.

– Cześć – powiedziałam.

– Co robisz w domu, skarbie? – Matka podeszła, żeby mnie objąć, i pozwoliłam jej na to pomimo metalicznego zapachu alkoholu i nuty zwietrzałych perfum, którymi była otoczona. – Connie jest chora?

– Nie. – Wzruszyłam ramionami. Wróciłam do magazynu. Następna strona: dziewczyna w tunice barwy masła klęczy na białym pudle. Reklama Moon Drops.

– Zwykle tak szybko przemykasz – dodała.

– Poczulałam ochotę na posiedzenie w domu. To chyba jest mój dom?

Matka się uśmiechnęła, przyglądając mi włosy.

– Śliczna z ciebie dziewczynka, prawda? Oczywiście, że to twój dom. Śliczna jest, prawda? – zwróciła się do Franka. – Taka śliczna – powtórzyła, tym razem w przestrzeń.

Frank się uśmiechnął, choć był niespokojny. Nienawidziłam tej mimowolnej wiedzy, tego, jak zaczęłam zauważać każde drobne wahnięcie władzy i kontroli, dźgnięcia i markowane ciosy. Dlaczego związki nie mogą być obopólne? Dwoje ludzi okazujących sobie narastające w tym samym tempie zainteresowanie. Z trzaskiem zamknęłam czasopismo.

– Dobranoc – powiedziałam. Nie chciałam sobie wyobrażać, co się stanie później, ręce Franka w szyfonie. Matka była na tyle przytomna, żeby zgasić światła, żadna wyrozumiałej ciemności.

Takie były fantazje, które w sobie podsycalam: że opuszczając na pewien czas ranczo, sprowokuję Suzanne do nagłego pojawienia się, do domagania się mojego powrotu. Mogłam napawać się samotnością jak słonymi krakersami, które pożerałam całymi opakowaniami, rozkoszując się ostrym smakiem sodu w ustach. Oglądając *Ożeniłem się z czarownicą*, czułam nową irytację na Samanthę. Na jej zadarty nos, na to, jak robiła z męża idiotę. Na desperację jego głupiej miłości zmieniającą go w puentę. Pewnego wieczoru przestudiowałam fotografię babki wiszącą w holu, jej lakierowane loki. Była ładna, tryskała zdrowiem. Tylko oczy

miała senne, jakby przed chwilą obudziła się z kwiecistych snów. Wniosek był orzeźwiający – w niczym jej nie przypominałam.

Wychylona z okna, popalałam trawkę, potem palcami doprowadzałam się do zmęczenia, czytając komiks albo czasopismo, nieważne co. To była tylko forma ciał, mój mózg się w nich zatracił. Mogłam patrzeć na reklamę dodge'a chargera, uśmiechniętą dziewczynę w białym jak śnieg kowbojskim kapeluszu i z furią wyobrażałam ją sobie w obscenicznym pozycjach, z twarzą obwisłą i obrzmiałą, ssącą i liżącą, z brodą mokrą od śliny. Miałam zrozumieć noc z Mitchem, podchodzić do spraw na luzie, ale został mi tylko sztywny, oficjalny gniew. Ta głupia złota płyta. Bardzo się starałam wycisnąć z tego nowe znaczenie, jakbym przegapiła ważny znak, porozumiewawcze spojrzenie, które Suzanne mi posłała za plecami Mitcha. Jego kozia twarz, pot kapiący na moją i zmuszający mnie do odwrócenia głowy.

Nazajutrz rano ucieszyłam się, że kuchnia jest pusta, matka brała prysznic. Wrzuciłam cukier do kawy, usiadłam przy stole z opakowaniem krakersów. Lubiłam kruszyć krakersy w ustach i zalewać skrobiową masę kawą. Taka byłam zaabsorbowana tym rytuałem, że nagła obecność Franka mnie przestraszyła. Z głośnym szurnięciem wyciągnął dla siebie krzesło, usiadł, przysuwając je do mojego. Zobaczyłam, jak wodzi wzrokiem po okruszkach krakersów, wzbudzając we mnie lekki wstyd. Już miałam się wysliznąć z kuchni, ale zanim zdążyłam to zrobić, zapytał:

– Wielkie plany na dzisiaj?

Próbował się zakumplować. Zakręciłam opakowanie krakersów i wytarłam okruszki z dłoni, nagle skrupulatna.

– Nie wiem – powiedziałam.

Jak szybko warstewka cierpliwości się rozplynęła.

– Będziesz się snuła po domu?

Wzruszyłam ramionami: właśnie to miałam zamiar robić.

Na jego policzku skoczył mięsień.

– Przynajmniej wyjdź na dwór – powiedział. – Siedzisz w pokoju, jakby ktoś cię w nim zamknął.

Frank nie miał swoich kowbojek, tylko jaskrawobiałe skarpety. Przełknęłam bezradne prychnięcie: stopy dorosłego faceta w skarpetkach były idiotycznym widokiem. Zauważył drgnięcie moich ust i zaperzył się.

– Dla ciebie wszystko jest śmieszne, co? Robisz, co ci się podoba. Myślisz, że twoja mama nie widzi, co się dzieje?

Zesztywniałam, ale nie uniosłam wzroku. Było tak wiele rzeczy, o których mógł mówić: ranczo, to, co robiłam z Russellem. Z Mitchem. Jak myślałam o Suzanne.

– Kilka dni temu naprawdę nie wiedziała, jak to rozumieć – ciągnął Frank. –

Gina jej pieniądze. Prosto z torebki.

Zdawałam sobie sprawę, że policzki mi się zaczerwieniły, ale nic nie mówiłam. Przez zmrużone powieki patrzyłam na stół.

– Opuść jej – powiedział Frank. – Hm? To miła kobieta.

– Ja nie kradnę. – Mój głos zabrzmiał wysoko i fałszywie.

– Powiedzmy, że pożyczasz. Nic nie powiem. Rozumiem. Ale powinnaś przestać. Ona bardzo cię kocha, wiesz o tym?

Prysznic ucichł, co oznaczało, że matka niedługo się pojawi. Usiłowałam oszacować, czy Frank rzeczywiście niczego nie powie – rozumiałam, że próbował być miły, nie wpędzając mnie w kłopoty. Tylko że nie chciałam być wdzięczna. No nie, on zamierza traktować mnie po ojcowsku.

– Trwa festyn w mieście – powiedział Frank. – Dzisiaj i jutro. Może tam pójdziesz, rozerwiesz się. Jestem pewny, że to ucieszyłoby twoją mamę. Gdybyś miała jakieś zajęcia.

Kiedy weszła matka, wycierając końce włosów, momentalnie pojaśniałam, układając rysy tak, jakbym uważnie słuchała Franka.

– Nie sądzisz, Jeanie? – powiedział Frank, patrząc na moją matkę.

– Na jaki temat?

– Że Evie powinna pójść na ten festyn? Z okazji stulecia? Żeby miała zajęcia?

Moja matka przyjęła tę drobną sugestię jak przebłysk geniuszu.

– Nie wiem, czy to dokładnie jest stulecie... – powiedziała.

– No, impreza miejska – wtrącił Frank – z okazji stulecia, zresztą nieważne z jakiej.

– Ale to dobry pomysł – przyznała. – Będziesz się świetnie bawiła.

Wyczuwałam, że Frank mnie obserwuje.

– Taa – powiedziałam. – Jasne.

– Przyjemnie patrzeć, jak oboje miło ze sobą rozmawiacie – dodała nieśmiało matka.

Wykrzywiłam się, zabierając kubek i krakersy, ale ona tego nie zauważyła: już się pochyliła, żeby pocałować Franka. Szlafrok się jej rozchylił, zobaczyłam trójkąt zacienionej, pocętkowanej słońcem klatki piersiowej i musiałam odwrócić wzrok.

Miasto jednak świętowało sto dziesięć, a nie sto lat, niezgrabna liczba nadająca ton mizernej imprezie. Nazywanie tego festynem wydawało się nadmiernie wielkoduszne, chociaż była tu większość miasta. W parku odbywała się licytacja pudełek z lunchami, w licealnym amfiteatrze wystawiano sztukę o założeniu miasta, członkowie samorządu szkolnego pocili się w kostiumach z wydziału teatralnego. Zamknięto drogę dla ruchu, znalazłam się w falującym natłoku ludzi, napierających i korzystających z obietnicy wypoczynku i zabawy.

Mężowie z twarzami spiętymi od wymuszonego obowiązku, otoczeni przez dzieci i żony, które potrzebowały pluszowych zwierzątek. Które domagały się jasnej, kwaśnej lemoniady, hot dogów i grillowanej kukurydzy. Wszystkich dowodów mile spędzonego czasu. Rzeka już zgęstniała od śmieci, wolnego dryfu torebek po kukurydzy, puszek po piwie, papierowych wachlarzy.

Matce zaimponowała cudowna zdolność Franka do skłonięcia mnie, żebym wyszła z domu. W takim stopniu, w jakim chciał tego Frank. Żeby mogła sobie wyobrazić, jak gładko wsunął się w sylwetkę ojca. Bawiłam się tak, jak się spodziewałam. Jadłam kruszone lody, papierowy kubek rozmiękł i syrop wyciekł mi na rękę. Wyrzuciłam resztę, ale dłonie miałam lepkie, nawet kiedy wytarłam je w szorty.

Krażyłam w tłumie, wchodząc i wychodząc z cienia. Widziałam znajome dzieciaki, ale były wypełnieniem tła ze szkoły, z nikim nie spędziłam znaczącego czasu. Mimo to w myślach bezradnie skandowałam ich imiona i nazwiska. Norm Morovich. Jim Schumacher. Chłopcy z farm, w większości, z butami cuchnącymi zgnilizną. Na lekcjach odpowiadali cicho, odzywając się tylko wtedy, kiedy ich wywołano, na kapeluszach kowbojskich, które odwrócone kładli na biurkach, widziałam pokorny krąg brudu. Byli uprzejmi i cnotliwi, nosili na sobie ślady mlecznych krów, porośniętych koniczyną łąk i młodszych siostrzyczek. Zupełnie niepodobni do ludzi na ranczu, którzy litowaliby się nad chłopakami nadal szanującymi władzę ojca czy wycierającymi buty przed wejściem do matczynej kuchni. Zastanawiałam się, co robi Suzanne – może pływa w strumieniu albo wyleguje się z Donna, Helen, a nawet z Mitchem; ta myśl sprawiła, że przygryzłam wargę i międliłam suchą skórę zębami.

Musiałam zostać na imprezie jeszcze trochę, potem będę mogła wrócić do domu, do Franka i matki zadowolonych z mojej zdrowej dawki aktywności społecznej. Próbowałam przebić się przez park, ale był napakowany – zaczęła się parada, pick-upy były ciężkie od zrobionych z krepiny modeli ratusza. Pracownicy bankowi i dziewczęta w indiańskich kostiumach machające z platform, muzyka maszerującej orkiestry gwałtowna i opresyjna. Wyplątałam się z tłumy, krążąc po jego obrzeżach. Muzyka przybrała na sile, parada skręcała na East Washington. Do mojej świadomości przebił się śmiech, znaczący i teatralny: zanim się obejrzałam, wiedziałam, że ja jestem jego celem.

To była Connie, Connie i May, z przegubu Connie zwisała siatkowa torba. W środku dostrzegałam puszkę napoju pomarańczowego i inne zakupy, pod bluzką Connie zarys kostiumu kąpielowego. Był w nich zakodowany cały prosty dzień – nuda upału, wietrzejący napój. Kostiumy kąpielowe schnące na ganku.

Moją pierwszą emocją była ulga, jaką wywołuje swojskość skręcania na własny podjazd. Potem pojawił się niepokój, fakty dopasowywały się do siebie. Connie była na mnie wściekła. Już się nie przyjaźniłyśmy. Patrzyłam, jak otrząsa

się z początkowego zaskoczenia. Oczy May, oczy posokowca, przymrużyły się, łaknąc dramatu. Aparat na zęby wypychał jej usta. Connie i May wymieniły szeptem kilka słów i Connie zrobiła krok naprzód.

– Hej – powiedziała ostrożnie. – Co u ciebie?

Spodziewałam się gniewu, drwin, Connie jednak zachowywała się normalnie, nawet była trochę zadowolona ze spotkania ze mną. Nie rozmawiałyśmy od prawie miesiąca. Spojrzałam na May, szukając w jej twarzy podpowiedzi, ale była uparcie pusta.

– Niewiele – odparłam. Powinny mnie wzmocnić ostatnie tygodnie, istnienie rancza odbierające znaczenie naszym rodzinnym dramatom, a jednak jak szybko powróciła dawna lojalność, popęd zwierzęcego stada. Chciałam, żeby mnie lubiły.

– U nas też – powiedziała Connie.

Nagła wdzięczność do Franka – dobrze, że tu przyszłam, dobrze być z osobami w rodzaju Connie, nie tak skomplikowanymi i zbijającymi z tropu jak Suzanne, ale po prostu przyjaciółmi, których znałam głębiej, nie tylko z codziennie przywdziewanych masek. Obie oglądałyśmy telewizję, aż w oczach nam migąło i bolała nas głowa, i wyciskałyśmy sobie wzajemnie przyszcze na plecach w ostrym świetle łazienki.

– Marnie, co? – powiedziałam, wskazując w kierunku parady. – Sto dziesięć lat.

– Kręcą się tu jakieś świry. – May pociągnęła nosem i zadałam sobie pytanie, czy w jakiś sposób nie włącza w to mnie. – Nad rzeką. Cuchną.

– Tak – powiedziała Connie łagodniej. – A sztuka była okropnie głupia. Susan Thayer miała praktycznie przezroczystą suknię. Każdy widział jej bieliznę.

Wymieniły spojrzenia. Byłam zazdrosna o ich wspólne wspomnienia, o to, jak musiały siedzieć razem na widowni znudzone i niespokojne na słońcu.

– Może pójdziemy popływać – powiedziała Connie.

To stwierdzenie wydało się im obu jakoś wesołe. Ostrożnie się przyłączyłam. Jakbym zrozumiała dowcip.

– Mm. – Connie najwyraźniej bez słów porozumiała się z May. – Chcesz pójść z nami?

Powinłam była wiedzieć, że to nie skończy się dobrze. Że dzieje się zbyt łatwo, że moja zdrada nie będzie tolerowana.

– Popływać?

May wystąpiła, kiwając głową.

– Tak, w Meadow Club. Moja mama może nas zawieźć. Chcesz pójść?

Myśl, że mogłabym z nimi pójść, była takim absurdem, jakby otwierał się świat alternatywny, w którym ja i Connie nadal byłyśmy przyjaciółkami, a May Lopes zapraszała nas do Meadow Club popływać. Można tam było dostać koktajle mleczne i grillowane kanapki z koronkowymi frędzlami spalonego sera. Proste

smaki, jedzenie dla dzieci, wszyscy płacili, podpisując się nazwiskiem rodziców. Pozwoliłam sobie poczuć się mile połączona, pamiętając łatwą bliskość z Connie. Jej dom znałam tak dobrze, że nie musiałam nawet myśleć, jaką miskę postawić w jakiej szafce, a gdzie plastikowe kubki z krawędziami wyszczerbionymi przez mycie w zmywarce. Jakie miłe się to wydawało, jakie nieskomplikowane, ten logiczny marsz naszej przyjaźni.

I wtedy May podeszła do mnie, gwałtownie wyciągając rękę z puszką z napojem pomarańczowym: napój trafił w moją twarz pod kątem, nie tyle więc mnie zalał, co pokropił. Och, pomyślałam i żołądek mi się skręcił. Och, jasne. Parking się przekrzywił. Napój był letni, czułam zapach chemikaliów, nieapetyczne kapanie na asfalt. May rzuciła prawie pustą puszkę. Ta potoczyła się daleko i zatrzymała. Twarz May błyszczała jak ćwierćdolarówka i dziewczyna wyglądała na przestraszoną własną bezczelnością. Connie była bardziej niepewna, jej twarz jak migająca żarówka zapłonęła pełnowatową uwagą, kiedy May zagrzecotała jej torbą jak dzwonem alarmowym.

Płyn ledwo mnie dosięgnął. Mogło być gorzej, prawdziwe zlanie zamiast nieudolnej próby, ale nie wiadomo czemu, tęskniłam za zlaniem. Chciałam, żeby to wydarzenie było tak wielkie i bezlitosne jak sposób, w który odczuwałam swoje upokorzenie.

– Miłych wakacji – zaświergotała May, biorąc Connie pod rękę.

A potem odchodziły z kołyszącymi się torbami i sandałami głośnymi na chodniku. Connie się odwróciła, żeby na mnie spojrzeć, ale zobaczyłam, jak May mocno ją szarpie. Fala surf rocka niosła się nad drogą przez opuszczone okno w samochodzie – pomyślałam, że za kierownicą widzę Henry’ego, przyjaciela Petera, ale może tylko to sobie wyobraziłam, nakładając sieć większego spisku na moje dziecinne upokorzenie, jakby to poprawiało sytuację.

Utrzymywałam szalony spokój na twarzy, bo się bałam, że ktoś może mnie obserwuje, szuka oznak słabości. Chociaż jestem pewna, że były oczywiste – napięcie w rysach, zranienie i upór, że nic mi nie jest, że wszystko w porządku, że to po prostu nieporozumienie, dziewczynski wyglup pomiędzy przyjaciółkami. *Ha, ha, ha*, jak na nagrany śmiechu w *Ożeniłem się z czarownicą*, który odbierał wyrazowi przerażenia na marcepanowej twarzy Darrina wszelkie znaczenie.

To były dopiero dwa dni bez Suzanne, ale ja już z taką łatwością wsunęłam się na powrót w nijaki strumień życia nastolatki. Idiotyczne dramaty Connie i May. Zimne dłonie matki nagle dotykające mojego karku, jakby próbowała mną wstrząsnąć i skłonić mnie do kochania jej. Ten okropny festyn i moje okropne miasto. Mój gniew na Suzanne był trudno dostępny, stara bluza spakowana i ledwo pamiętana. Mogłam myśleć o Russellu policzkującym Helen, ten obraz wypływał na powierzchnię jako drobna usterka na obrzeżach pewnych myśli, jako wspomnienie nieufności. Zawsze jednak istniały sposoby, dzięki którym

nadawałam sens rzeczom.

Następnego dnia wróciłam na ranczo.

Znalazłam Suzanne na jej materacu, pochylała się nad książką. Nigdy nie czytała i dziwnie było widzieć ją znieruchomiałą ze skupienia. Okładka, w połowie oderwana, przedstawiała futurystyczny pentagram, biały i masywny.

– O czym to jest? – zapytałam z progu.

Przestraszona Suzanne podniosła wzrok.

– O czasie – powiedziała. – O przestrzeni.

Jej widok wywołał przebłyśki wspomnień z nocy z Mitchem, ale były rozmyte, jak odbicia z drugiej ręki. Suzanne nie skomentowała mojej nieobecności. Nie wspomniała o Mitchu. Westchnęła tylko i rzuciła książkę na materac. Położyła się na plecach i przyglądała swoim paznokciom. Szczypała skórę przedramienia.

– Zwiotczała – oznajmiła, czekając, aż zaprotestuję. Wiedziała, że tak zrobię.

Tamtej nocy nie mogłam zasnąć, wierciłam się na materacu. Zostałam jej zwrócona. Byłam taka wrażliwa na każdy sygnał w jej twarzy, że od obserwowania jej robiło mi się niedobrze, ale też czułam radość.

– Cieszę się, że wróciłam – szepnęłam, ciemność pozwoliła mi na wypowiedzenie tych słów.

Suzanne się roześmiała, na wpół śpiąc.

– Ale zawsze możesz pójść do domu.

– Może nigdy tego nie zrobię.

– Wolna Evie.

– Mówię poważnie. Nie chcę stąd odchodzić.

– Tak mówią wszystkie dzieciaki, kiedy kończy się obóz letni.

Dostrzegłam białka jej oczu. Zanim zdążyłam się odezwać, nagle ciężko westchnęła.

– Za gorąco mi – oznajmiła. Kopnięciem zrzuciła pościel i odwróciła się ode mnie.

Zegar w domu Duttonów głośno tykał. Jabłka w plecionym koszyku wyglądały woskowo i staro. Na kominku widziałam fotografie: znajome twarze Teddy'ego i jego rodziców. Jego siostry, która wyszła za sprzedawcę z IBM. Czekałam, aż otworzą się drzwi frontowe i ktoś rozpozna w nas intruzów. Słońce oświetliło gwiazdę z papieru w oknie, zapłonęła jasno. Pani Dutton musiała poświęcić czas na zrobienie jej, na ozdobienie domu.

Donna zniknęła w sąsiednim pokoju, potem znowu się pojawiła. Usłyszałam drżenie szuflad, przesuwanych rzeczy.

Tamtego dnia oglądałam dom Duttonów, jakbym widziała go po raz pierwszy. Zauważyłam, że na podłodze w salonie leży dywan. Że wyszywana krzyżykami poduszka na fotelu bujanym wygląda na ręcznie robioną. Chwiejna antena telewizora, zapach stęchłego potpourri w powietrzu. Wszystko było

rozmokłe od wiedzy o nieobecności rodziny: układ papierów na niskim stoliku, otwarta buteleczka aspiryny w kuchni. Nic z tego nie miało najmniejszego sensu bez animującej obecności Duttonów, jak zamazane glify obrazów w 3D, zanim okulary nadadzą im wyrazistość.

Donna ciągle coś potrącała: drobne rzeczy. Niebieski szklany wazon z kwiatami przesunięty o dziesięć centymetrów w lewo. Mokasyn kopniakiem zrzucony z maty. Suzanne na początku niczego nie dotykała. Wybierała rzeczy oczami, pochłaniając wszystko, oprawne fotografie, ceramicznego kowboja. Kowboj rozśmieszył Donnę i Suzanne, chichotały długo, ja też się uśmiechałam, chociaż nie złapałam dowcipu; było tylko dziwne uczucie w moim żołądku, surowość płytkiego światła słonecznego.

Wcześniej tamtego popołudnia we trzy wybrałyśmy się na rajd po śmietnikach w pożyczonym samochodzie – trans am przypuszczalnie należącym do Mitcha. Suzanne włączyła radio, KFRC, K. O. Bailey na Big 610. Obie, Suzanne i Donna, wyglądały na pełne energii i ja też taka byłam. Szczęśliwa, że znowu z nimi jestem. Suzanne zaparkowała przed dobrze mi znaną szklaną witryną Safeway, pod skosem zielonego dachu. Moja matka czasami robiła tu zakupy.

– Pora na żerowisko – oznajmiła Donna, rozśmieszając samą siebie.

Donna przewiesiła się przez krawędź kontenera, czujna jak zwierzę; związała spódnicę na biodrach, żeby móc kopać głębiej. Zeskoczyła, ucieszona, że będzie grzebała w śmieciach, w wilgotnej masie.

W drodze powrotnej na ranczo Suzanne wygłosiła oświadczenie.

– Czas na małą wycieczkę – powiedziała, głośno włączając Donnę w plan.

Lubiłam wiedzieć, że myśli o mnie, próbuje mnie udobruchać. Po Mitchu dostrzegłam w niej nową desperację. Byłam bardziej świadoma jej uwagi, tego, jak nie spuszczała mnie z oka.

– Dokąd? – zapytałam.

– Zobaczysz – odparła Suzanne, łapiąc spojrzenie Donny. – To jest jak nasz lek, jak terapia na to, co cię dręczy.

– Och – powiedziała Donna, pochylając się do przodu. Wyglądało na to, że od razu zrozumiała, o czym mówi Suzanne. – Tak, tak, tak.

– Potrzebny nam dom – ciągnęła Suzanne. – To po pierwsze. Pusty dom. – Zerknęła na mnie. – Twoja mama wyjechała, tak?

Nie miałam pojęcia, co zamierzają zrobić. Rozpoznałam jednak ukłucie niepokoju, już wtedy, i wystarczyło mi rozsądku, żeby oszczędzić własny dom. Poprawiłam się na siedzeniu.

– Będzie w domu przez cały dzień.

Suzanne mruknęła rozczarowana. Ale ja już myślałam o innym domu, który może być pusty. I bez oporów im go zaoferowałam.

Podawałam Suzanne wskazówki, patrząc, jak drogi stają się coraz bardziej

znajome. Kiedy Suzanne zatrzymała samochód i Donna wysiadła, po czym błotem wysmarowała pierwsze dwie cyfry na tablicy rejestracyjnej, tylko trochę się martwiłam. Zgromadziłam w sobie nieznaną brawurę, poczucie przekraczania granic, i próbowałam poddać się niepewności. Tkwiłam zamknięta w swoim ciele w sposób, którego nie znałam. Być może była to wiedza, że zrobię wszystko, czego ode mnie zażąda Suzanne. Ta myśl dziwiła – że jest po prostu to banalne wrażenie bycia przesuwającym wzdłuż jasnej rzeki tego, co ma się wydarzyć. Że to może być takie łatwe.

Suzanne prowadziła źle, przejeżdżała na znakach stopu i odwracała wzrok od drogi ku długim równinom czasu, pogrążona w prywatnym śnie na jawie. Skręciła w moją ulicę. Bramy jak znajomy sznur paciorków, jedna następowała po drugiej.

– Tam – powiedziałam i Suzanne zwolniła.

W oknach domu Duttonów wisiały proste firanki, wykładana kamieniami ścieżka prowadziła do drzwi frontowych. Pod wiatą nie było samochodów, tylko błysk oleju na asfalcie. Roweru Teddy’ego także nie było – gdzieś pojechał. Dom wyglądał na pusty.

Suzanne zaparkowała samochód w pewnej odległości, tak że właściwie nie było go widać, a Donna energicznie poszła na boczne podwórko. Podążyłam za Suzanne, choć trzymałam się z tyłu, szurając sandałami po ziemi.

Suzanne odwróciła się do mnie.

– Idziesz czy nie?

Roześmiałam się – jestem pewna, że widziała, ile mnie to kosztowało.

– Po prostu nie rozumiem, co robimy.

Przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się.

– A to naprawdę cię obchodzi?

Bałam się i nie wiedziałam dlaczego. Szydziłam z siebie, że pozwoliłam swoim myślom popędzić wściekle ku najgorszej rzeczy. Ku temu, co zamierzały zrobić – przypuszczalnie kraść. Nie wiedziałam.

– Pośpiesz się – ponagliła Suzanne. Zaczynała się irytować, widziałam, choć nadal się uśmiechała. – Nie możemy tak tu stać.

Przez gałęzie drzew zaczynały padać ukośnie popołudniowe cienie. Donna wyszła przez boczną drewnianą furtkę.

– Tylne drzwi są otwarte – powiedziała.

Żołądek mi się ścisnął – nie było sposobu na powstrzymanie tego, co miało się zdarzyć. A potem pojawił się Tiki, pędząc w naszym kierunku, szczekaniem podnosząc żałosny alarm. Jazgot trząsł całym jego ciałem, kościste ramiona drgały.

– Kurwa – mruknęła Suzanne.

Donna także się wycofała.

Przypuszczam, że pies mógł być dostateczną wymówką, mogłyśmy wsiąść do samochodu i wrócić na ranczo. Część mnie tego chciała. Ale inna część

pragnęła wypełnić nakaz chorego impetu w moich piersiach. Rodzina Duttonów także wyglądała na sprawców, tak samo jak Connie, May i moi rodzice. Wszyscy naznaczeni przez swój egoizm, swoją głupotę.

– Poczekajcie – powiedziałam. – On mnie zna.

Kucnęłam, wyciągając rękę. Nie spuszczać oczu z psa. Tiki podszedł, powąchał moją dłoń.

– Grzeczny Tiki – powiedziałam, głaszcząc go, drapiąc za uszami. Potem ujadanie ucichło i weszliśmy do środka.

Nie potrafiłam uwierzyć, że nic się nie stało. Że nie przyjechały po nas żadne wozy policyjne na syrenie. Nawet po łatwym wejściu do królestwa Duttonów, przekroczeniu niewidzialnych granic. A dlaczego to zrobiłyśmy? Naruszyłyśmy nienaruszalny obrys domu bez przyczyny? Po to tylko, żeby udowodnić, że możemy? Spokojna maska na twarzy Suzanne, gdy dotykała rzeczy Duttonów, zbijała mnie z tropu, chociaż żarzyłam się fluorescencyjną poświatą dziwnego, nieczytelnego dreszczu. Donna oglądała jakiś skarb z domu, błyskotkę z mlecznej ceramiki. Przyjrzałam się uważniej i zobaczyłam, że to mała figurka holenderskiej dziewczyny. Jakie to dziwaczne, fragmenty ludzkiej egzystencji usunięte z kontekstu. To powodowało, że nawet rzeczy cenne nabierały wyglądu śmieci.

Szarpnięcie w moim wnętrzu kazało mi myśleć o pewnym popołudniu, kiedy byłam młodsza i oboje z ojcem pochylaliśmy się nad brzegiem jeziora Clear. Zmrużone oczy ojca w ostrym blasku słońca, rybia biel jego ud w spodenkach kąpielowych. To, jak wskazał pijawkę w wodzie, wijącą się i pełną krwi. Był zadowolony, dźgał ją patykiem, żeby się poruszyła, ale ja się bałam. Atramentowa pijawka wywołała wstrząs w moich wnętrznościach, który poczułam ponownie tutaj, w domu Duttonów, gdy Suzanne spojrzała mi w oczy z drugiego końca salonu.

– Podoba ci się? – powiedziała Suzanne, uśmiechając się nieznacznie. – Szalone, co?

W progu pojawiła się Donna. Ręce jej błyszczały od lepkiego soku, trzymała w nich trójkąt arbuza, gąbczasty róż narządu.

– Witam i pozdrawiam – powiedziała, żując mokro. Niemal dzikie bulgotanie emanowało z niej jak brzydki zapach, sukienka miała oberwany obrąbek w miejscu, gdzie ją przydeptano: jak bardzo nie na miejscu wyglądała przy stoliku na wysoki połysk, schludnych firankach. Krople arbuзовego soku padały na podłogę. – W zlewie jest tego więcej. Naprawdę dobry.

Donna zdjęła czarne ziarenko z ust delikatnym ruchem, po czym pstryknęła nim w róg pokoju.

Byłyśmy tam dopiero od jakiejś półgodziny, chociaż wydawało się, że o wiele dłużej. Włączając i wyłączając telewizor. Przerzucając pocztę na kredensie. Poszłam za Suzanne na piętro, zastanawiając się, gdzie teraz jest Teddy, gdzie są

jego rodzice. Czy Teddy nadal czeka na to, że przyniosę mu narkotyki? Tiki rozbijał się po holu. Ze wstrząsem uświadomiłam sobie, że znam rodzinę Duttonów przez całe swoje życie. Pod wiszącymi fotografiami dostrzegałam linię odpadającej tapety, maleńkie różowe kwiatki. Smugę odcisków palców.

Często miałam myśleć o tym domu. O swoich argumentach, że to było takie niewinne: nieszkodliwa zabawa. Byłam nierozważna, pragnąc odzyskać uwagę Suzanne, poczuć, że znowu układamy się przeciwko światu. Prułyśmy maleńki szew w życiu Duttonów, żeby zobaczyli siebie inaczej, choćby tylko przez chwilę. Żeby dostrzegli nieznaczące zakłócenie, próbowali sobie przypomnieć, kiedy ostatnio przestawili buty albo włożyli zegar do szuflady. Z tego może wyniknąć tylko korzyść, mówiłam sobie, z tej wymuszonej perspektywy. Wyświadczyłyśmy im przysługę.

Donna była w małżeńskiej sypialni, na sukienkę wciągnęła długą jedwabną halkę.

– Potrzebny mi rolls na siódmą – powiedziała, szeleszcząc wodnistą tkaniną barwy szampana.

Suzanne prychnęła. Widziałam buteleczkę perfum z rżniętego szkła przewróconą na nocnym stoliku i złote tubki pomadek jak łuski pocisków na dywanie. Suzanne już grzebała w komodzie, wpychając dłonie w cieliste nylony, tworząc obsceniczne wyrzuszenia. Staniki były ciężkie i lekarskie z wyglądu, sztywne od fiszbinów. Podniosłam jedną ze szminek i odkręciwszy, wahałam talkowy zapach pomarańczowej czerwieni.

– O tak – powiedziała Donna, kiedy mnie zobaczyła. Także złapała szminkę i przesadnie, jak w kreskówkach, wydeła wargi, udając, że się maluje. – Powinnyśmy zostawić małą wiadomość. – Rozejrzała się.

– Na ścianach – powiedziała Suzanne. Widziałam, że pomysł ją podniecił.

Chciałam zaprostestować: zostawienie znaku wydawało się bliskie przemocy. Pani Dutton będzie musiała wyszorować ściany do czysta, choć przypuszczalnie zostanie fantomowy kontur, potwierdzenie szorowania. Ale się nie odezwałam.

– Obrazek? – zapytała Donna.

– Narysujmy serce – dodała Suzanne, podchodząc do niej. – Ja to zrobię.

Doznałam wtedy alarmującej wizji Suzanne. Przejierająca rozpacz, nagłe poczucie otwierającej się w niej mrocznej przestrzeni. Nie pomyślałam, do czego ta mroczna otchłań może być zdolna, tylko z podwójną siłą zapragnęłam być blisko niej.

Suzanne wzięła szminkę od Donny, nie zdążyła jednak przycisnąć jej do kremowej ściany, bo na podjeździe usłyszałyśmy hałas.

– Cholera – powiedziała Suzanne.

Brwi Donny uniosły się z umiarkowaną ciekawością: co teraz się stanie?

Otworzyły się drzwi frontowe. Czułam stęchły smak w ustach, zjełczały anons strachu. Suzanne także wyglądała na przestraszoną, ale jej strach wydawał się odległy i rozbawiony, jakby to była gra w chowanego, a my po prostu się kryłyśmy, dopóki inni nas nie znajdą. Wiedziałam, że to pani Dutton, kiedy usłyszałam jej szpilki.

– Teddy? – zawołała. – Jesteś w domu?

Zaparkowały samochód dalej przy drodze, ale mimo to jestem pewna, że pani Dutton zauważyła nieznajome auto. Może pomyślała, że to przyjaciel Teddy’ego, jakiś starszy kumpel z sąsiedztwa. Donna chichotała z dłonią przyciśniętą do ust. Oczy miała wybałuszone z radości. Suzanne wykrzywiła się teatralnie, nakazując nam ciszę. W uszach głośno dudnił mi puls. Tiki objął się po pokojach na dole i słyszałam, jak pani Dutton go uspokaja i ciężkie westchnienia, które w odpowiedzi wydawał.

– Halo? – zawołała.

Cisza, która nastąpiła, wydawała się w sposób oczywisty niepokojąca. Pani Dutton niedługo wejdzie na piętro i co wtedy?

– Chodźmy – szepnęła Suzanne. – Wymknijmy się tylnym wyjściem.

Donna bezgłośnie się śmiała.

– Cholera – powiedziała. – Cholera.

Suzanne upuściła szminkę na komodę, ale Donna zostawiła sobie halkę, poprawiając ramiączka.

– Ty pierwsza – powiedziała do Suzanne.

Nie było innej drogi poza tą prowadzącą koło pani Dutton w kuchni.

Przypuszczalnie zastanawiała się nad różową miazgą arbuza w zlewie, lepкими plamami na podłodze. Może już zaczynała wyłapywać zakłócenia w powietrzu, drażniącą obecność nieznajomych w domu. Nerwowa dłoń trzepocząca przy gardle, nagłe pragnienie, by przy jej boku był mąż.

Suzanne zbiegła po schodach, Donna i ja za nią. Głośny tupot naszych kroków, kiedy pędziłyśmy koło pani Dutton, ile sił w nogach mknąc przez kuchnię. Donna i Suzanne śmiały się do rozpuku, pani Dutton wrzeszczała ze strachu. Za nami ruszył ujadający Tiki, szybki i spięty, jego pazury skrobały po podłodze. Pani Dutton się cofnęła, na jej twarzy malował się nagi strach.

– Hej – powiedziała – stać.

Ale głos się jej łamał.

Wpadła na taboret i straciła równowagę, ciężko siadła na kafelkach. Obejrzałam się, kiedy byliśmy przy drzwiach – pani Dutton leżała na podłodze. Rozpoznanie ściągnęło jej twarz.

– Widzę cię – zawołała, z wysiłkiem próbując się podnieść, coraz głośniejszym dysząc. – Widzę cię, Evie Boyd.

CZEŚĆ TRZECIA

Julian wrócił z Humboldt z przyjacielem, który chciał podwózki do Los Angeles. Przyjaciel miał na imię Zav. W jego ustach brzmiało to mgliście rastafariańsko, chociaż Zav był rybio biały i miał szopę pomarańczowych włosów przytrzymywanych damską opaską elastyczną. Był o wiele starszy od Juliana, może trzydziestopięcioletni, ale ubrany jak nastolatek: te same za długie szorty bojówki, T-shirt znoszony do szczytu. Chodził po domu Dana, mrużąc z aprobatą oczy. Wziął do ręki figurkę wołu z kości słoniowej, potem postawił ją na miejsce. Przyjrzał się fotografii Juliana w objęciach matki na plaży, odstawił ją na półkę, śmiejąc się do siebie.

– Będzie wporzo, jeśli zostanie na noc, tak? – zapytał Julian. Jakby przy mnie się wychowywał.

– To twój dom.

Zav podszedł i wyciągnął rękę.

– Dzięki – powiedział, ściskając mocno moją dłoń. – To naprawdę miłe z twojej strony.

Sasha i Zav się znali, wkrótce też wszyscy troje rozmawiali o jakimś ponurym barze koło Humboldt należącym do siwowłosego hodowcy. Julian obejmował plecy Sashy z dorosłą miną mężczyzny wracającego z kopalni. Trudno było wyobrazić go sobie krzywdzącego psa, krzywdzącego kogokolwiek. Sasha tak bardzo cieszyła się z jego bliskości. Przez cały dzień ze mną zachowywała się dziewczęco i na dystans, bez najmniejszej aluzji do poprzedniego wieczoru. Zav powiedział coś, co ją rozbawiło, roześmiała się ślicznie i cicho. W połowie zasłaniając usta, jakby nie chciała obnażać zębów.

Zaplanowałam, że pójdę na kolację do miasta, zostawię ich samych, ale Julian zauważył, jak kieruję się do drzwi.

– Hej, hej, hej – powiedział.

Wszyscy się odwrócili, żeby na mnie spojrzeć.

– Idę do miasta coś przegryźć – powiedziałam.

– Powinnaś zjeść z nami – odparł Julian.

Sasha pokiwała głową, przysuwając się do niego. Obdarzając mnie ckliwą, połowiczną uwagą osoby krążącej w orbicie ukochanego.

– Mamy mnóstwo jedzenia – powiedziała.

Z uśmiechem wygłosiłam zwykłe wymówki, ale w końcu zdjęłam kurtkę. Już przyzwyczajałam się do uwagi innych.

W drodze z Humboldt zrobili zakupy: gigantyczną mrożoną pizzę, mieloną wołowinę na styropianowej tacce po promocyjnej cenie.

– Uczta – powiedział Zav. – Masz proteiny, masz wapń. – Wyjął buteleczkę po tabletkach z kieszeni. – Oraz warzywa.

Zaczął rolować skręta na stole, proces wymagał wielu warstw papieru i zastanawiania się nad konstrukcją. Zav zmierzył wzrokiem swoje dzieło

z dystansu, następnie dodał szczyptę z buteleczki, pokój marynował się w odorze wilgotnego ziela.

Julian gotował wołowinę, mięso traciło swój połysk. Mieszał surową masę nożem do masła, dźgając w nią i pociągając nosem. Gotowanie akademikowe. Sasha wsunęła pizzę do piekarnika, plastikowe opakowanie zwinęła w kulkę. Przed każdym krzesłem położyła kawałek ręcznika papierowego, podmiejskie wspomnienie domowych obowiązków, nakrywania stołu do kolacji. Zav pił piwo i obserwował Saszę z rozbawioną pogardą. Nie zapalił jeszcze skręta, chociaż obracał go w palcach z widoczną przyjemnością.

Słuchałam, jak rozmawiają z Julianem o narkotykach z entuzjazmem profesjonalistów, wymieniając dane statystyczne jak maklerzy giełdowi. Ciepłarnia kontra uprawa na słońcu. Porównanie poziomów THC w różnych szczepach. To zupełnie nie przypominało hobbystycznych narkotyków z mojej młodości, trawki uprawianej obok pomidorów, przekazywanej w szklanych słojach. Mogłeś wyłuskać nasionka z pączka i zasiać samemu, jeśli miałeś ochotę. Wymienić uncję na tyle benzyny, żeby dojechać do miasta. Dziwnie było słuchać o narkotykach spleaszonych do kwestii liczb, przedstawianych jako dobrze poznana używka, a nie mistyczne wrota. Może sposób Zava i Juliana był lepszy, pozbawiony całego tego zamroczonego idealizmu.

– Kurwa – powiedział Julian. W kuchni unosił się odór popiołów i spalonej skrobi. – Jasny gwint. – Otworzył piekarnik i gołymi rękami wyciągnął pizzę, po czym przeklinając, rzucił ją na blat. Była czarna i unosił się z niej dym.

– Stary – powiedział Zav – to był dobry rodzaj. Drogi.

Sasha gorączkowo się miotła. Pobiegła sprawdzić instrukcję na odwrocie pudełka.

– Podgrzać w dwustu trzydziestu – powiedziała lamentująco. – Tak zrobiłam. Nie rozumiem.

– O której ją włożyłaś?

Oczy Sashy powędrowały na zegar.

– Zegar stoi, idiotko. – Julian złapał pudełko i wyrzucił do śmieci. Sasha wyglądała, jakby zaraz miała się rozpłakać. – Nieważne – powiedział z niesmakiem. Skubnął spaloną skorupę sera, potem wytarł palce do czysta.

Pomyślałam o psie profesora. Biednym zwierzęciu, kulejącym i bezładnie krążącym. Z układem krwionośnym pełnym trucizny. O wszystkich innych rzeczach, o których Sasha przypuszczalnie mi nie powiedziała.

– Mogę ugotować coś innego – powiedziałam. – W kredensie jest makaron.

Usiłowałam złapać spojrzenie Sashy. Chciałam, by kombinacja przestrogi i współczucia przeszła ode mnie do niej. Ale do Sashy, ukąszonej przez porażkę, nie można było dotrzeć. W pokoju zapadła cisza. Zav bawił się skrętem i czekał, co się stanie.

– Tej wołowiny jest dużo – powiedział wreszcie Julian, jego gniew zsuwał się z pola widzenia. – Nic wielkiego.

Potarł Sashę po karku, szorstko, pomyślałam, chociaż gest najwyraźniej ją pocieszył, przywrócił światu. Kiedy ją pocałował, zamknęła oczy.

Przy kolacji wypiliśmy butelkę wina Dana, osad wchodził Julianowi w szpary między zębami. Potem piwo. Alkohol zdusił tłuszcz w naszych oddechach. Nie wiedziałam, która jest godzina. Okna czarne, pod okapem świsty wiatru. Sasha układała w staranny stos mokre kawałki etykietki z wina. Od czasu do czasu wyczuwałam na sobie jej spojrzenie, dłoń Juliana gładziła jej szyję. On i Zav gadali przez całą kolację, Sasha i ja rozmyśliśmy się w milczeniu znajomym z okresu dojrzwania: wysiłek, by przebić się przez sojusz Zava i Juliana, nie był wart korzyści. Prościej było ich obserwować, obserwować Sashę, która zachowywała się tak, jakby siedzenie tutaj jej wystarczało.

– Bo porządny z ciebie koleś – powtarzał Zav. – Porządny z ciebie koleś, Julian, i dlatego nie każę ci płacić z góry. Wiesz, że muszę tego żądać od McGinleya, Sama, wszystkich tych debili.

Byli pijani, cała trójka, i może ja też, sufit poszarzał od rozwianego dymu. Wypaliliśmy grubego skręta, Zava ogarniało seksualne osłabienie. Pełne zadowolenia, triumfalne przymrużenie oczu. Sasha jeszcze bardziej wycofała się w siebie, chociaż odpięła zamek bluzy, dekolt miała nieopalony i poprzecinany ledwo widocznymi niebieskimi żyłami. Była mocniej umalowana niż wcześniej: nie miałam pojęcia, kiedy to zrobiła.

Wstałam, gdy skończyliśmy jeść.

– Mam do zrobienia kilka rzeczy – powiedziałam.

Zdobyli się na mało przekonujący wysiłek, żeby mnie zatrzymać, ale ich zbyłam. Zamknęłam drzwi do sypialni, ale dobiegały mnie urywki ich rozmowy.

– Szanuję cię – mówił Julian do Zava – zawsze cię szanowałem, stary, odkąd Scarlet powiedziała: musisz poznać tego faceta. – Odgrywał ekstrawagancki podziw, typowe dla osoby na haju dążenie do optymistycznego podsumowania.

Zav odpowiedział, wracając do wyćwiczonego słownego ping-ponga. Słyszałam milczenie Sashy.

Kiedy później tam wróciłam, właściwie nic się nie zmieniło. Sasha nadal słuchała ich rozmowy, jakby któregoś dnia miała zostać poddana próbie. Odurzenie Juliana i Zava przeszło w stan wyczerpania, linię włosów mieli mokrą od potu.

– Jesteśmy za głośno? – zapytał Julian. Znowu ta dziwna uprzejmość. Z jaką łatwością przejmowała kontrolę.

– Ależ nie – odparłam. – Przyszłam po wodę.

– Usiądź z nami – powiedział Zav, przyglądając mi się uważnie. – Pogadaj.

– Tak jest dobrze.

– Dajże spokój, Evie – powiedział Julian.

Zaskoczyła mnie dziwna intymność mojego imienia w jego ustach.

Stół znaczyły kręgi po butelkach, okruchy z kolacji. Zaczęłam zbierać naczynia.

– Nie musisz tego robić – powiedział Julian, odchylając się, żebym mogła sięgnąć po jego talerz.

– Ty gotowałeś – odparłam.

Sasha pisnęła podziękowanie, kiedy dodałam jej talerz do stosu. Telefon Zava się rozświecił, z drzeniem przesuwając się po stole. Ktoś dzwonił: na wyświetlaczu pojawiła się zamazana fotografia kobiety w bieliźnie.

– To Lexi? – zapytał Julian.

Zav potaknął, zignorował telefon.

Zav i Julian wymienili spojrzenia: nie chciałam tego zauważyć. Zav beknął. Obaj się roześmiali. Czułam wspomnienie przereżonego mięsa.

– Benny teraz robi te komputerowe gówna – powiedział Zav. – Wiesz o tym? Julian uderzył w stół.

– Kurwa, niemożliwe.

Zaniosłam naczynia do zlewu. Zebrałam z blatu zgniecione w kulkę papierowe ręczniki. Zmiotłam okruchy w dłoń.

– Jest kurewsko tłusty – powiedział Zav. – To obłędnie śmieszne.

– Benny to ten koleś z twojego liceum? – zapytała Sasha.

Julian potaknął. Zlew napełniał się wodą. Patrzyłam, jak Julian obraca się twarzą do Sashy, stukając kolanami w jej kolana. Pocałował ją w skroń.

– Wy dwoje, kurwa, jesteście niemożliwi – powiedział Zav.

W głosie brzmiał ostry, podstępny ton. Zanurzyłam naczynia w wodzie. Na powierzchni utworzyła się pienista sieć tłuszczu.

– Ja tego nie łapię – ciągnął Zav, zwracając się do Sashy – dlaczego jesteś z Julianem. Dla niego jesteś za gorąca.

Sasha zachichotała, chociaż kiedy się obejrzałam, zobaczyłam, jak się trzusi, kalkulując reakcję.

– No bo z niej świetna laseczka – powiedział do Juliana Zav. – Mam rację?

Julian się uśmiechnął – pomyślałam, że to uśmiech jedynaka, kogoś, kto wierzy, że zawsze dostanie to, czego pragnie. Przypuszczalnie zawsze dostawał. Cała trójka była oświetlona jak na scenie z filmu, na którego oglądanie byłam za stara.

– Ale my się znamy z Sashą, prawda? – Zav się do niej uśmiechnął. – Lubię Sashę.

Sasha miała na twarzy lekki uśmiech, palcami prostowała stos podartej etykietki.

– Nie lubi swoich cycków – powiedział Julian, gładząc jej kark – ale ja jej mówię, że są ładne.

– Sasha! – Zav udał zmartwienie. – Masz rewelacyjne cycki.

Zarumieniłam się, usiłując jak najszybciej skończyć zmywanie.

– Taa. – Julian nadal trzymał dłoń na jej szyi. – Zav by ci powiedział, gdyby tak nie było.

– Zawsze mówię prawdę – oznajmił Zav.

– Owszem – zgodził się Julian. – To fakt.

– Pokaż mi – powiedział Zav.

– Są za małe – odparła Sasha. Usta miała ściągnięte, jakby z siebie kpiła, i poprawiła się na krześle.

– Nigdy nie obwisną, więc to dobrze – powiedział Julian, łaskocząc ją po ramieniu. – Niech Zav zobaczy.

Twarz Sashy poczerwieniała.

– Zrób to, małeńka.

Szorstki głosu Juliana sprawiły, że się obejrzałam. Złapałam wzrok Sashy – przekonałam siebie, że wyraz jej twarzy jest błagalny.

– Dajcie spokój, chłopaki – odezwałam się.

Odwrócili się do mnie z rozbawionym zaskoczeniem. Chociaż myślę, że przez cały czas mieli mnie na oku. Że moja obecność była częścią gry.

– Co? – zapytał Julian, jego rysy ułożyły się w wyraz niewinności.

– Po prostu zwolnijcie – powiedziałam mu.

– Och, wszystko w porządku – odezwała się Sasha, śmiejąc się trochę, z oczami utkwionymi w Julianie.

– A co właściwie robimy? – zapytał Julian. – Z czym dokładnie powinniśmy „zwolnić”?

Obaj z Zavem parsknęli – jak szybko wróciły wszystkie dawne emocje, wewnętrzna upokarzająca niezdarność. Skrzyżowałam ręce na piersiach, patrząc na Saszę.

– Dręczycie ją.

– Sashy nic nie jest – powiedział Julian. Założył jej pasmo włosów za ucho – uśmiechnęła się słabo i z wysiłkiem. – A poza tym czy rzeczywiście jesteś osobą, która powinna nas pouczać?

Serce mi się ścisnęło.

– Czy ty przypadkiem kogoś nie zabiłaś? – zapytał Julian.

Zav wciągnął powietrze przez zęby, potem nerwowo się roześmiał.

Mój głos brzmiał na zduszony.

– Oczywiście, że nie.

– Ale wiedziałaś, co mają zamiar zrobić – dodał Julian. Szczerząc się z powodu dreszczyku emocji wywołanej zdobyciem przewagi. – Byłaś tam z Russellem Hadrickiem i całym tym gównem.

– Hadrickiem? – wtrącił Zav. – Pierdolisz.

Usiłowałam wziąć w cugle histeryczną nutę wdzierającą się w mój głos.

– Rzadko tam bywałam.

Julian wzruszył ramionami.

– Nie tak to brzmiało.

– W rzeczywistości wcale w to nie wierzysz.

Ale żadna twarz nie zdradzała możliwości porozumienia.

– Sasha mówiła, że tak jej powiedziałaś – ciągnął Julian. – Że sama też mogłabyś to zrobić.

Ze świstem wciągnęłam powietrze. Żałosna zdrada: Sasha powtórzyła Julianowi wszystko, co jej opowiedziałam.

– Więc nam pokaż. – Zav zwrócił się do Sashy. Ja znowu byłam niewidzialna. – Pokaż swoje sławne cycki.

– Nie musisz – powiedziałam do niej.

Sasha zerknęła na mnie.

– To nic takiego – oznajmiła, jej ton ociekał chłodną i oczywistą pogardą. Odciągnęła dekolt od ciała i z namysłem spojrzała pod bluzkę.

– Widzisz? – Julian twardo się do mnie uśmiechnął. – Słuchaj Sashy.

Poszłam na jeden z recitali Juliana, kiedy wciąż byliśmy z Danem blisko. Julian musiał mieć jakieś dziewięć lat. Pamiętałam, że dobrze grał na wiolonczeli, jego drobnutkie ręce wykonywały bolesną pracę dorosłych. Nozdrza miał otoczone smarkami, instrument trzymał w starannej równowadze. Wydawało się rzeczą niemożliwą, żeby chłopiec, który produkował te dźwięki tęsknoty i piękna, był tym samym prawie mężczyzną, który teraz obserwował Sashę lodowatym wzrokiem.

Sasha ściągnęła bluzkę z twarzą zarumienioną, choć głównie rozmarzoną. Niecierpliwe, profesjonalne szarpnięcie, kiedy dekolt zahaczył o biustonosz. Potem obie blade piersi zostały odsłonięte, na skórze odbił się kształt stanika. Zav wydał okrzyk aprobaty. Obserwowany przez Juliana wyciągnął rękę, by kciukiem dotknąć różowego sutka.

Tutaj już dawno wyczerpała się moja ewentualna użyteczność.

1969

Złapano mnie, oczywiście, że tak.

Pani Dutton na podłodze kuchni wołająca moje imię jak prawidłową odpowiedź. A ja tylko na moment się zawahałam – oszołomiona gapowata reakcja na własne nazwisko, wiedza, że powinnam pomóc leżącej pani Dutton – ale Suzanne i Donna były już daleko, a kiedy to do mnie dotarło, niemal zniknęły. Suzanne się obejrzała i zatrzymała wzrok na tyle długo, by zobaczyć, jak pani Dutton zaciska drżącą dłoń na moim ramieniu.

Zbolałe i skonsternowane stwierdzenia mojej matki: jestem porażką. Patologicznym dzieckiem. Nosila aurę kryzysu jak twarzowy nowy płaszcz, strumień gniewu był przeznaczony dla niewidzialnej ławy przysięgłych. Chciała się dowiedzieć, kto włamał się ze mną do domu Duttonów.

– Judy widziała z tobą dwie dziewczyny – powiedziała. – Może trzy. Kim były?

– Nikim. – Pielęgnowałam sztywne milczenie jak adorator wypełniony szlachetnymi uczuciami. Zanim obie z Donną zniknęły, próbowałam przekazać Suzanne wiadomość: wezmę odpowiedzialność na siebie. Nie musi się przejmować. Rozumiem, dlaczego mnie zostawiły. – Byłam tylko ja.

Gniew zniekształcił jej słowa.

– Nie możesz zostać w tym domu i chlustać kłamstwami.

Widziałam, jaka jest roztrzęsiona tą dezorientującą nową sytuacją. Jej córka nigdy dotąd nie była problemem, zawsze dostosowywała się bez oporu, taka schludna i samowystarczalna jak te rybki, które czyszczą sobie akwaria. Dlaczego miałyby zaprzętać sobie głowę oczekiwaniem czegoś innego albo nawet przygotowaniem się na taką ewentualność?

– Przez całe lato mi mówiłaś, że jesteś z Connie – powiedziała matka. Niemal krzyżąc. – Powtórzyłaś to wiele razy. Prosto w oczy. I wiesz co? Zadzwoiłam do Arthura. Mówi, że nie widział cię od dawna. Prawie od dwóch miesięcy.

Wtedy matka wyglądała jak zwierzę, twarz miała obcą z furii, po policzkach nierównym strumieniem płynęły łzy.

– Jesteś kłamczuchą. Kłamałaś wtedy i kłamiesz teraz. – Dłonie miała zaciśnięte w pięści. Unosiła je i zaraz opuszczała.

– Spotykałam się z przyjaciółmi – warknęłam. – Mam innych przyjaciół poza Connie.

– Innych przyjaciół. Pewnie. Pieprzyłaś się z jakimś chłopakiem, Bóg wie z kim. Podła mała kłamczucha. – Prawie na mnie nie patrzyła, jej słowa były tak kompulsywne i gorączkowe jak mamrotane obscena zbroczeni. – Może powinnam cię oddać do poprawczaka. Tego chcesz? Dla mnie jest jasne, że nie jestem

w stanie dłużej cię kontrolować. Niech oni cię wezmą. Żeby mogli cię wyprostować.

Uciekłam, ale nawet w korytarzu, nawet w pokoju za zamkniętymi drzwiami nadal słyszałam gorzką pieśń matki.

Na odsiecz wezwano Franka: z łóżka patrzyłam, jak zdejmuje z zawiasów drzwi mojej sypialni. Był ostrożny i cichy, chociaż zajęło mu to trochę czasu, wyjął drzwi z framugi, jakby były ze szkła, a nie z taniej sklejki. Delikatnie oparł je o ścianę. Potem przez chwilę stał w pustym progu. Grzechotał śrubokrętami jak kośćmi.

– Przykro mi z tego powodu – powiedział, jakby był wynajętym pomocnikiem, złotą rączką wypełniającą życzenia mojej matki.

Wolałabym nie być zmuszona do dostrzeżenia dobroci w jego oczach, tego, jak momentalnie pozbawiło to moją nienawistną narrację o Franku prawdziwego żaru. Po raz pierwszy umiałam go sobie wyobrazić w Meksyku, lekko spieczonego od słońca, które włosom na jego ramieniu nadały platynową barwę. Popijającego napój cytrynowy podczas nadzorowania kopalni złota – oczyma wyobraźni widziałam jaskinię, której wewnątrz było wyłożone kamiennymi złotymi naroślami.

Ciągle czekałam, aż Frank powie mojej matce o skradzionych pieniądzach. Dołoży kolejne problemy do listy. Ale on tego nie zrobił. Może widział, że już jest dostatecznie rozgniewana. Frank w milczeniu czuwał przy stole podczas jej wielu rozmów telefonicznych z ojcem, podczas gdy ja nasłuchiwałam z korytarza. Jej piskliwe skargi, wszystkie pytania ściśnięte w spanikowany rejestr. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby się włamać do domu sąsiadów? Rodziny, którą znałam całe swoje życie?

– Bez żadnego powodu – dodała ostro. Przerwa. – Myślisz, że jej nie pytałam? Myślisz, że nie próbowałam?

Milczenie.

– Och, jasne, pewnie, założę się. Chcesz spróbować?

I tak oto pojechałam do Palo Alto.

U ojca spędziłam dwa tygodnie. Położone naprzeciwko restauracji Denny's Portofino Apartments były tak kwadratowe i puste jak dom mojej matki rozległy i gęsty. Tamar i mój ojciec wprowadzili się do największego mieszkania. Na każdym kroku były martwe natury dorosłości, które ona w tak oczywisty sposób zaaranżowała: misa z woskowanymi owocami na blacie, barek na kółkach z nieotwartymi butelkami alkoholi. Dywan, na którym pozostały wyraźne ślady odkurzacza.

Suzanne o mnie zapomni, myślałam, na ranczu życie będzie się toczyło beze mnie, a ja zostanę z niczym. Moje poczucie prześladowania żywiło się tymi troskami, tyło od nich. Suzanne była czekającą w domu ukochaną żołnierza, którą odległość uczyniła zwiewną i doskonałą. Choć może po części czułam też ulgę. Że

zrobię sobie przerwę. Straszyl mnie dom Duttonów, pusta maska, którą zobaczyłam na twarzy Suzanne. To były lekkie uklucia, drobne wewnętrzne przesunięcia i dykomfort, ale mimo wszystko były.

Czego się spodziewałam, mieszkając z ojcem i Tamar? Że ojciec będzie próbował dociec źródeł mojego zachowania? Że mnie ukarze, postąpi jak ojciec? Sprawiał wrażenie, jakby uważał, że kara jest prawem, z którego zrezygnował, i traktował mnie z dworską uprzejmością zwykle przeznaczoną dla starzejącego się rodzica.

Drgnął, kiedy po raz pierwszy mnie zobaczył – minęły prawie dwa miesiące. Chyba sobie przypomniał, że powinien mnie uścisnąć, i wykonał gwałtowny krok w moim kierunku. Dostrzegłam pukle nad uszami, których wcześniej nie było, a tej kowbojskiej koszuli nigdy dotąd nie widziałam. Zdawałam sobie sprawę, że ja też wyglądam inaczej. Włosy miałam dłuższe i nierówne jak Suzanne. Sukienka z rancza była tak znoszona, że w rękaw mogłam zatknąć kciuk. Ojciec zrobił ruch, żeby mi pomóc z torbą, ale wślókłam ją na tylne siedzenie, zanim zdążył do mnie dojść.

– Dziękuję mimo wszystko – powiedziałam, usiłując się uśmiechnąć.

Rozpostarł ręce, a kiedy odwzajemnił uśmiech, była w tym bezradność cudzoziemca potrzebującego powtórzenia wskazówek. Mój umysł był dla niego tajemniczy i magiczny, mógł się tylko dziwić jego działaniu. Nie próbował nawet się trudzić odkrywaniem ukrytej przegródki. Kiedy wsiedliśmy, wyczuwałam, jak zbiera się w sobie, by odegrać rodzicielski scenariusz.

– Nie muszę cię zamykać w pokoju, prawda? – zapytał. Niepewny śmiech. – Nie będziesz się włamywała do cudzych domów?

Kiwnęłam głową i widocznie się odprężył. Jakby usunął z drogi jakąś przeszkodę.

– To dobra pora na twoją wizytę – ciągnął, jakbyśmy wszyscy byli tu z własnej woli. – Jesteśmy urzędzeni. Tamar bardzo zależy na meblach i tak dalej. – Przekręcił kluczyk w stacyjce, wzmianki o problemie miał już za sobą. – Pojechała na pchli targ aż do Half Moon Bay po barek na kółkach.

Była przelotna chwila, kiedy chciałam wyciągnąć do niego rękę, nakreślić linię od siebie do tego człowieka, który był moim ojcem, ale minęła.

– Możesz wybrać stację – zaproponował i wydał się wobec mnie tak nieśmiały jak chłopiec na potańcówce.

Przez kilka pierwszych dni wszyscy troje byliśmy nerwowi. Wstawałam wcześniej i ścielłam łóżko w pokoju gościnnym, próbując ułożyć komplet ozdobnych poduch. Moje życie ograniczało się do torebki worka i torby ubrań, starałam się, by ta egzystencja była tak niewidzialna i schludna, jak to możliwe. Jak biwak, myślałam, jak małe ćwiczenie w samowystarczalności. Pierwszego wieczoru ojciec przyniósł do domu kartonowy pojemnik lodów posypanych

czekoladą i podzielił na ogromne porcje. Tamar i ja swoje tylko skubnęliśmy, ale on za punkt honoru wziął sobie zjedzenie drugiej miski. Ciągłe podnosił wzrok, jakbyśmy były potwierdzeniem jego przyjemności. Jego kobiety i jego lody.

Tamar okazała się zaskoczeniem. Tamar we frotowych szortach i koszulce z college'u, o którym nigdy nie słyszałam. W łazience woskowała nogi skomplikowanym urządzeniem napełniającym mieszkanie dusznością kamfory. Jej maści i olejki do włosów, paznokcie, których księżycowe powierzchnie oglądała uważnie, szukając znaków niedoborów żywieniowych.

Na początku sprawiała wrażenie niezadowolonej z mojej obecności. Niezgrabne wzruszenie ramion, jakby ponuro godziła się z obowiązkiem bycia moją nową matką. Ja też czułam rozczarowanie. Była zwykłą dziewczyną, nie egzotyczną kobietą, którą kiedyś sobie wyobrażałam – wszystko, co wtedy uznawałam w niej za wyjątkowe, w rzeczywistości stanowiło dowód na to, co Russell nazwałby „normalną drogą przez świat”. Tamar robiła to, czego się po niej spodziewano. Pracowała u mojego ojca, nosiła garsonkę. Bolesnie pragnęła zostać czyjąś żoną.

Szybko jednak jej oficjalność – woal dorosłości, który nosiła tak chwilowo jak kostium – stopniała. Pozwalała mi grzebać w swojej pikowanej kosmetyczce, używać perfum w pękatych buteleczkach i obserwowała mnie z dumą prawdziwego kolekcjonera. Narzuciła na mnie swoją bluzkę z rozszerzanymi rękawami i perłowymi guzikami.

– Już nie jest w moim stylu. – Wzruszyła ramionami, skubiąc luźną nitkę. – Ale będzie ci w niej do twarzy, wiem o tym.

I rzeczywiście było. Tamar wiedziała takie rzeczy. Znała liczbę kalorii większości produktów żywnościowych i recytowała je sarkastycznym tonem, jakby wysmiewała się z własnej wiedzy. Gotowała warzywne vindaloo. Garnki soczewicy oblanej żółtym sosem, który emanował nieznaną jaskrawością. Kładła rulon pudrowych pigułek na zgage, które ojciec łykał jak cukierki. Tamar podsuwała ojcu policzek do pocałowania, ale kłapsem odpędzała jego dłoń, kiedy próbował trzymać ją za rękę.

– Jesteś cały spocony – powiedziała. Kiedy ojciec się zorientował, że to zauważyłam, krótko się roześmiał, ale wyglądał na zakłopotanego.

Bawiła go nasza zmowa. Choć czasami nim wstrząsała i wtedy się z niego śmiałyśmy. Raz rozmawiałyśmy z Tamar o Spanky and Our Gang i ojciec się wtrącił. To pewnie jak *Klan urwisów*, powiedział. Tamar i ja popatrzyłyśmy na siebie.

– To zespół – wyjaśniła. – Wiesz, rock and roll, który dzieciaki lubią. – I twarz mojego ojca, skonfundowana, osierocona, znowu nas oddzieliła.

Mieli kosztowny gramofon, Tamar często mówiła o przeniesieniu go do innego kąta lub pokoju z różnych akustycznych albo estetycznych powodów.

Ciągle wspominała o planach położenia dębowych podłóg, gzymsów sufitowych, nawet kupienia różnych ścierek do naczyń, chociaż samo planowanie wydawało się ją satysfakcjonować. Muzyka, której słuchała, była bardziej ułudzona niż łomot na ranczu. Jane Birkin i jej żabi stary mąż Serge.

– Jest śliczna – powiedziałam, oglądając okładkę płyty.

I była, opalona jak orzech, z delikatną twarzą, króliczymi zębami. Serge był wstrętny. Te jego piosenki o Śpiącej Królownie, dziewczynie, która wydawała się tak bardzo godna pożądania, ponieważ oczy miała wiecznie zamknięte. Dlaczego Jane miałyby kochać Serge'a? Tamar kochała mojego ojca, dziewczęta kochały Russella. Ci mężczyźni w niczym nie przypominali chłopców, o których mi mówiono, że będą mi się podobać. Chłopców z bezwłosymi klatkami piersiowymi i gąbczastymi rysami, pryszczami gromadzącymi się w stada na ramionach. Nie chciałam myśleć o Mitchu, ponieważ to kazało mi myśleć o Suzanne – tamta noc zdarzyła się gdzie indziej, w domku dla lalek z małym basenem i małym zielonym trawnikiem w Tiburon. Mogłam na ten domek patrzeć z góry, podnosić dach i zaglądać do pokoi podzielonych jak komory serca. Widzieć łóżko wielkości pudełka zapalek.

Tamar różniła się od Suzanne w sposób, który wszystko ułatwiał. Nie była skomplikowana. Nie śledziła mojej uwagi tak bacznie, nie ponaglała mnie do wspierania jej deklaracji. Kiedy chciała, żebym się przesunęła, mówiła to. Odprężyłam się, rzecz dla mnie obca. Mimo to tęskniłam za Suzanne – Suzanne, którą pamiętałam jak sny o otwieraniu drzwi do zapomnianego pokoju. Tamar była słodka i dobra, ale świat, w którym się poruszała, przypominał plan telewizyjny: ograniczony, prosty i przyziemny, z notacjami i strukturami normalności. Śniadanie, lunch, kolacja. Nie było przerażającej luki między życiem, które prowadziła, a sposobem, w który o tym życiu myślała, mrocznej przepaści, którą często wyczuwałam w Suzanne i może także w sobie. Żadna z nas nie potrafiła w pełni uczestniczyć w naszych dniach, chociaż później Suzanne będzie uczestniczyć w sposób całkowicie nieodwracalny. Chodzi mi o to, że nigdy do końca nie wierzyliśmy, że wystarczy to, co jest nam oferowane, a Tamar radośnie akceptowała swój świat jako punkt końcowy. Jej planowanie w istocie nie dotyczyło wprowadzenia zmian w cokolwiek – ona tylko na nowo układała znane wielkości, wymyślając nowy porządek, jakby życie było skomplikowanym schematem usadzenia gości przy stołach.

Kiedy czekałyśmy na ojca, Tamar przygotowywała kolację. Wyglądała młodziej niż zwykle – twarz umyła środkiem czyszczącym, który jak wyjaśniła, zawierał prawdziwe proteiny mleka i zapobiegał zmarszczkom. Wilgotne włosy nadawały ciemniejszy odcień ramionom obszernej koszulki, bawełniane szorty były obszyte koronką. Powinna raczej w jakimś akademiku pogryzać kukurydzę i pić piwo.

– Podasz mi miskę?

Podalam i Tamar odlozyla porcje soczewicy.

– Bez przypraw. – Przewrocila oczami. – Ze względu na zolądek sloneczka.

Przed oczyma mignal mi gorzki obraz mojej matki robiacej to dla ojca: male pociechy, drobne modyfikacje, tworzenie swiata odzwierciedlajacego jego pragnienia. Kupowanie dziesieciu par identycznych skarpetek, dzieki czemu nigdy nie wkladal dwuch roznych.

– Czasami jest prawie jak dziecko, wiesz? – powiedziala Tamar, biorac szczypte kurkumy. – Zostawilam go na weekend, a kiedy wrocilam, nie bylo do jedzenia nic poza suszona wolowina i jedna cebula. Umarlyby, gdyby musial sam o siebie dbac. – Spojrzala na mnie. – Ale pewnie nie powinnam ci tego mowic, co?

Tamar nie byla zlosliwa, chociaz to mnie zaskoczylo – latwosc, z ktora rozlozyla ojca na czesci. Wczesniej w gruncie rzeczy nie przyszlo mi do glowy, ze ojciec moze byc obiektem zartow, kimś, kto popelnia bledy, zachowuje sie jak dziecko albo blaka bezradnie w swiecie, potrzebujac wskazowek.

Nic straszego sie nie zdarzylo pomiedzy mna a ojcem. Nie bylo ani jednej sytuacji, na ktora moglabym sie ogladac, zadnej klótni ani trzaskania drzwiami. Mialam tylko to wrazenie, wrazenie saczace sie na wszystko, az stalo sie jasne, ze to po prostu normalny czlowiek. Jak kazdy inny. Ze sie martwi, co inni o nim mysla – jego wzrok biegnacy do lustra przy drzwiach. Nadal probowal sie nauczyć francuskiego z kaset i slyszalam, jak pod nosem powtarza slowka. Jego brzuch, wiekszy niz zapamiatalam, czasami bylo widać przez lukę w koszuli. Ujawniala fragmenty skory rozowej jak u noworodka.

– I kocham twojego ojca – powiedziala Tamar. Jej slowa byly starannie dobrane, jakby ja archiwizowano. – Naprawde. Szesć razy zapraszal mnie na kolacje, zanim sie zgodzilam, ale byl taki mily. Jakby z gory wiedzial, ze powiem „tak”.

Tu sie zreflektowala – obie o tym myslalysmy. Ojciec mieszkal w naszym domu. Spał w jednym lozku z moja matka. Tamar sie wzdrygnela, najwyrazniej czekala, az to powiem, ale nie potrafilam zdobyć sie na gniew. To bylo dziwne – nie czulam do ojca nienawisci. Czegoś pragnal. Tak jak ja pragnelam Suzanne. A matka pragnela Franka. Chcesz czegoś i nic na to nie umiesz poradzić, poniewaz kiedy sie budzisz, masz tylko swoje zycie, masz tylko siebie, jak wiec moglybys kiedykolwiek sobie powiedziec, ze to, na czym ci zalezy, jest zle?

Tamar i ja lezalysmy na dywanie ze zgietymi kolanami, z glowami skierowanymi w strone gramofonu. W ustach nadal mi buzowalo od cierpkosci soku pomarańczowego, po ktory poszlyśmy na stragan oddalony o cztery przecznice. Drewniane obcasy moich sandalow klapaly o chodnik, Tamar gawedzila radośnie w cieplym letnim mroku.

Wszedł ojciec i usmiechnal sie, chociaz widzialam, ze irytuje go muzyka,

sposób, w jaki celowo się zmienia.

– Możecie to przyciszyć? – zapytał.

– Daj spokój – odparła Tamar. – Tak głośno nie jest.

– Właśnie – zawtórowałam, podekscytowana obcą sytuacją posiadania sojusznika.

– Widzisz? – powiedziała Tamar. – Słuchaj córki. – Na oślep wyciągnęła rękę, żeby poklepać mnie po ramieniu.

Ojciec wyszedł bez słowa, ale minutę później wrócił i zdjął igłę z płyty, w pokoju zapadła nagła cisza.

– Hej! – powiedziała Tamar, siadając, ale on już zniknął i usłyszałam szum prysznic z łazienki. – Pieprz się – mruknęła Tamar. Wstała, tyły jej nóg były poznaczone węzłami dywanu. Spojrzała na mnie. – Przepraszam – rzuciła z roztargnieniem.

Słyszałam, jak w kuchni cicho rozmawia przez telefon, obserwowałam jej palce raz po raz przebijające pętle sznura. Tamar się śmiała, zakrywając usta, trzymając słuchawkę blisko. Ogarnęła mnie nieprzyjemna pewność, że śmieje się z mojego ojca.

Nie wiem, kiedy zrozumiałam, że Tamar od niego odejdzie. Nie od razu, ale dość szybko. Jej umysł już był gdzieś indziej, pisał bardziej interesujące życie dla niej, takie, w którym mój ojciec i ja będziemy tylko tłem dla anegdoty. Krótkim zboczeniem z większej, bardziej właściwej drogi. Urządzała na nowo własną historię. A wtedy dla kogo mój ojciec będzie zarabiał pieniądze, komu przynosił deser? Wyobraziłam go sobie otwierającego drzwi do pustego mieszkania po długim dniu w pracy. To, jak pokoje będą takie, jak je zostawił, niezakłócone życiem drugiej osoby. I ten moment tuż przed zapaleniem światła, kiedy być może oczyma wyobraźni zobaczy inne życie ujawniające się w ciemności, coś więcej poza samotnymi krawędziami sofy, poduszkami wciąż zatrzymującymi kształt jego śpiącego ciała.

Mnóstwo młodych ludzi uciekało: w tamtych czasach robiliśmy to tylko dlatego, że się nudziliśmy. Nawet nie potrzebowaliśmy tragedii. Decyzja o powrocie na ranczo nie była trudna. Mój drugi dom przestał wchodzić w grę, wykluczała go absurdalna możliwość, że matka zawlecze mnie na posterunek policji. A co było u mojego ojca? Tamar, to, jak nalegała na mój młodzieńczy sojusz. Wyjęty z lodówki zimny pudding czekoladowy po kolacji, niczym nasza dzienna dawka przyjemności.

Może przed ranczem takie życie by wystarczyło.

Ale ranczo dowiodło, że można żyć na innym, bardziej wyjątkowym poziomie. Że można przepchnąć się przez te drobne ludzkie słabości, że dalej jest większa miłość. W sposób typowy dla nastolatków wierzyłam w całkowitą słuszność i wyższość mojej miłości. Moje emocje kształtowały definicję. Miłości

tego rodzaju ojciec, a nawet Tamar nigdy nie potrafilyby zrozumieć, więc oczywiście musiałam odejść.

Podczas gdy ja przez cały dzień oglądałam telewizję w dusznym, przegrzanym mroku ojcowskiego mieszkania, ranczo się psuło. Chociaż dopiero później uświadomiłam sobie, do jakiego stopnia. Problemem był kontrakt płytowy – nie miało do niego dojść, a czegoś takiego Russell nie potrafił spokojnie przyjąć. Mitch powiedział Russellowi, że ma związane ręce, nie może zmusić wytwórni do zmiany zdania. Mitch był odnoszącym sukcesy muzykiem, utalentowanym gitarzystą, ale nie dysponował tego rodzaju władzą.

To była prawda i z tego powodu moja noc z Mitchem wydawała się żałosna – bezsensowne buksowanie kół. Russell jednak nie wierzył Mitchowi albo też przestało to mieć znaczenie. Mitch stał się poręcznym nosicielem uniwersalnej choroby. Tyrady wygłaszane w trakcie niespokojnego krążenia, których częstotliwość i długość rosły, Russell zwalający wszystko na Mitcha, przeżartego judasza. Dwudziestkidwójki wymieniono na colty buntline. Russell u pozostałych wywołał gorączkę zdrady. Nawet nie zaprzętał sobie głowy ukrywaniem swojego gniewu. Guy dostarczał speed, on i Suzanne biegali do stacji pomp i wracali z oczami czarnymi jak jagody. Ćwiczenia strzelnicze wśród drzew. Ranczo nigdy nie było częścią większego świata, ale teraz bardziej się odizolowało. Żadnych gazet, telewizji, radia. Russell przestał przyjmować gości i wysyłał Guya z dziewczętami na każdy rajd po śmietnikach. Skorupa wokół rancza twardniała.

Mogę sobie wyobrazić, jak w tamte poranki Suzanne budziła się bez poczucia mijającego czasu. Zaczynało brakować jedzenia, wszystko poznaczone lekkim rozkładem. Nie jedli dość protein, ich mózgi pracowały na prostych węglowodanach i od czasu do czasu na kanapkach z masłem orzechowym. Speed pozbawił Suzanne emocji – musiała się poruszać w porowatej elektryczności własnego odrętwienia jak w głębokim oceanie.

Później nikt nie potrafił uwierzyć, że w tej sytuacji ktokolwiek mógł zostać na ranczu. W warunkach do tego stopnia fatalnych. Ale Suzanne nie miała nic innego: swoje życie oddała bez reszty Russellowi i w tamtym czasie była jak rzecz, którą mógł trzymać w rękach, odwracać do góry nogami, sprawdzać jej ciężar. Suzanne i pozostałe dziewczyny utraciły zdolność dokonywania określonych osądów, nieużywany mięsień ego wiotczał i stawał się bezużyteczny. Minęło wiele czasu, odkąd którakolwiek z nich przebywała w świecie, gdzie dobro i zło istniały naprawdę. Jakiegokolwiek instynkty kiedyś miały – słabe ukłucie we wnętrzościach, ugryzienie troski – przestały być słyszalne. O ile w ogóle istniały.

Nie upadły z wysoka – wiedziałam, że samo bycie dziewczyną w świecie upośledzało zdolność do wiary w siebie. Uczucia wydawały się całkowicie niewiarygodne, jak przypadkowy bełkot złożony ze znaków z tabliczki ouija. Z tego powodu moje dziecięce wizyty u lekarza wywoływały taki stres. Zadawał mi

łagodne pytania. Jak się czuję? Jak opisałabym ból? Był raczej ostry czy rozlany? W odpowiedzi tylko patrzyłam na niego z desperacją. Należało mi powiedzieć, na tym polegał sens chodzenia do lekarza. Zrobić badanie, włożyć do urządzenia, które przeczesze moje wnętrzości z radiologiczną precyzją i powie, jaka jest prawda.

Jasne, że dziewczęta nie opuściły rancza: można znieść bardzo wiele. Kiedy miałam dziewięć lat, złamałam rękę w przegubie po upadku z huśtawki. Szokujący trzask, odbierający przytomność ból. Ale nawet wtedy, nawet z puchnącym pasem uwięzionej krwi na przegubie upierałam się, że nic mi nie jest, że nic się nie stało, i rodzice wierzyli, aż w końcu lekarz pokazał im zdjęcie rentgenowskie ze złamanymi kośćmi.

Kiedy spakowałam swój worek, pokój gościnny od razu zaczął wyglądać tak, jakby nikt nigdy w nim nie mieszkał – moja nieobecność została szybko wchłonięta, co może jest istotą tego rodzaju pokoiów. Uznałam, że Tamar i ojciec już wyszli do pracy, gdy jednak weszłam do salonu, ojciec burknął:

– Tamar kupuje sok pomarańczowy czy jakąś inną głupotę.

Usiedliśmy razem i oglądaliśmy telewizję. Tamar długo nie było. Ojciec pocierał świeżo ogoloną szczękę, jego twarz wyglądała na nedorobioną. Reklamy wprawiły mnie w zakłopotanie swą natarczywością, tym, jak zdawały się przedrzeźniać nasze niezręczne milczenie. Nerwowe odmierzanie ciszy przez mojego ojca. Miesiąc temu byłabym spięta od oczekiwań. Przeczesałabym swoje życie, szukając jakiegoś klejnotu doświadczenia, który mogłabym mu zaprezentować. Teraz nie potrafiłam się zdobyć na taki wysiłek. Ojciec stał się dla mnie bardziej znany, a równocześnie bardziej obcy – był po prostu człowiekiem wrażliwym na pikantne potrawy, odgadującym trendy na rynkach zagranicznych. Biedzącym się nad francuskim.

Wstał w chwili, gdy usłyszał szczęk kluczy Tamar przy drzwiach.

– Powinniśmy wyjechać pół godziny temu – powiedział.

Tamar spojrzała na mnie, poprawiła torebkę na ramieniu. Posłała mu krótki uśmiech.

– Wiedziałaś, o której musimy jechać.

– Już przeprosiłam. – Przez moment sprawiała wrażenie, że jest jej szczerze przykro. Później jednak jej wzrok bezradnie powędrował do nadal włączonego telewizora i chociaż próbowała na powrót przenieść uwagę na sytuację, wiedziałam, że ojciec to zauważył.

– Nawet nie masz soku pomarańczowego – powiedział, a po jego twarzy przemknęła uraza.

Pierwsza zatrzymała się młoda para. Włosy dziewczyny były barwy masła, miała bluzkę związaną w pasie i ciągle się odwracała, żeby się do mnie uśmiechnąć i zaproponować pistacje z torebki. Całowała chłopaka, widziałam jej ruchliwy język.

Wcześniej nie jeździłam autostopem, właściwie nie. Denerwowało mnie, że będę musiała być tym wszystkim, czego nieznajomi oczekiwali od dziewczyny z długimi włosami – nie miałam pojęcia, jaki stopień oburzenia na wojnę okazać, jak rozmawiać o studentach obrzucających cegłami policję albo porywających samoloty pasażerskie i żądających lotu na Kubę. Zawsze byłam poza tym, jakbym oglądała film o wydarzeniach, które powinny być moim życiem. Ale teraz było inaczej, teraz, kiedy jechałam na ranczo.

Ciągle wyobrażałam sobie chwilę, gdy Tamar i ojciec po powrocie z biura

uświadomią sobie, że naprawdę mnie nie ma. Ta świadomość dotrze do nich powoli, przypuszczalnie Tamar dojdzie do tej konkluzji wcześniej niż on. Puste mieszkanie, żadnego śladu moich rzeczy. I może ojciec zadzwoni do matki. Ale co oboje mogliby zrobić? Jaką karę wymierzyć? Nie mieli pojęcia, dokąd pojechałam. Usunęłam się z zasięgu ich wzroku. Nawet ich troska na swój sposób była emocjonująca: nastąpi chwila, kiedy będą musieli zadać sobie pytanie, dlaczego uciekłam, mroczne wyrzuty sumienia wydadzą się na powierzchnię i rodzice będą musieli odczuć je z całą siłą, choćby tylko przez sekundę.

Para zawiozła mnie aż do Woodside. Czekałam na parkingu przy Cal-Mart, w końcu zabrał mnie mężczyzna w rozklekotanym chevrolecie jadący do Berkley z częścią do motocykla. Sklejony taśmą schowek grzechotał na każdym wyboju. Zalane słońcem kosmate drzewa migały za oknami, fioletowy pas zatoki za nimi. Trzymałam torebkę na kolanach. Mężczyzna miał na imię Claude i sprawiał wrażenie zawstydzonego tym, jak bardzo kłóciło się to z jego powierzchownością.

– Matka lubiła tego francuskiego aktora – wymamrotał.

Claude ostentacyjnie przejrzał swój portfel i pokazał mi zdjęcie córki. Była pulchna, z różowym grzbietem nosa. Miała niemodne loki. Claude wyczuł moją litość, bo nagle wyrwał mi portfel.

– Wy, dziewczyny, nie powinnyście tego robić – powiedział.

Pokręcił głową i zobaczyłam, jak na jego twarzy pojawia się troska o mnie, przyznanie, pomyślałam, że jestem odważna. Chociaż powinnam była wiedzieć, że męskie przestrogi, żebyś była ostrożna, często są przestrogami przed mrocznym filmem wyświetlającym się w ich umyśle. Pełnym przemocy snem na jawie, który wywołuje przesiąknięte poczuciem winy napomnienia o „bezpiecznym powrocie do domu”.

– Widzisz, żałuję, że nie mogę być jak ty – powiedział Claude. – Swobodny i wolny. Podróżować sobie bez celu. Zawsze miałem pracę.

Spojrzał na mnie, potem znowu na drogę. Pierwsze ukłucie dyskomfortu – byłam już całkiem dobra w odszyfrowywaniu określonych sposobów, w jaki mężczyźni okazują pożądanie. Odchrząkiwanie, oceniający błysk w oku.

– Nikt z was nigdy nie pracował, co? – powiedział.

Przypuszczalnie żartował, ale nie miałam pewności. W tonie jego głosu był kwas, żądło prawdziwej urazy. Może powinnam się go bać. Tego starszego faceta, który widział, że jestem sama, który czuł, że coś jestem mu winna, a to najgorsza rzecz, jaką taki mężczyzna może czuć. Ale ja się nie bałam. Byłam chroniona, władzę nade mną przejmowało radosne i nietykalne oszołomienie. Wracałam na ranczo. Zobaczę Suzanne. Claude wydawał mi się mało realny: papierowy kłown, nieszkodliwy i śmieszny.

– Tu jest dobrze? – zapytał Claude.

Zaparkował w pobliżu kampusu w Berkeley. Wieża zegarowa i domy, do

których wchodziło się po schodach, nadawały gęstość wzgórzom w tle. Claude wyłączył silnik. Czułam żar na zewnątrz, bliski szum ruchu ulicznego.

– Dziękuję – powiedziałam, zabierając torebkę i worek.

– Powoli – odparł, kiedy zaczęłam otwierać drzwi. – Posiedź ze mną przez sekundę, co?

Westchnęłam, ale usiadłam prosto. Dostrzegłam suche wzgórza nad Berkeley i ze wstrząsem przypominałam sobie ten krótki okres w zimie, kiedy były zielone, pulchne i wilgotne. Wtedy nie znałam jeszcze Suzanne. Wyczuwałam, jak Claude patrzy na mnie z ukosa.

– Posłuchaj. – Claude podrapał się w kark. – Jeśli potrzebujesz pieniędzy...

– Nie potrzebuję. – Nie bałam się, wzruszając ramionami na pożegnanie i otwierając drzwi. – Jeszcze raz dziękuję – powiedziałam. – Za podwózkę.

– Czekaj. – Złapał mnie za przegub.

– Odpierdol się – powiedziałam z obcym żarem w głosie, wrywając rękę z jego uścisku.

Zanim zatrzasnęłam drzwi, zobaczyłam słabą i pryskającą śliną twarz Claude'a. Odchodziłam bez tchu. Niemal się śmiejąc. Chodnik promieniował żarem, pulsem gwałtownego słońca. Incydent podniósł mnie na duchu, jakby nagle przydzielono mi więcej miejsca w świecie.

– Suka – zawołał Claude, ale się nie odwróciłam, żeby na niego spojrzeć.

Telegraph Avenue była zatłoczona: ludzie sprzedawali ze stołów kadzidełka albo biżuterię z muszli, skórzane torebki wisiały na płocie zaułka. Tamtego lata miasto Berkeley naprawiało wszystkie drogi, stąd na chodnikach wznosiły się stosy gruzu, wykopy znaczyły asfalt pęknięciami jak w filmie katastroficznym. Grupa w szatach do ziemi zatrzepotała broszurami w moją stronę. Chłopcy bez koszul, ze słabymi siniakami wyciśniętymi na ramionach, mierzyli mnie wzrokiem od stóp do głów. Dziewczeta w moim wieku, w sierpniowym upale ubrane w aksamitne sukienki, wlokły torby z grubej tkaniny, które obijały im się o kolana.

Nawet po tym, co się zdarzyło z Claude'em, nie bałam się autostopu. Claude był tylko nieszkodliwym pyłkiem na granicy mojego widzenia, dryfującym spokojnie w otchłań. Tom był szóstą osobą, do której podeszłam. Klepnęłam go w ramię, gdy wsiadał do samochodu. Moja prośba o podwiezienie najwyraźniej mu pochlebiła, jakby to był z mojej strony pretekst, żeby być blisko niego. Pośpiesznie oczyścił siedzenie pasażera, zmiatając ciche okruchy na wykładzinę.

– Powinno być czyściej – powiedział. Przepraszająco, jakbym mogła być wybredna.

Tom prowadził swoje małe japońskie auto, dostosowując prędkość do ograniczeń i oglądając się przez ramię przed zmianą pasów. Jego kraciasta koszula była przetarta na łokciach, ale czysta i starannie włożona w spodnie, szczupłe nadgarstki odznaczały się chłopięcością, która mnie poruszyła. Zawiózł mnie aż na

ranczo, chociaż z Berkeley była to godzina drogi. Twierdził, że chce odwiedzić przyjaciół w college'u w Santa Rosa, ale fatalnie kłamał: widziałam, jak kark mu poróżwiał. Uprzejmy, uczył się w Berkeley. Na kursie przygotowawczym na medycynę, chociaż lubił też socjologię i historię.

– Lyndon B. Johnson – powiedział. – To był prezydent.

Dowiedziałam się, że ma wielką rodzinę, psa imieniem Sister i za dużo nauki: chodził do szkoły letniej, starając się spełnić warunki wstępne. Zapytał, jaki jest mój przedmiot główny. Jego pomyłka mnie ucieszyła – musiał myśleć, że mam co najmniej osiemnaście lat.

– Nie studiuję w college'u – odparłam. Już miałam wyjaśnić, że jestem dopiero w liceum, ale Tom momentalnie przyjął pozycję obronną.

– Też o tym myślałem, żeby zrezygnować, ale chyba skończę tę szkołę letnią. Już zapłaciłem czesne. Wiesz, żałuję, że to zrobiłem, ale... – Umilkł. Tak długo na mnie patrzył, aż sobie uświadomiłam, że pragnie mojego wybaczenia.

– No to klops – powiedziałam, i to mu wystarczyło.

Odchrząknął.

– Więc masz pracę czy jak? Skoro się nie uczysz? – zapytał. – Jejku, chyba że to niegrzeczne pytanie. Nie musisz odpowiadać.

Wzruszyłam ramionami, udając swobodę. Chociaż może czułam swobodę w tym samochodzie, jakby moje miejsce w świecie mogło być takie gładkie, pozbawione szwów. Proste sposoby na zrealizowanie potrzeb. Rozmowy z nieznajomymi, radzenie sobie z sytuacjami.

– Wiesz, mieszkałam tam, gdzie teraz jadę – powiedziałam. – To wielka grupa. Wzajemnie się sobą opiekujemy.

Nie odrywał oczu od drogi, ale słuchał uważnie, gdy wyjaśniałam istotę rancza. Śmieszny stary dom, dzieci. System kanalizacyjny, który Guy zainstalował na podwórzu, wężłasty chaos rur.

– Brzmi jak International House – powiedział. – Gdzie mieszkam. Jest nas piętnaścioro. W holu wisi tablica z pracami domowymi i na zmianę wykonujemy te nieprzyjemne.

– Taa, pewnie – odparłam, chociaż wiedziałam, że ranczo w niczym nie przypomina International House, gdzie mrużący oczy studenci filozofii kłócą się o to, kto zostawił w zlewie brudne naczynia po kolacji, a dziewczyna z Polski skubie czarny chleb i płacze za chłopakiem w dalekim kraju.

– Do kogo należy dom? – zapytał. – To jak ośrodek czy coś w tym rodzaju?

Dziwnie było tłumaczyć komuś Russella, przypominać sobie, że są całe rozległe obszary, w których Russell ani Suzanne nie grają żadnej roli.

Pamiętam, że powiedziałam:

– Jego album przypuszczalnie wyjdzie koło Bożego Narodzenia.

Nadal mówiłam o ranczu, o Russellu. Swobodnie wymieniłam imię Mitcha,

tak jak zrobiła to Donna tamtego dnia w autobusie, z wystudiowanym, starannym wyczuciem czasu. Im bliżej byliśmy, tym bardziej się ożywiałam. Jak konie, które gnane tęsknotą za stodołą rzucają się naprzód, zapominając o jeźdźcach.

– Brzmi fajnie – powiedział Tom. Dostrzegałam, że moje opowieści go naładowały, w jego rysach było marzycielskie podekscytowanie. Zauroczenie opowiadanymi na dobranoc baśniami o innych światach.

– Możesz tam zostać na pewien czas – zaproponowałam. – Jak będziesz chciał.

Tom pojaśniał, wdzięczność sprawiła, że stał się nieśmiały.

– Tylko jeśli nie będę przeszkadzał – powiedział, rumieniec krzepł mu na policzkach.

Wyobrażałam sobie, że Suzanne i pozostali się ucieszą, że przyprowadziłam nową osobę. Powiększenie szeregów, wszystkie te stare sztuczki. Głaskolicy wielbiciel dołączający swój głos do naszych i dokładający się do jedzenia. Ale było coś jeszcze, co chciałam powiększyć: napiętą i przyjemną ciszę w samochodzie, stęchły żar powodujący parowanie skóry. Moje spaczone odbicie w bocznych lusterkach, przez co mogłam złapać tylko masę włosów, piegowatą skórę ramienia. Przyjmowałam kształt dziewczyny. Samochód przejechał przez most, minął woal odoru odpadów spowijający wysypisko śmieci. Przed nagłym zjazdem w dolinę prowadzącym na rancho ukryte wśród wzgórz dostrzegałam pas kolejnej odległej autostrady wiodącej wzdłuż wody i bagniste równiny.

Wtedy rancho, które znałam, już nie istniało. Koniec nadszedł wcześniej: każda interakcja była własną elegią. Ale wypełniało mnie za dużo przesyconego nadzieją pędu, żebym zdołała to zauważyć. Skok serca, kiedy samochód Toma skręcił na podjazd: minęły dwa tygodnie, wcale nie tak długo, ale powrót był obezwładniający. I dopiero kiedy zobaczyłam, że wszystko nadal tam jest, nadal żywe, dziwne i na wpół senne jak zawsze, pojęłam, iż się bałam, że to mogło zniknąć. Rzeczy, które kochałam, cudowny dom – jak ten w *Przeminęło z wiatrem*, uświadomiłam sobie, ponownie się do niego zbliżając. Mulisty prostokąt basenu wypełnionego do połowy wodą z grubą warstwą alg i odsłoniętym betonem: wszystko to mogło wrócić w moje posiadanie.

Kiedy wysiedliśmy z samochodu, poczułam przebłysk wahania, dostrzegając, że džinsy Toma są zbyt czyste. Może dziewczyny zaczną z niego kpić, może zaproszenie go to zły pomysł. Powiedziałam sobie, że będzie dobrze. Obserwowałam, jak Tom przyswaja sobie otoczenie – wyraz jego twarzy odczytałam jako podziw, chociaż musiał widzieć ruinę, zdemolowane szkielety aut. Kruche ciało zdechłej żaby unoszące się na powierzchni basenu. Ale takich szczegółów już nie dostrzegałam, jak kamyczków tkwiących w otarciach na nogach Nica. Moje oczy przywykły do faktury rozpadu, myślałam więc, że powróciłam w krąg światła.

Donna na nasz widok stanęła. W objęciach trzymała gniazdo prania pachnące jak zakurzone powietrze.

– Kłopot – huknęła. „Kłopot”, słowo z dawno zapomnianego świata. – Ta damulka cię przyspiliła, co? – powiedziała. – Człowieku. Fatalnie.

Pod jej oczami ciemne kręgi tworzyły półksiężycy, rysy były lekko zapadnięte, aczkolwiek te szczegóły przykryło poczucie bliskości. Sprawiała wrażenie ucieszonej moim widokiem, ale kiedy przedstawiłam jej Toma, rzuciła mi spojrzenie.

– Podwiózł mnie – podsunęłam pomocnie.

Uśmiech Donny zadrżał, uniosła pranie wyżej.

– W porządku, że tu jestem? – szepnął do mnie Tom, jakbym dysponowała jakąkolwiek władzą.

Ranczo zawsze witało gości, przepuszczało przez żartobliwy rękaw zainteresowania i zabiegów i nie potrafiłam sobie wyobrazić, dlaczego to miałyby się zmienić.

– Tak – odparłam, zwracając się do Donny. – Racja?

– No, nie wiem – powiedziała Donna. – Powinnaś porozmawiać z Suzanne. Albo Guyem. Taa.

Zachichotała z roztargnieniem. Wydawała się dziwna, chociaż dla mnie to była zwykła paplanina w stylu Donny – nawet budziła we mnie ciepłe uczucia. Jej uwagę przyciągnął ruch w trawie: jaszczurka przemykająca w poszukiwaniu cienia.

– Kilka dni temu Russell widział pumę – rzuciła do nikogo w szczególności, otwierając szeroko oczy. – Niesamowite, co?

– Patrzcie, kto wrócił – powiedziała Suzanne, w jej powitaniu zafalował gniew. Jakbym wyrwała się na krótkie wakacje. – Już myślałam, że zapomniałaś, jak się tu dostać.

Mimo że widziała, jak pani Dutton mnie zatrzymała, ciągle rzucała spojrzenia na Toma, jakby to on był przyczyną. Biedny Tom, wędrował po trawiastym podwórzu pełnym wahania, człapiącym krokiem gościa w muzeum. Marszczył nos z powodu odoru zwierząt, zapchanej wygodki. Twarz Suzanne przysłańało to samo zdystansowanie i konsternacja co u Donny: już nie umiały wyobrazić sobie świata, w którym można ponieść karę. Nagle poczułam się winna z powodu wieczorów z Tamar, całych popołudni, kiedy nawet nie pomyślałam o Suzanne. Próbowałam przedstawić mieszkanie ojca w gorszym świetle, niż rzeczywiście było, jakby w każdej chwili mnie pilnowano, jakbym cierpiała niekończące się kary.

– Jezu – prychnęła Suzanne. – Nudziarstwo.

Cień rancza padał na trawę jak dziwny zewnętrzny pokój, okupowaliśmy ten

cudowny cień, rzadkie popołudniowe światło przecinał rząd komarów. Powietrze strzelało karnawałowym blaskiem: znajome ciała dziewczyn popychały moje, sprawiały, że znowu byłam sobą. Szybki metalowy błysk między drzewami – auto Guya podskakiwało na wyboistej drodze, wołania odbijały się echem i cichły. Senny kształt dzieci brudzących się w sieci płytkich kałuż: ktoś zapomniał zakręcić wąż. Helen owinęła się kocem, który podciągnęła pod brodę jak wełniany żabot, a Donna próbowała go zerwać i obnażyć ciało królowej balu absolwentów, krwiak na udzie Helen. Byłam świadoma Toma siedzącego niezręcznie na ziemi, ale głównie emocjonowałam się znajomą postacią Suzanne koło mnie. Mówiła pośpiesznie, twarz miała pokrytą glazurą potu. Sukienka była brudna, za to oczy płonęły.

Uświadomiłam sobie, że Tamar i ojciec jeszcze nawet nie wrócili do domu i jakie to śmieszne, że ja już jestem na ranczu, a oni nawet nie wiedzą, że nie ma mnie u nich. Nico jeździł na trzykołowym rowerku za małym dla niego, zardzewiałym i szczękającym, gdy chłopczyk mocno pedałowal.

– Słodki mały – powiedział Tom.

Donna i Helen się roześmiały.

Tom nie do końca rozumiał, co było aż tak śmiesznego w jego słowach, ale mrugał, jakby wciąż chciał się uczyć. Siedząca w starym fotelu wywleczonym z domu Suzanne zerwała źdźbło owsa. Wypatrywałam Russella, ale nigdzie go nie widziałam.

– Pojechał na trochę do miasta – powiedziała Suzanne.

Obie się odwróciłyśmy, słysząc piskliwy wrzask: to tylko Donna próbowała stanąć na rękach na ganku, wymachiwała nogami. Przewróciła piwo Toma, ale to on przeprosił i rozglądał się, jakby chciał znaleźć mop.

– Jezu – powiedziała Suzanne. – Odpręż się.

Wytarła pocące się dłonie w sukienkę, oczy jej trochę podrygiwały – speed sprawił, że była sztywna jak kot z porcelany. Dziewczyny z liceum wykorzystywały speed do zachowania figury, ale ja nigdy go nie brałam: wydawało mi się, że nie pasuje do stłumionego haju, który kojarzyłam z ranczem. Z jego powodu trudniej było dotrzeć do Suzanne niż zwykle, a do tej zmiany nie chciałam sama przed sobą się przyznać. Założyłam, że jest po prostu zła. Jej wzrok nigdy właściwie nie skupiał się na obiekcie, zatrzymywał się na obrzeżach.

Rozmawialiśmy jak zawsze, podając sobie skręta, po którym Tom zaczął kaszleć, ale równocześnie dostrzegałam inne rzeczy z lekkim ukłuciem niepokoju – na ranczu było mniej ludzi niż zwykle, nie kręcili się obcy z pustymi talerzami, pytając, o której będzie kolacja. Odgarniający do tyłu długie włosy i przywołujący długą jazdę samochodem do LA. Caroline też nigdzie nie widziałam.

– Była pokręcona – odparła Suzanne, kiedy zapytałam o Caroline. – Jakby się widziało jej wnętrze przez skórę. Wróciła do domu. Przyjechali jacyś ludzie

i zabrali ją.

– Jej rodzice? – Wydawało się idiotyczne, że ktokolwiek na ranchu w ogóle miał rodziców.

– Chyba – powiedziała Suzanne. – Van jechał na północ, chyba do Mendocino albo gdzieś tam. Znała ich.

Próbowałam sobie wyobrazić Caroline z powrotem w domu rodziców, gdziekolwiek to było. Nie wykraczałam poza myśl, że jest bezpieczna i gdzieś indziej.

Tom czuł wyraźny dyskomfort. Byłam pewna, że przywykł do dziewczyn z college'u z pracami na godziny, kartami bibliotecznymi i rozdwojonymi końcówkami. Helen, Donna i Suzanne były surowe, emanowały kwaśną nutą, która mnie też uderzyła po dwóch tygodniach przebywania w miejscu z cudowną kanalizacją i w pobliżu Tamar obsesyjnie dbającej o siebie – specjalnej nylonowej szczoteczki używała wyłącznie do paznokci. Nie chciałam dostrzegać wahania w Tomie, nieznacznego wzdrygnięcia się, kiedy Donna zwracała się do niego bezpośrednio.

– Co nowego z płytą? – zapytałam głośno, spodziewając się kojącej inwokacji o sukcesie, który wesprze wiarę Toma.

Bo to nadal było rancho, wszystko, co mu mówiłam, było prawdą – on musiał tylko otworzyć się na nią. Ale Suzanne dziwnie na mnie spjrzała. Pozostałe obserwowały, aż ustali ton. Ponieważ nie poszło dobrze, taki był sens jej spojrzenia.

– Mitch to kurewski zdrajca – powiedziała.

Byłam zbyt wstrząśnięta, żeby w pełni dotarł do mnie brzydki odcień nienawiści Suzanne: jak Russell mógł nie dostać kontraktu? Jak Mitch mógł tego w nim nie zobaczyć, tej aury dziwnej elektryczności, mrużącego powietrza wokół niego? Czy moc, jakkolwiek Russell miał, była szczególna dla tego miejsca? Ale jaskrawy gniew Suzanne zwerbował mnie na powrót.

– Mitchowi odbiło, kto wie dlaczego. Skłamał. Ci ludzie – powiedziała Suzanne. – Pojebani idioci.

– Nie można lecieć w chuja z Russellem – powiedziała Donna, kiwając głową. – Mówić jedno, potem się wycofywać. Mitch nie wie, jaki jest Russell. Russell nie musiałby nawet kiwnąć palcem.

Russell uderzył wtedy Helen, jakby to nic nie znaczyło. Musiałam dokonać nieprzyjemnego przearanżowania, mentalnie zmrużyć oczy, by inaczej zobaczyć rzeczy.

– Ale Mitch mógłby zmienić zdanie, prawda? – zapytałam. Kiedy w końcu spjrzałam na Toma, nie słuchał, wzrok miał wlepiony gdzieś za gankiem.

Suzanne wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Powiedział Russellowi, żeby więcej nie dzwonił. – Prychnęła. –

Jebać go. Zmył się, jakby niczego nie obiecał.

Myślałam o Mitchu. O jego żądzy tamtej nocy, która sprawiła, że był brutalny i nie zwrócił uwagi, kiedy się skrzywiłam, bo moje włosy uwięzły pod jego ręką. Jego zamglone spojrzenie odbierało nam wyrazistość, nasze ciała były tylko symbolami ciał.

– Ale jest dobrze – powiedziała Suzanne, zmuszając się do uśmiechu. – To nie jest...

Przerwała zaskoczona, bo Tom nagle zerwał się na nogi. Zbiegł z ganku i sprintem popędził do basenu. Krzycząc coś, czego nie rozumiałam. Koszula łopocząca nad spodniami, krzyk nagi, bezbronny.

– O co mu chodzi? – zapytała Suzanne, a ja nie wiedziałam. Zarumieniłam się z rozpaczliwego zakłopotania, które przekształciło się w strach: Tom nadal krzyczał, gramoląc się po schodach do basenu.

– Dzieciak – powiedział – chłopiec.

Nico: oczyma wyobraźni zobaczyłam cichy kształt jego ciała w wodzie, małe płuca pełne, przelewające się. Ganek się przechylił. Kiedy dobiegłyśmy nad basen, Tom już wywlekał małego ze śliskiej wody i od razu stało się jasne, że nic mu nie jest. Wszystko było w porządku. Nico siedział na trawie z urażoną miną. Piąstkami tarł oczy, odpychał Toma. Płakał bardziej z jego powodu niż czegokolwiek innego, obcego faceta, który na niego wrzeszczał i wyciągnął z basenu, gdzie świetnie się bawił.

– W czym niby problem? – zwróciła się Donna do Toma. Klepiąc szorstko Nica po głowie jak grzecznego psa.

– Wskoczył. – Panika wibrowała w całym ciele Toma, ze spodni i koszuli ciekła woda. Buty mokro mlaskały.

– No i?

Tom otwierał szeroko oczy, nie rozumiejąc, że próby wyjaśnienia tylko sprawę pogorszą.

– Myślałem, że wpadł do basenu.

– Ale tam jest woda – powiedziała Helen.

– To coś mokrego – dodała pogardliwie Donna.

– Małemu nic nie jest – powiedziała Suzanne. – Wystraszyłeś go.

– Gul, gul, gul. – Helen dostała ataku śmiechu. – Myślałeś, że nie żyje, czy jak?

– Ale mógł się utopić – powiedział Tom piskliwie. – Nikt go nie pilnował. Jest za mały, żeby naprawdę pływać.

– Twoja mina – powiedziała Donna. – Boże, ty naprawdę się przeraziłeś, co?

Widok Toma wykręcającego biologiczny fetor z koszuli. Śmieci na podwórzu łąpały światło. Nico wstał, potrząsnął włosami. Pociągał trochę nosem z tą swoją niesamowitą dziecięcą godnością. Dziewczęta się śmiały, wszystkie,

Nico więc bez problemu potruchtał, nikt nie zauważył jego odejścia. A ja udawałam, że także się nie przejęłam, że wiedziałam, że wszystko jest w porządku, ponieważ Tom wydawał się żalony, jego panika ulokowała się na wierzchu bez miejsca na odwrót i nawet Nico był na niego wściekły. Wstydziałam się, że go przyprowadziłam, bo narobił takiego zamieszania, a Suzanne patrzyła na mnie i dokładnie wiedziałam, jaki to był głupi pomysł. Tom spojrzął na mnie, szukając pomocy, ale zobaczył dystans w mojej twarzy, to, jak spuściłam wzrok.

– Uważam, że powinniście być ostrożne – powiedział Tom.

Suzanne parsknęła.

– My powinniśmy być ostrożne?

– Byłem ratownikiem – odparł i głos mu się łamał. – Ludzie mogą utonąć w płytkiej wodzie. – Ale Suzanne nie słuchała, wykrzywiła się do Donny. Ich niesmak obejmuje także mnie, pomyślałam. Nie umiałam tego znieść.

– Odpręż się – powiedziałam do Toma.

Wyglądał na zranionego.

– To okropne miejsce.

– Więc lepiej stąd spadaj – powiedziała Suzanne. – Świetny pomysł, nie uważasz? – Speed kołaczący w jej wnętrzu, pusty złośliwy uśmiech – zachowywała się podle, niż musiała.

– Mogę z tobą porozmawiać? – zapytał mnie Tom.

Suzanne wybuchnęła śmiechem.

– Oho. Zaczyna się.

– Przez chwilę – dodał.

Kiedy się wahałam, Suzanne westchnęła.

– Idź z nim pogadać. Chryste.

Tom oddalił się od grupy, ja poszłam za nim z wahaniem, jakby odległość mogła zapobiec zarażeniu. Ciągłe oglądałam się na grupę, dziewczęta kierujące się na ganek. Chciałam być z nimi. Wściekałam się na Toma, jego głupie spodnie, włosy jak słoma.

– Co? – zapytałam. Niecierpliwie, przez zaciśnięte usta.

– Nie wiem – odparł Tom. – Tylko myślę... – Zawahał się, zerkając na dom i ciągnąc za koszulę. – Jeśli chcesz, możesz od razu ze mną wrócić. Wieczorem jest impreza – powiedział. – W International House.

Mogłam to sobie wyobrazić. Krakery marki Ritz, chętne grupki stłoczone obok misek z wodnistym lodem dyskutujące o Students for a Democratic Society i porównujące listy lektur. Lekko wzruszyłam ramionami, nieznacznie nimi poruszyłam. Tom zdawał się rozumieć fałsz tkwiący w tym geście.

– Może powinienem ci napisać numer telefonu – powiedział. – Telefon jest na korytarzu, poprosisz, żeby mnie zawołali.

Słyszałam surową falę śmiechu Suzanne niosącą się w powietrzu.

– Nie trzeba – odparłam. – Zresztą tu i tak nie ma telefonu.

– One nie są miłe. – Tom spojrzał mi w oczy. Wyglądał jak wiejski kaznodzieja po chrzcie, z mokrymi spodniami klejącymi się do nóg, z gorącym spojrzeniem.

– A co ty wiesz? – Alarmujący żar zalewał mi policzki. – Nawet ich nie znasz.

Tom wykonał niezgrabny ruch rękoma.

– To wysypisko śmieci – powiedział, pryskając śliną – nie widzisz tego?

Wskazał walący się dom, gąszcz przerośniętych roślin. Wybebeszone samochody, beczki po oleju, koce piknikowe porzucone na żer pleśni i termitów. Widziałam to wszystko, ale nie przyswajałam: już opancerzyłam się przeciwko jego argumentom i nie było nic więcej do dodania.

Odjazd Toma pozwolił dziewczętom pograć się w swoich naturach bez pęknięć wywołanych spojrzeniem obcego. Koniec ze spokojnymi, sennymi pogaduszkami, koniec z balsamicznymi okresami swobodnego milczenia.

– Gdzie jest twój specjalny przyjaciel? – zapytała Suzanne. – Twój stary kumpel? – Płytko emocja, podrygująca noga, chociaż wyraz jej twarzy pozostał pusty.

Próbowałam śmiać się jak one, ale nie wiedziałam, dlaczego się denerwuję na myśl o Tomie wracającym do Berkeley. Miał rację w kwestii śmieci na podwórzu, było tego więcej, i może Nico rzeczywiście mógł sobie zrobić krzywdę. Zauważyłam, że wszystkie schudły, nie tylko Donna, zauważyłam kruchość ich włosów, tępą pustkę w oczach. Kiedy się uśmiechały, dostrzegłam obłożone języki widywane u ludzi głodujących. Nie robiąc tego świadomie, wiązałam wielką nadzieję z powrotem Russella. Chciałam, by obciążył łopoczące rogi moich myśli.

– Łamaczka serc. – Russell gwizdnął na mój widok. – Przez cały czas uciekasz, a zostawiając nas, łamiesz nam serca.

Widząc znajomą twarz Russella, usiłowałam siebie przekonać, że ranczo jest takie samo, chociaż kiedy mnie objął, zobaczyłam smugę na jego szczęce. Miał bokobrody. Nie sterczały jak włosy, tylko były płaskie. Przyjrzałam się uważnie. Zostały narysowane jakąś kredką do oczu albo brwi. Ta myśl mnie zaniepokoiła; perwersyjność, kruchość oszustwa. Jak ten znajomy chłopak z Petalomy, który kradł w sklepie kosmetyki, żeby zamaskować pryszcze. Dłoń Russella przesuwiała się po moim karku, przekazując drobiny energii. Nie potrafiłam stwierdzić, czy jest zły czy nie. Jak momentalnie grupa zerwała się na baczność wraz z jego przyjazdem, jak truchtała za nim niczym stadko niechlujnych kacząt. Próbowałam odciągnąć Suzanne na bok, wziąć ją pod rękę jak za dawnych czasów, ale ona tylko się uśmiechnęła, bez emocji i nieuważnie, po czym się uwolniła, skupiona na podążaniu za Russellem.

Dowiedziałam się, że przez ostatnie tygodnie Russell nękał Mitcha. Bez

zapowiedzi zjawiał się w jego domu. Wysyłał Guya, który przewracał pojemniki ze śmieciami, tak że po powrocie Mitch miał trawnik zasypany spłaszczonymi pudełkami po płatkach, kawałkami woskowanego papieru i folią z resztkami jedzenia. Dozorca raz widział też Russella – Scotty powiedział Mitchowi, że jakiś facet parkował przy bramie i tylko się gapił, a kiedy poprosił go, żeby odjechał, Russell się uśmiechnął i odparł, że jest poprzednim właścicielem domu. Russell poszedł też do domu inżyniera dźwięku, próbując wyłudzić taśmy z sesji z Mitchem. W domu była żona. Później opowiadała, że zirytował ją dzwonek do drzwi: ich nowo narodzone dziecko spało w pokoju na tyłach. Kiedy otworzyła, na progu stał Russell w brudnych wranglerach, z krzywym uśmiechem.

Słyszała od męża opowieści o sesji, wiedziała więc, kim jest Russell, ale się nie bała. W gruncie rzeczy nie. Nie był przerażający przy pierwszym spotkaniu, i kiedy mu powiedziała, że męża nie ma, wzruszył ramionami.

– Mogę szybko zabrać te taśmy – odparł, wyciągając szyję, żeby zajrzeć do środka. – Wejść i wyjść, nic więcej. – To wtedy trochę się zdenerwowała. Stopy wbite głębiej w stare papucie, niepokój o dziecko unoszący się korytarzem.

– Wszystkie trzyma w pracy – powiedziała i Russell jej uwierzył.

Kobieta pamiętała, że tamtego dnia wieczorem usłyszała hałas na podwórku, głośne trzaski w krzakach róż, ale kiedy wyjrzała z okna, nie zobaczyła nic poza zwirowym podjazdem, krótką trawą na zalanym księżycem trawniku.

Moja pierwsza noc po powrocie w niczym nie przypominała dawnych nocy. Dawne noce ożywiała młodzieńcza słodycz w naszych twarzach – gładziłam psa, który węszył za miłością, solidnie drapałam go za uszami, moja kursująca dłoń wprawiała mnie w szczęśliwy rytm. I były też dziwne noce, kiedy wszyscy braliśmy kwas albo Russell musiał skonfrontować się z jakimś pijanym motocyklistą, używając wobec niego swej pokrętej logiki. Nigdy jednak się nie bałam. Ta noc była inna, przy kamiennym kręgu, w którym płonął mały ogień. Nikt nie zwrócił uwagi, kiedy całkiem zgasł, zakłócona energia wszystkich obecnych kierowała się na Russella, który się poruszał jak gumowa opaska w każdej chwili grożąca pęknięciem.

– Ta tutaj – powiedział Russell. Chodził tam i z powrotem, brzdąkając nową piosenkę. – Dopiero ją ułożyłem, a już jest przebojem.

Gitara była rozstrojona, wydawała płaskie dźwięki – Russell najwyraźniej tego nie słyszał. Głos miał szybki i gorączkowy.

– A to następna – powiedział. Marudził przy kluczach, wreszcie dziko zagrał na strunach. Próbowałam złapać spojrzenie Suzanne, ale ona wpatrywała się w Russella. – To jest przyszłość muzyki – oznajmił do wtóru łoskotu. – Myślą, że wiedzą, co jest „dobre”, bo ich piosenki lecą w radiu, ale to nie jest gówno. Oni nie mają w sercach prawdziwej miłości.

Nikt chyba nie zauważył, że jego słowa strzępią się na krawędziach: wszyscy

powtarzali to, co mówił, ich usta wykrzywiały się we wspólnej emocji. Russell był geniuszem, tak powiedziałam Tomowi – wyobraziłam sobie, jak jego twarz układałaby się w wyraz litości, gdyby tu był i widział Russella, i dlatego znienawidziłam Toma, ponieważ także to słyszałam, wszystkie te przestrzenie w piosenkach, przez które uświadamiałeś sobie, że są chropawe, nawet nie chropawe, po prostu złe: sentymentalny lukier, słowa o miłości tak szczerzej, jaką może czuć tylko dziecko w pierwszej klasie, serce narysowane pulchną rączką. Słońce, kwiaty i uśmiechy. Ale nie mogłam w pełni tego przyznać, nawet wtedy. Widziałam, jak wyglądała twarz Suzanne, kiedy na niego patrzyła – chciałam z nią być. Myślałam, że kochanie kogoś działa jak rodzaj środka ochronnego, jakby ta osoba była w stanie zrozumieć skalę i natężenie twoich uczuć i zachowywała się stosownie do tego. To mi się wydawało sprawiedliwe, jakby sprawiedliwość była miarą, która ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie dla uniwersum.

Czasami miałam sny, z których się budziłam, zakładając, że jakiś obraz albo fakt jest prawdziwy, i przenosiłam to założenie ze świata snów do życia na jawie. Jakże drażniące było uświadomienie sobie, że nie jestem zamężna, że nie zламаłam kodu startowego, że będzie prawdziwy smutek.

Chwila, kiedy Russell powiedział Suzanne, że trzeba pojechać do Mitcha i dać mu nauczkę – ciągle myślałam, że to się zdarzyło na moich oczach: czarna noc, chłodne pstrykające granie świerszczy, wszystkie te niesamowite dęby. Ale oczywiście nie było mnie przy tym. Tak wiele o tym czytałam, że uwierzyłam, iż mogę zobaczyć wyraźnie tę scenę w przejaskrawionych kolorach wspomnienia z dzieciństwa.

Siedziałam wtedy w pokoju Suzanne. Rozdrażniona, rozpaczliwie wyczekująca jej powrotu. Tamtego wieczoru wiele razy próbowałam z nią rozmawiać, szarpiąc ją za rękę, łapiąc jej spojrzenie, ale ona mnie zbywała.

– Później – odparła i tyle mi wystarczyło, żeby sobie wyobrażać, jak jej obietnica się spełnia w mroku jej sypialni.

Klatka piersiowa mi się ścisnęła, kiedy usłyszałam, że ktoś wchodzi do pokoju, umysł wezbrał od myśli, że Suzanne tu jest, ale kiedy poczułam miękke, lekkie uderzenie i otworzyłam oczy, zobaczyłam, że to tylko Donna. Rzuciła we mnie poduszką.

– Śpiąca królewna – powiedziała, uśmiechając się pogardliwie.

Próbowałam na nowo ułożyć się w ślicznej pozie; pościel była przegrzana od nerwowych ruchów mojego ciała, uszy próbowały wyłapać najłżejszy szmer powracającej Suzanne. Ona jednak tamtej nocy nie przyszła. Czekałam tak długo, jak dałam radę, wyczulona na każde skrzypnięcie i zgrzyt, potem zapadłam w patchwork niechcianego snu.

W rzeczywistości Suzanne była z Russellem. Różni się i w jego przyczepie przypuszczalnie zrobiło się duszno, Russell odkrywał swój plan dotyczący Mitcha,

oboje z Suzanne wpatrywali się w sufit. Potrafię sobie wyobrazić, jak dochodził do samej krawędzi, po czym łukiem omijał szczegóły, żeby Suzanne zaczęła myśleć, że miała taki sam pomysł, że pomysł był także jej.

– Mój mały piekielny psie – mówił do niej pieszczotliwie, jego oczy drgające z manii, którą można przez pomyłkę wziąć za miłość.

Dziwnie było myśleć, że w takiej chwili Suzanne poczuje się mile połączona, ale z pewnością tak się czuła. Jego ręka skrobiąca jej głowę, ta sama ożywiona przyjemność, którą mężczyźni lubią wywoływać u psów. I mogę sobie wyobrazić, jak presja zaczęła tworzyć pragnienie, by poddać się większemu pędowi.

– To powinno być wielkie – powiedział Russell. – Coś, czego nie mogą zignorować. – Widzę go okręcającego na palcu pasmo włosów Suzanne i ciągnącego tak lekko, że nie będzie wiedziała, czy pulsowanie, które odczuwa, jest bólem czy rozkoszą.

Otworzył drzwi, ponagalał ją Suzanne, by przez nie przeszła.

Przez cały następny dzień Suzanne była roztargiona. Chodziła sama z miną obwieszającą pośpiech albo prowadziła żarliwe szeptane konferencje z Guyem. Byłam zazdrosna, zrozpaczona, że nie mogę konkurować z tą jej częścią, którą bez reszty oddała się Russellowi. Zamknęła się w sobie i ja byłam odległą troską.

Pielęgnowałam swoją konsternację, próbowałam wynajdywać pomyślnie wyjaśnienia, ale kiedy się do niej uśmiechnęłam, zamrugnęła i dopiero po chwili mnie rozpoznała, jakbym była nieznajomą zwracającą jej zapomnianą torebkę. Raz po raz dostrzegałam puste spojrzenie, ponure zwrócenie się do środka. Później miałam zrozumieć, że to było przygotowanie.

Na kolację mieliśmy odgrzewaną fasolę smakującą aluminium, przypalonymi skrawkami jedzenia. Stęchłe ciasto czekoladowe z piekarni ze starym opakowaniem lukru. Chcieli jeść w środku, siedzieliśmy więc na pełnej drzazg podłodze z talerzami przechylonymi na kolanach. Zmuszając się do prymitywnego lunchu jaskiniowców – nikt nie zjadł zbyt wiele. Suzanne przycisnęła palec do ciasta i patrzyła, jak się kruszy. Spojrzenia, które na siebie rzucali, tryskały tłumioną wesołością, konspiracją przyjęcia niespodzianki. Donna ze znaczącą miną wręczyła Suzanne ścierkę. Niczego nie rozumiałam, żałosna dyslokacja sprawiała, że byłam ślepa i chętna.

Uzbroiłam się, by zmusić Suzanne do rozmowy. Ale uniosłam wzrok znad ohydnej masy na moim talerzu i zobaczyłam, że już wstaje, poruszana informacjami dla mnie niewidzialnymi.

Dokądś jada, uświadomiłam sobie, kiedy ją goniłam, podążając za ruchem światła z jej latarki. Wstrząs, gardło zduszone rozpaczą: Suzanne chciała mnie zostawić.

– Pozwól, żebym też pojechała – powiedziałam. Usiłowałam dotrzymać jej

kroku, biegnąc za susami, które stawiała w trawie.

Nie widziałam twarzy Suzanne.

– Dokąd? – zapytała spokojnie.

– Tam, dokąd jedziecie – powiedziałam. – Wiem, że jedziecie.

Kpiąca nuta.

– Russell cię o to nie prosił.

– Ale ja chcę. Proszę.

Suzanne nie powiedziała „tak”, nie wprost. Zwolniła jednak na tyle, że mogłam się do niej dopasować, do tempa nowego dla mnie, celowego.

– Powinnaś się przebrać – powiedziała.

Spojrzałam po sobie, próbując ustalić, co jej się nie podoba: moja bawełniana bluzka, długa spódnica.

– W ciemne rzeczy – dodała.

Jazda samochodem dłużyła się i była tak niewiarygodna jak przewlekła choroba. Guy za kierownicą, Helen i Donna obok niego. Suzanne siedziała z tyłu, wpatrując się w okno, ja przy niej. Zapadła noc głęboka i ciemna, auto przejeżdżało pod ulicznymi latarniami. Siarkowa poświata przesuwiała się po twarzy Suzanne, po oszupiałych minach pozostałych. Czasami wydawało się, że nigdy tak naprawdę nie opuściłam tego samochodu. Że wersja mnie zawsze tam jest.

Tamtej nocy Russell został na ranczu. Nawet nie zarejestrowałam, że to dziwne. Suzanne i pozostali byli jego kompanami wypuszczonymi w świat – zawsze tak to się odbywało. Guy jak sekundant w pojedynku, Suzanne, Helen i Donna nawet się nie wahały. Roos także miała jechać, ale tego nie zrobiła – twierdziła później, że miała złe przeczucia i dlatego została, nie wiem jednak, czy to prawda. Czy Russell ją zatrzymał, wyczuwając w niej upartą cnotę, która mogłaby ją przykuć do prawdziwego świata? Roos z Nikiem, jej własnym dzieckiem. Roos, która rzeczywiście została głównym świadkiem przeciwko pozostałym, zeznając w sądzie w białej sukni, z włosami aż do pleców.

Nie wiem, czy Suzanne uprzedziła Russella, że ja też jadę – nikt nigdy nie odpowiedział na to pytanie.

Grało radio, nadawali śmiesznie obcą ścieżkę dźwiękową do życia innych ludzi. Innych ludzi, którzy przygotowywali się do snu, matek, które zeszkrobywały resztki kurczaka z kolacji do śmieci. Helen paplała o wielorybie na plaży w Pismo i czy naszym zdaniem to rzeczywiście jest znak, że niedługo dojdzie do potężnego trzęsienia ziemi. Uklękała, jakby pomysł ją ekscytował.

– Musielibyśmy pojechać na pustynię – powiedziała.

Nikt nie złapał się na jej haczyk: w samochodzie zapadła cisza. Donna coś mamrotała, Helen zacisnęła szczękę.

– Możesz otworzyć okno? – zapytała Suzanne.

– Zimno mi – zaskomlała Helen tym swoim dziecięcym głosem.

– Daj spokój – powiedziała Suzanne, waląc w tył fotela. – Kurwa, ja się rozpliwam.

Helen odkręciła szybę i samochód wypełniło powietrze o aromacie spalin. Soli z pobliskiego oceanu.

I ja byłam tam między nimi. Russell się zmienił, sprawy popsuły, ale byłam z Suzanne. Jej obecność brała w ryzy wszelkie zbłąkane niepokoje. Jak w przypadku dziecka, które wierzy, że matczyne czuwanie przy łóżku odpędzi potwory. Które nie potrafi odszyfrować, że matka też się może bać. I matki, która rozumie, że nie może ochronić w żaden inny sposób, jedynie oferując w zamian własne słabe ciało.

Może po części od początku wiedziałam, w jakim kierunku zmierzają

sprawy, błysk tonący w mroku: może wyczuwałam prawdopodobną trajektorię, a jednak na nią wkroczyłam. Później tamtego lata i na różnych etapach życia będę przesiewała ziarna owej nocy, czując się ślepa.

Suzanne powiedziała tylko, że składamy Mitchowi wizytę. Jej słowa były naszpikowane okrucieństwem, którego nigdy wcześniej nie słyszałam, mimo to mój umysł najdalej posunął się do myśli, że zrobimy to, co zrobiliśmy w domu Duttonów. Dokonamy niepokojącej psychicznej interwencji, przez co Mitch będzie musiał się bać, tylko przez minutę, będzie musiał na nowo uporządkować świat. Dobrze – nienawiść Suzanne do niego umożliwiła i rozpałała moją własną. Mitch ze swoimi tłustymi ciekawskimi palcami, pełną wahań bezsensowną gadaniną, kiedy nam się przyglądał. Jakby jego przyziemne słowa mogły nas oszukać, nie dopuścić, byśmy zauważyły, że jego wzrok ocieka brudem. Chciałam, żeby poczuł się słabo. Zajmiemy dom Mitcha jak podstępne zjawy z innego świata.

Ponieważ naprawdę to czułam. Wrażenie, że coś zjednoczyło nas wszystkich w samochodzie, chłodny powiew innych światów na naszej skórze i we włosach. Ale nigdy nie pomyślałam, ani razu, że tym innym światem może być śmierć. Nie chciałam w to uwierzyć, dopóki wiadomości nie nabrały ponurego impetu. A wówczas oczywiście obecność śmierci zdawała się wszystko barwić. Jak bezwonna mgła, która wypełniała samochód i napierała na okna, mgła, którą wdychaliśmy i wydychaliśmy, która kształtowała każde wypowiedane przez nas słowo.

Nie odjechaliśmy daleko, minęło może dwadzieścia minut, odkąd opuściliśmy ranczo, Guy zwalniał na ciasnych, mrocznych zakrętach pośród wzgórz, z których wyjeżdżał na długie, puste i proste odcinki płaskiego terenu, gdzie przyspieszał. Zgrupowania eukaliptusów, chłód mgły za oknem.

Moja czujność utrzymywała wszystko jak w burszynie. Radio, ruchy ciała, twarz Suzanne z profilu. To właśnie mają przez cały czas, wyobrażałam sobie, tę sieć wzajemnej obecności jak coś zbyt bliskiego, by to zidentyfikować. Tylko poczucie bycia zakotwiczonym w braterskim nurcie, przynależność.

Suzanne oparła dłoń na siedzeniu między nami. Znajomy widok mnie poruszył, przypomniał, jak chwyciła moją rękę w łóżku Mitcha. Plamiste paznokcie, kruche z powodu marnej diety.

Byłam chora z głupiej nadziei, wierząc, że na zawsze pozostanę w błogosławionej przestrzeni jej uwagi. Sięgnęłam po jej rękę. Klepnęłam w dłoń, jakbym miała do przekazania liścik. Suzanne drgnęła i gwałtownie otrząsnęła się z mgły, której nie dostrzegałam, dopóki się nie rozproszyła.

– Co? – warknęła.

Moja twarz straciła całą zdolność do przywdziewania maski. Suzanne musiała zobaczyć głodny rój miłości. Musiała wziąć miarę, jakby rzuciła kamień do studni – ale nie było odgłosu znaczącego koniec. Oczy jej zmętniały.

– Zatrzymaj auto – powiedziała Suzanne.

Guy nie zareagował.

– Zahamuj – powtórzyła.

Guy się na nas obejrzał, potem zjechał na pobocze przy prawym pasie.

– O co chodzi... – zaczęłam, ale Suzanne mi przerwała.

– Wsiadaj – powiedziała, otwierając drzwi. Za szybko, żebym zdołała ją powstrzymać, błyskawiczny ruch strzelający przodem, głos wlokący się z tyłu.

– Daj spokój – odparłam, próbując brzmieć wesoło. Suzanne już stała koło samochodu i czekała, aż wysiądę. Nie żartowała. – Ale tu nic nie ma – powiedziałam, tocząc rozpaczliwym spojrzeniem po autostradzie.

Suzanne niecierpliwie przestąpiła z nogi na nogę. Spojrzałam na pozostałych, szukając u nich pomocy. Ich twarze oświetlała lampka na suficie, wypłukiwała im rysy, tak że wyglądali na zimnych i nieludzkich jak posągi z brązu. Donna odwróciła wzrok, ale Helen obserwowała mnie z medycznym zainteresowaniem. Guy poruszył się na siedzeniu, poprawiając lusterko. Helen mruknęła coś pod nosem – Donna ją uciszyła.

– Suzanne, proszę – powiedziałam i w moim głosie zabrzmiała bezradna nuta.

Milczała. Kiedy w końcu przesunęłam się po siedzeniu i wysiadłam, Suzanne nawet się nie zawahała. Wsiadła i zamknęła drzwi, lampka zgasła, przywracając ich ciemności.

A potem odjechali.

Byłam sama, tyle rozumiałam, i chociaż żywiłam naiwne pragnienie – wróć, to tylko żart, Suzanne nigdy by mnie tak nie zostawiła, w gruncie rzeczy nie – wiedziałam, że zostałam odrzucona. Mogłam tylko jak kamera zrobić odjazd, wznieść się gdzieś na poziom koron drzew i patrzeć w dół na dziewczynę stojącą samotnie w mroku. Nie znałam jej.

Przez pierwsze dni krążyło mnóstwo najróżniejszych plotek. Howard Smith błędnie donosił, że Mitch Lewis został zabity, aczkolwiek ta pogłoska została szybciej skorygowana niż pozostałe. David Brinkley mówił o sześciu ofiarach, które pocięto, zastrzelono i porzucono na trawniku. Później liczba została poprawiona na cztery. Brinkley jako pierwszy stwierdził obecność kapturów, pętli i symboli satanistycznych – nieporozumienie zapoczątkowane sercem na ścianie salonu namalowanym rogiem ręcznika zamoczonym w krwi matki.

To pomieszanie miało sens – jasne, że odczytywali demoniczne znaczenie z kształtu, zakładali jakieś tajemne, przeklęte pismo. Łatwiej było wyobrazić sobie, że to rezultaty czarnej mszy, niż wierzyć w prawdę: to było tylko serce, jakie każda zakochana po uszy dziewczyna mogłaby nagryzmolić w zeszyście.

Półtora kilometra dalej trafiłam na zjazd i położoną niedaleko stację Texaco. Wchodziłam i wychodziłam z siarkowych świateł, wydawały odgłosy jak smażony bekon. Kołysałam się na palcach, obserwując drogę. Kiedy w końcu straciłam nadzieję, że ktoś po mnie przyjedzie, zadzwoniłam pod numer ojca z automatu telefonicznego. Odebrała Tamar.

– To ja – powiedziałam.

– Evie – odparła. – Dzięki Bogu. Gdzie jesteś? – Mogłam sobie wyobrazić, jak zwijając kabel, robi pętle. – Wiedziałam, że niedługo się odezwiesz. Mówiłam twojemu tacie, że się odezwiesz.

Wyjaśniłam, gdzie jestem. Musiała usłyszeć pęknięcia w moim głosie.

– Natychmiast wyjeżdżam – powiedziała. – Zostań, gdzie jesteś.

Usiadłam na krawężniku, opierając łokcie na kolanach. Powietrze było chłodne od pierwszych zapowiedzi jesieni, po 101 sunęła konstelacja świateł hamowania, wielkie ciężarówki zadzierały przody, nabierając prędkości. W głowie wirowały mi wymówki dla Suzanne, jakieś wyjaśnienie jej zachowania, które mnie uspokoi. Ale nie było niczego poza okropną wiedzą – nigdy nie byliśmy blisko. Nic nie znałyśmy.

Wyczuwałam na sobie ciekawskie oczy, kierowcy ciężarówek kupowali na stacji opakowania nasion słonecznika i wypluwali proste strumienie tabaki na ziemię. Ich ojcowski krok i kowbojskie kapelusze. Wiedziałam, że rozpatrują fakty mojej samotności. Moje gołe nogi i długie włosy. Wściekłość i szok musiały tworzyć ochronny młyn, który ich ostrzegał – zostawili mnie w spokoju.

Wreszcie dostrzegłam zbliżającego się białego plymoutha. Tamar nie wyłączyła silnika. Wsunęłam się na siedzenie. Wdzięczność za znajomą twarz Tamar wprawiła mnie w zakłopotanie. Włosy miała mokre.

– Nie zdążyłam ich wysuszyć – powiedziała.

Posłała mi spojrzenie serdeczne, choć zaintrygowane. Wiedziałam, że chce

mnie wypytać, ale musiała zdawać sobie sprawę, że niczego nie wyjaśnię. Ukryty świat zamieszkały przez nastolatki, wylaniający się na powierzchnię tylko pod przymusem, szkolący rodziców do oczekiwania na nieobecność. Ja już zniknęłam.

– Nie przejmuj się – odezwała się. – Nie powiedział twojej mamie, że zwiąsał. Mówiłam mu, że wrócisz, i będzie się martwiła bez powodu.

Mój żal już się podwajał, nieobecność była moim jedynym kontekstem. Suzanne na dobre mnie zostawiła. Gładki upadek, wstrząs przy ominięciu stopnia. Tamar jedną ręką grzebała w torebce, w końcu znalazła małe złote pudełko wyłożone różową wytłaczaną skórą. Jak mały wizytownik. W środku był skręt. Tamar głową wskazała skrytkę – wyjęłam z niej zapalniczkę.

– Nie powiesz tacie? – Zaciągnęła się ze wzrokiem utkwionym w drodze. – Mnie też mógłby uziemić.

Tamar mówiła prawdę: ojciec nie zadzwonił do matki, a chociaż trząsał się z wściekłości, był też zakłopotany – córka jak domowe zwierzątko, które zapomniał nakarmić.

– Ktoś mógł ci zrobić krzywdę – powiedział jak aktor domyślający się swojej kwestii.

Tamar spokojnie poklepała go po plecach w drodze do kuchni, potem nalała sobie coli. Zostawiła mnie z jego gorącym, nerwowym oddechem, mrugającą, przestraszoną twarzą. Przyglądał mi się z drugiego końca salonu, emanując przygnębieniem. Wszystko, co się zdarzyło – tego akurat się nie bałam, nijakiego gniewu ojca. Co mógł mi zrobić? Co zabrać?

A potem byłam z powrotem w bezbarwnym pokoju w Palo Alto, pod lampą rzucającą bezpłatnie światło jak w podróży służbowej.

Kiedy nazajutrz rano wyszłam z pokoju, mieszkanie było puste, ojciec i Tamar wyszli do pracy. Jedno z nich, przypuszczalnie Tamar, zostawiło włączony wentylator i roślina wyglądająca na sztuczną drżała w powiewach wiatru. Za tydzień wyjeżdżałam do szkoły z internatem. Siedem dni wydawało się okresem za długim w mieszkaniu ojca, siedem kolacji, które trzeba przemęczyć, ale równocześnie niesprawiedliwie krótkim – nie będę miała czasu na nawyki, na kontekst. Pozostało mi tylko czekanie.

Włączyłam telewizor, gwar kojącej ścieżki dźwiękowej towarzyszył mi przy buszowaniu w kuchni. W pudełku płatków ryżowych w szafce pozostała tylko cieniutka warstwa: zjadłam je z dłoni, potem spłaszczyłam pudełko. Nalałam do szklanki mrożonej herbaty, na ręce ułożyłam przyjemnie wysoki stos krakersów grubości żetonów pokerowych. Przetransportowałam jedzenie na sofę. Zanim zdążyłam usiąść, zatrzymał mnie ekran.

Mnóstwo obrazów, podwajających się i rozprzestrzeniających.

Poszukiwanie sprawców nadal nie przyniosło efektu. Prowadzący powiedział, że Mitch Lewis jest nieuchwytny i nie mogli poprosić go o komentarz.

Krakersy pomarszczyły się w kawałki w moich wilgotnych dłoniach.

Dopiero po procesie rzeczy stały się wyraziste, tamta noc nabrała znajomego teraz biegu. Każdy szczegół i sygnał został wystawiony na widok publiczny. Są okresy, kiedy próbuję odgadnąć, jaką rolę mogłabym odegrać. Jaka część należałaby do mnie. Najłatwiej myśleć, że niczego bym nie zrobiła, że bym ich powstrzymała, moja obecność zadziałałaby jak cuma trzymająca Suzanne w królestwie ludzi. To było życzenie, przekonująca parabola. Ale jest też inna możliwość, która snuje się obok, nagła i niedostrzegana. Potwór pod łóżkiem, wąż u stóp schodów: może ja też coś bym zrobiła.

Może byłoby to łatwe.

Po zostawieniu mnie na poboczu pojechali prosto do Mitcha. Kolejne trzydzieści minut w samochodzie, trzydzieści minut, które być może naenergetyzowała moja dramatyczna dymisja, grupa skonsolidowała się i stała prawdziwymi pielgrzymami. Suzanne opierająca złożone ręce na przednim siedzeniu, promieniująca amfetaminowym dygotem, tą przejrzystą pewnością. Guy skręcający z autostrady na jednopasmówkę prowadzącą nad laguną. Niskie stiukowe motele przy zjazdach, eukaliptusy niewyraźnie majaczące i nadające powietrzu aromat. W sądzie Helen twierdziła, że wtedy po raz pierwszy wyraziła na głos zastrzeżenia. Ale ja nie wierzę. Jeśli ktokolwiek zadawał sobie pytania, odbywało się to pod powierzchnią, przezroczysta bańka dryfująca i podskakująca w ich umysłach. Wątpliwości słabły, tak jak słabną szczegóły snu. Helen się zorientowała, że zostawiła w domu nóż. Suzanne krzyczała na nią, tak wynika z akt sądowych, ale grupa odrzuciła plan, by po niego wrócić. Już dobijali do brzegu, we władzy większego pędu.

Zaparkowali forda przy drodze, nie zaprzatając sobie nawet głowy, żeby go ukryć. Kiedy szli do bramy Mitcha, ich umysły zdawały się kołysać i koncentrować na tych samych ruchach, jak w jednym organizmie.

Mogę sobie wyobrazić ten widok. Dom Mitcha widziany ze zwirowanego podjazdu. Spokojne wody zatoki, dziób salonu. To znali. Zanim ich spotkałam, przez miesiąc mieszkali u Mitcha, podwyższając rachunki za dostawy i łapiąc mięczaka zakaźnego z wilgotnych ręczników. A jednak. Myślę, że tamtej nocy dom na nowo ich uderzył, gładki i jaskrawy jak landrynka. Jego mieszkańcy już byli skazani, tak nieodwołalnie, że grupa mogła czuć do nich tylko coś na kształt litości. Bo jakże bezradni byli wobec większych ruchów, ich życie już zostało uznane za zbędne jak taśma nagrana z zakłóceniami.

Spodziewali się, że zastaną Mitcha. Wszyscy znają tę część: Mitcha wezwano do Los Angeles do pracy przy muzyce do *Stone Gods*, filmu, który nigdy nie trafił do dystrybucji. Poleciał ostatnim tego wieczoru lotem TWA z lotniska SFO, wylądował w Burbank, zostawiwszy dom w rękach Scotty'ego. Scotty tamtego dnia rano ściął trawę, ale jeszcze nie wyczyścił basenu. Dawna

dziewczyna Mitcha poprosiła o przysługę – spytała, czy z Christopherem mogliby przekimać u niego dwie noce, tylko dwie noce.

Suzanne i pozostałych zaskoczyła obecność nieznajomych w domu. Nikogo wcześniej nie spotkali. I ta chwila mogła przerwać akcję: porozumienie zawarte spojrzeniami. Powrót do samochodu, zniechęcone milczenie. Ale oni się nie odwrócili. Wykonali polecenie Russella.

Urządźcie scenę. Zróbcie coś, o czym wszyscy usłyszą.

Ludzie w głównym domu przygotowywali się do snu, Linda i jej synek. Ugotowała mu spaghetti na kolację, podkrađła widelec z jego miski, ale nie zaprzętała sobie głowy przyrządzaniem czegoś dla siebie. Spali w pokoju gościnnym – z torby na podłogę wyciekały ubrania. Brudna pluszowa jaszczurka Christophera z oczami z czarnych guzików.

Scotty zaprosił swoją dziewczynę, Gwen Sutherland, na słuchanie płyt i korzystanie z jacuzzi na patio pod nieobecność Mitcha. Miała dwadzieścia trzy lata, niedawno skończyła College of Marin, Scotty'ego poznała na grillu w Ross. Nieszczerólnie atrakcyjna, ale dobra i serdeczna, typ dziewczyny, którą chłopcy wiecznie proszą o przyszyście guzików albo podstrzyżenie włosów.

Oboje wypili po kilka piw. Scotty wypalił trochę trawki, Gwen nie. Spędzali wieczór w małym domku dozorczy, w którym Scotty utrzymywał czystość według standardów wojskowych – pościel na futonie napięta z rogami podwiniętymi w szpitalnym stylu.

Suzanne i pozostali najpierw trafili na Scotty'ego. Drzemiącego na kanapie. Suzanne się oddzieliła, żeby sprawdzić hałas robiony przez Gwen w łazience, a Guy kiwnął głową na Helen i Donnę, żeby poszły przeszukać główny dom. Guy obudził Scotty'ego szturchnięciem. Scotty zachrapał, wyrwany ze snu. Nie miał okularów na nosie – położył je na klatce piersiowej – i musiał pomyśleć, że to Mitch wcześniej wrócił.

– Przepraszam – powiedział Scotty, myśląc o basenie – przepraszam. – Na oślepie macając w poszukiwaniu okularów.

Potem Scotty niezgrabnie je włożył i zobaczył nóż uśmiechający się z dłoni Guya.

Suzanne wyprowadziła dziewczynę z łazienki. Gwen pochylała się nad umywalką, chlapiąc wodą twarz. Kiedy się wyprostowała, kątem oka dostrzegła kształt.

– Cześć – powiedziała Gwen z ociekającą twarzą. Była dobrze wychowaną dziewczyną. Nawet zaskoczona zachowywała się przyjacielsko.

Może Gwen pomyślała, że to przyjaciółka Mitcha albo Scotty'ego, chociaż po kilku sekundach musiało stać się oczywiste, że coś jest nie w porządku. Że dziewczyna, która odwzajemniła uśmiech (ponieważ Suzanne rzeczywiście, fakt sławny, odwzajemniła uśmiech) miała oczy jak mur z cegieł.

Helen i Donna zgarnęły kobietę i chłopczyka w głównym domu. Linda się denerwowała, dłoń trzepotała jej przy gardle, ale poszła z nimi. Linda w majtkach i obszernym T-shircie – musiała myśleć, że dopóki będzie spokojna i uprzejma, nic się jej nie stanie. Próbowwała wzrokiem dodać otuchy Christopherowi. Jego pulchna rączka w jej dłoni, nieobcięte paznokcie. Chłopczyk rozplakał się dopiero później; Donna powiedziała, że na początku sprawiał wrażenie zaciekawionego, jakby to była gra. Ukryj się i idź szukać, czerwony rower, czerwony rower.

Próbuję sobie wyobrazić, co robił Russell, kiedy to wszystko się działo. Może na ranczu rozpalili ognisko i grał na gitarze w migotliwym świetle. Może zabrał Roos albo którąś z innych dziewczyn do przyczepy, może palili razem skręta i obserwowali, jak dym się unosi i kołysze pod sufitem. Dziewczyna pewnie puszyła się pod jego dłonią, dumna z uwagi, której była jedynym obiektem, ale oczywiście jego umysł był daleko, w domu przy Edgewater Road z morzem tuż za progiem. Mogę zobaczyć jego podstępne wzruszenie ramion, ruch oczu do wewnątrz, przez co były wypolerowane i zimne jak gałki w drzwiach.

– Chcieli to zrobić – powie później. Śmiejąc się sędziemu w twarz. Śmiejąc tak bardzo, że się dusił. – Myślicie, że do czegoś ich zmusiłem? Myślicie, że te ręce cokolwiek zrobiły? – Strażnik musiał usunąć go z sali, tak bardzo Russell się śmiał.

Przyprowadzili wszystkich do salonu w głównym domu. Guy kazał im usiąść na wielkiej sofie. Spojrzenia wymieniane przez ofiary, które nie wiedziały, wtedy jeszcze nie, że są ofiarami.

– Co chcecie z nami zrobić? – pytała ciągle Gwen.

Scotty przewrócił oczami, zgnębiony i spocony, i Gwen się roześmiała – może nagle zobaczyła, że Scotty nie będzie w stanie jej ochronić. Że jest po prostu młodym człowiekiem z zaparowanymi okularami, drżącymi wargami, a ona przebywa z dala od domu.

Rozplakała się.

– Zamknij się – powiedział Guy. – Chryste.

Gwen usiłowała powstrzymać szlochy, bezgłośnie się trzęsła. Linda dokładała starań, by Christopher zachował spokój, nawet kiedy dziewczęta wszystkich związały. Donna robiła węzeł na ręczniku krępującym ręce Gwen. Linda uściskała Christophera po raz ostatni, zanim Guy szturchnięciem ich rozdzielił. Gwen siedziała na sofie z zadartą spódnicą, lamentując zapamiętane. Obnażona skóra jej ud, twarz nadal wilgotna. Linda mruczała do Suzanne, że mogą wziąć wszystkie pieniądze z jej torebki, wszystkie, a jeśli pojedą z nią do banku, da im więcej. Głos Lindy był spokojnie monotony, przepełniony kontrolą, choć oczywiście żadnej nie miała.

Pierwszy był Scotty. Walczył, kiedy Guy obwiązał mu przeguby paskiem.

– Sekunda – powiedział Scotty – hej. – Jeżąc się na szorstki uścisk.

I Guy stracił panowanie. Ciął nożem z taką siłą, że rączka rozpadła się na

dwie części. Scotty walczył, ale mógł tylko stoczyć się na podłogę, próbować się przetoczyć i ochraniać brzuch. Bańka krwi pojawiła się w jego nosie i ustach.

Ręce Gwen były luźno związane – w chwili gdy ostrze zanurzyło się w Scottym, uwolniła się i wybiegła przez frontowe drzwi. Wrzeszcząc z kreskówkową brawurą, która brzmiała fałszywie. Była niemal przy bramie, kiedy się potknęła i padła na trawnik. Zanim zdołała się podnieść, Donna już przy niej była. Przesuwała się po jej plecach i dźgała tak długo, aż wreszcie Gwen uprzejmie zapytała, czy już może umrzeć.

Matkę i syna zabili na końcu.

– Proszę – powiedziała Linda. Poważnie. Myślę, że wręcz z nadzieją na jakieś ułaskawienie.

Była bardzo piękna i bardzo młoda. Miała dziecko.

– Proszę – powiedziała. – Dam wam pieniądze.

Ale Suzanne nie chciała pieniędzy. Amfetamina ścisnęła jej skronie, pulsowanie było jak zakłęcie. Serce pięknej dziewczyny pracujące w piersiach – narkotyczne, desperackie obroty. Linda musiała wierzyć, jak robią to piękni ludzie, że istnieje rozwiązanie, że zostanie ocalona. Helen przytrzymywała Lindę – początkowo jej ręce napierały na ramiona kobiety ostrożnie, jak złego partnera w tańcu, ale kiedy Suzanne zniecierpliwiona warknęła, Helen nacisnęła mocniej. Linda zamknęła oczy, ponieważ wiedziała, co zaraz się stanie.

Christopher się rozpłakał. Kucał za sofą; nikt nie musiał go przytrzymywać. Jego bielizna przesiąkła gorzkim smrodem uryny. Jego płacz kształtowały krzyki, pozbywanie się wszelkich uczuć. Matka na dywanie przestała się poruszać.

Suzanne kucnęła na podłodze. Wyciągając do niego ręce.

– Chodź tutaj – powiedziała. – Chodź.

Tego etapu nigdzie nie opisano, ale ja najczęściej go sobie wyobrażałam.

Jak dłonie Suzanne już musiały być pochłapane krwią. Ciepły medyczny odór ciała na ubraniu i włosach. I potrafię to sobie wyobrazić, ponieważ znałam każdy punkt jej twarzy. Uspokajającą mistyczną aurę, jakby poruszała się przez wodę.

– Chodź tutaj – powiedziała po raz ostatni i chłopiec nieznacznie się ku niej przysunął. Potem siedział na jej kolanach, a ona go obejmowała i nóż był jak dar od niej dla niego.

Kiedy relacja telewizyjna dobiegła końca, siedziałam. Sofa wydawała się oddzielona od reszty mieszkania, zajmowała przestrzeń pozbawioną powietrza. Obrazy pokryte pęcherzami i rozgałęzione jak winorośle z koszmaru. Obojętne morze za domem. Kadry przedstawiające policjantów w koszulach wychodzących z frontowych drzwi Mitcha. Widziałam, że nie mieli powodu do pośpiechu – było po wszystkim. Nikt nie zostanie uratowany.

Rozumiałam, że te wiadomości były większe ode mnie. Że ja tylko rzucałam

pierwsze przelotne spojrzenie. Ciężyłam ku wyjściu, ukrytej zasuwce: może Suzanne oderwała się od grupy, może nie wzięła w tym udziału. Ale wszystkie te gorączkowe życzenia niosły echo własnej odpowiedzi. Oczywiście, że to zrobiła.

Przelewały się możliwości. Dlaczego Mitcha nie było w domu. W których miejscach moja droga mogła się przeciąć z tym, co nadchodzi. Jak mogłam zignorować wszystkie ostrzeżenia. Oddech miałam zduszony z wysiłku wkładanego w tłumienie płaczu. Mogłam sobie wyobrazić, jak Suzanne zdenerwowałoby moje przygnębienie.

Dlaczego płaczesz? zapytałaby.

Nawet niczego nie zrobiłaś.

Dziwnie jest wyobrażać sobie przedział czasu, kiedy morderstwa pozostawały nierozwiązane. To, że czyn kiedykolwiek istniał oddzielnie od Suzanne i pozostałych. Ale dla większego świata tak było. Mieli pozostać na wolności przez wiele miesięcy. Zbrodnia – tak blisko domu, taka brutalna – spowodowała, że wszyscy popadli w histerię. Domy zmieniły kształt. Nagle się okazało, że nie są bezpieczne, swojskość rzuciła się właścicielom do gardła, jakby z nich szydząc – patrz, to twój salon, twoja kuchnia, i zobacz, jak mało to pomogło, cała ta swojskość. Zobacz, jak na końcu niewiele to znaczyło.

Wiadomości ryczały przez całą kolację. Ciągle się odwracałam, kącikiem oka dostrzegając ruch, ale to był tylko strumień obrazów na ekranie albo reflektory samochodu przesuwane się za oknem mieszkania. Kiedy oglądaliśmy, ojciec drapał się w kark, wyraz jego twarzy był obcy – bał się. Tamar nie zamierzała milczeć.

– Dziecko – powiedziała. – To nie byłoby takie okropne, gdyby nie zabili dziecka.

Miałam tępą pewność, że zobaczą to we mnie. Pęknięcie na mojej twarzy, oczywiste milczenie. Ale nie zobaczyli. Ojciec zamknął na klucz mieszkanie, potem przed pójściem do łóżka ponownie sprawdził. Nie spałam, dłonie miałam bezwładne i wilgotne w świetle lampy. Czy nastąpiło najdrobniejsze z możliwych przesunięcie pomiędzy rezultatami? Gdyby jasne oblicza planet orbitowały w innym układzie albo inny przyptyw pożarł brzeg tamtej nocy – czy to była membrana, która oddzielała świat, gdzie to zrobiłam, od tego, gdzie tego nie zrobiłam? Kiedy próbowałam zasnąć, wewnętrzny film o przemocy zmusił mnie do otwarcia oczu. I coś jeszcze odzywało się w tle – nawet wtedy za nią tęskniłam.

Logika zabójstw była zbyt niejasna, by dało się ją rozplątać, zawierała zbyt wiele aspektów, zbyt wiele fałszywych poszlak. Policja dysponowała jedynie ciałami, rozrzuconymi miejscami śmierci jak nieuporządkowanymi notatkami. Ofiary wybrano przypadkowo? Celem był Mitch? Albo Linda, Scotty czy nawet Gwen? Mitch znał tak wielu ludzi, miał celebrycki zbiór wrogów i pełnych urazy

przyjaciół. Imię Russella padało w zeznaniach Mitcha i innych, ale było jednym z wielu. Kiedy wreszcie policja pojechała na ranczo, grupa już porzuciła dom, jeździli autobusem na kempingi w różnych miejscach wybrzeża, ukrywali się na pustyni.

Nie wiedziałam, jak bardzo śledztwo było opóźnione, do jakiego stopnia policję zajmowały następujące po sobie drobiazgi: znaleziony na trawniku brelok do kluczy, który jak się w końcu okazało, należał do dozorca, dawny menadżer Mitcha poddany uważnej obserwacji. Śmierć nadała kwestiom nieistotnym wymuszony prymat, jej zaszyfrowane światło wszystko zmieniało w dowód. Wiedziałam, co się stało, wydawało się więc, że policja też musi wiedzieć, i czekałam na aresztowanie Suzanne, na dzień, kiedy przyjdą po mnie – ponieważ zostawiłam moją torbę. Ponieważ ten student z Berkeley, Tom, połączy morderstwa i nienawistny sposób, w jaki Suzanne mówiła o Mitchu, i pójdzie na policję. Mój strach był prawdziwy, ale nieuzasadniony – Tom znał tylko moje imię. Może rzeczywiście zgłosił się na policję, był przecież dobrym obywatelem, ale nic z tego nie wyszło – zostali zasypani telefonami i listami, wszelkiego rodzaju ludzie przyznawali się do odpowiedzialności albo twierdzili, że coś wiedzą. Moja torba była zwykłą torbą, bez żadnej cechy, która pozwoliłaby na indentyfikację. Zawartość: ubrania, książka o Zielonym Rycerzu. Tubka Merle Norman. Dobytek dziecka udający dorosłe nagromadzenie. I oczywiście dziewczęta prawdopodobnie ją przejrzały, wyrzuciły bezużyteczną książkę i zatrzymały ubrania.

Powiedziałam wiele kłamstw, ale to skolonizowało większe milczenie. Myślałam o powiedzeniu Tamar. Powiedzeniu ojcu. Ale potem wyobrażałam sobie Suzanne, widziałam, jak skubie paznokieć, jak nagle na mnie spogląda. I nikomu nic nie powiedziałam.

Strach, który nastąpił po morderstwach, nie jest trudno przywołać. Przez tydzień przed wyjazdem do szkoły prawie nie byłam sama, z pokoju do pokoju snułam się za Tamar albo ojcem, wyglądałam z okien czarnego autobusu. Nie spałam całe noce, jakby moje wymagające wysiłku czuwanie miało nas ochronić, jakbym moje godziny cierpienia złożyła w ofierze. Wydaje się niewiarygodne, że Tamar ani ojciec nie zauważyli, jaka jestem blada, jak nagle rozpaczliwie szukam ich towarzystwa. Spodziewali się, że życie będzie dalej się toczyć. Trzeba załatwiać sprawy, a ja dostosowałam się do ich logistyki z otępieniem, które zajęło miejsce tego, co wcześniej czyniło ze mnie Evie. Moja miłość do cynamonowych landrynek, to, o czym marzyłam – wszystko zostało wymienione na tę nową jaźń, podrzutka, który kiwał głową, kiedy do niego mówiono, i zmywał po obiedzie rękoma czerwieniejącymi w gorącej wodzie.

Musiałam uporządkować pokój w domu matki przed wyjazdem do szkoły. Matka zamówiła dla mnie mundurek – znalazłam dwie granatowe spódnice i bluzkę z kołnierzem marynarskim poskładane na łóżku, tkanina cuchnęła

środkiem czyszczącym jak wypożyczone obrusy. Nie zaprzętałam sobie głowy przymierzaniem ubrań, wrzuciłam je do walizki na tenisówki. Nie wiedziałam, co jeszcze spakować, i nie miało to znaczenia. W transie wpatrywałam się w pokój. Wszystkie moje niegdyś ukochane rzeczy – winylowy pamiętnik, amulet z kamieniem zodiakalnym, notatnik z rysunkami ołówkiem – wydawały się bezwartościowe i zepsute, pozbawione ożywiającej siły. Niemożliwością było wyobrazenie sobie, jaki rodzaj dziewczyny w ogóle mógł je lubić. Nosić amulet na przegubie, spisywać relacje z dnia.

– Potrzebujesz większej walizki? – zapytała z progu matka, strasząc mnie. Jej twarz wyglądała na pogniecioną i czułam, jak dużo wypaliła. – Możesz wziąć moją czerwoną, jeśli chcesz.

Myślałam, że zauważy zmianę we mnie, nawet jeśli Tamar czy ojcu to się nie udało. Dziecięcy tłuszcz zniknął z mojej twarzy, rysy stwardniały. Ale ona o niczym nie wspomniała.

– Ta jest dobra – powiedziałam.

Matka stała, rozglądając się po pokoju. Po niemal pustej walizce.

– Mundurek pasuje? – zapytała.

Nawet go nie przymierzyłam, ale kiwnęłam głową, wciśnięta w nową uległość.

– Dobrze, dobrze. – Kiedy się uśmiechnęła, wargi jej pękły i nagle ogarnęło mnie wzruszenie.

Gdy wrzucałam książki do szafy, znalazłam dwa mleczne polaroidy ukryte pod stosem starych czasopism. Nagła obecność Suzanne w moim pokoju: jej gorący, dziki uśmiech, wypukłość piersi. Mogłam przywołać wstręt do niej, nabuzowanej deksedryną i spoconej z wysiłku włożonego w rzeź, a równocześnie zostać wciągnięta w beznadziejny prąd – to była Suzanne. Powinnam pozbyć się tych zdjęć, wiedziałam, obraz już był naładowany winną aurą dowodu. Ale nie potrafiłam. Odwróciłam fotkę i schowałam w książce, której nigdy więcej nie przeczytam. Drugie zdjęcie przedstawiało rozmazany tył czyjejs odwracającej się głowy i długo się w nie wpatrywałam, zanim sobie uświadomiłam, że tą osobą jestem ja.

CZEŚĆ CZWARTA

Sasha, Julian i Zav wyjechali wcześniej i zostałam sama. Dom wyglądał tak, jak wyglądał zawsze. Tylko łóżko w drugim pokoju z pościelą zmiętą i pachnącą seksem wskazywało, że był tu ktoś inny. Wypiorę pościel w pralce w garażu. Poskładałam i wsunęłam na półki w szafie, pozamiatam pokój i przywrócę do poprzedniej nijakości.

Tamtego dnia szłam po zimnym piasku, naszpikowanym połamanymi kawałkami muszli, ruchomymi dziurami, w których zakopywały się kraby. Lubiłam szum wiatru w uszach. Wiatr przepędził ludzi – studentki z college'u pokrzykiwały, ich chłopcy gonili marszczący się koc. Rodziny w końcu się poddały i ruszyły ku samochodom, dzierżąc składane krzesła i niemrawą płachtę taniego latawca, już połamanego. Miałam na sobie dwie bluzy i ta gruba warstwa sprawiła, że czułam się chroniona, poruszałam się wolniej. Co kilka kroków natrafiałam na ogromne, podobne do liny wodorosty, poplątane i grube jak strażacki wąż. Wymioty obcego gatunku, pozornie nie z tego świata. To był baniopień, ktoś mi powiedział, baniopień Lütkego. Poznanie nazwy wcale nie czyniło go mniej dziwnym.

Sasha ledwo się pożegnała. Wtulona w bok Juliana, z twarzą ułożoną w wyraz będący środkiem zapobiegającym mojej litości. Już siebie opuściła, wiedziałam, przeniosła się w inne miejsce w swoim umyśle, gdzie Julian jest słodki i dobry, a życie zabawne, a jeśli nie zabawne to przynajmniej *interesujące*. Czy to nie jest cenne, czy czegoś nie znaczy? Próbowałam się do niej uśmiechnąć, przesłać jej wiadomość na niewidzialnej nitce. Ale jej nigdy na mnie nie zależało.

W Carmel zgęstniała mgła, jak zamieć spadając na kampus mojej szkoły. Iglicę kaplicy, pobliskie morze. Zaczęłam szkołę we wrześniu, zgodnie z planem. Carmel było staroświeckie, moje koleżanki sprawiały wrażenie o wiele młodszych, niż były w rzeczywistości. Współlokatorka z kolekcją moherowych swetrów ułożonych według kolorów. Ściany internatu zmiękczone gobelinami, skradanie się podczas ciszy nocnej. Prowadzony przez ostatnią klasę szkolny sklepik, w którym sprzedawano chipsy, napoje i słodczyce, dziewczyny zachowujące się tak, jakby szczytem wyrafinowania i wolności była możliwość jedzenia tam od dziewiętej do jedenastej trzydzieści w weekendy. Mimo całej ich gadaniny, przechwałek i skrzyń pełnych płyt moje koleżanki z klasy sprawiały wrażenie dziecinnych, nawet te z Nowego Jorku. Czasami, kiedy mgła przysłaniała iglice, niektóre nie potrafiły znaleźć kierunku i błądziły.

Przez pierwsze tygodnie obserwowałam dziewczyny, krzyczące jedna do drugiej przez dziedziniec, z plecakami przytroczonymi do pleców jak skorupa żółwia albo kołyszącymi się na rękach. Wydawały się poruszać za szybą, jak dobrze karmione i bardzo kochane urwisy z serii detektywistycznych, które wiązały wstążki na kucykach i w weekendy nosiły koszule z kraciastej bawełny. Pisały listy do domu, mówiły o ukochanych kotkach i uwielbiających je młodszych siostrach.

Wspólne pomieszczenia były królestwem kapci i podomek, dziewcząt, której jadły batoniki Charleston Chew prosto z miniaturowych lodówek i gromadziły się przed telewizorem, dopóki psychologicznie nie wchłonęły promieni katodowych – takie to sprawiało wrażenie. Chłopak jednej zginął w wypadku podczas wspinania się na skałki w Szwajcarii: wszystkie stłoczyły się wokół niej, rozpalone tragedią. Dramatyczne pokazy wsparcia podszyte były zazdrością – pech zdarzał się na tyle rzadko, że był olśniewający.

Martwiłam się, że jestem naznaczona. Że podskórny prąd przerażenia jest widoczny. Ale struktura szkoły – jej cechy szczególne, niemal municypalny charakter – najwyraźniej przebiła się przez mrok. Ku swojemu zaskoczeniu nawiązałam przyjaźnię. Z dziewczyną z zajęć z poezji. Ze współlokatorką Jessamine. Mój lęk inne odbierały jako wyrafinowanie, moją izolację jako izolację znużenia i doświadczenia.

Jessamine pochodziła z miasteczka hodowców bydła koło Oregonu. Starszy brat przysyłał jej komiksy, w których superbohaterki nie mieściły się w obcisłych kostiumach i uprawiały seks z ośmiornicami albo kreskówkowymi psami. Jessamine powiedziała, że dostawał je od przyjaciela z Meksyku. Lubiała głupią przemoc, czytała je z głową zwieszoną z łóżka.

– Ten jest kompletnie pokręcony – prychała, rzucając mi komiks. Próbowałam wtedy ukryć słabe nudności wywołane tryskającą na wszystkie strony krwią i falującymi biustami.

– Jestem na diecie, zgodnie z którą dzielę się jedzeniem – wyjaśniła Jessamine, dając mi jedną z pianek w czekoladzie, które trzymała w szufladzie biurka. – Przedtem połowę wyrzucałam, ale w internacie załęgły się myszy i nie mogłam tego robić.

Przypominała mi Connie, tak samo nieśmiało odciągała bluzkę od brzucha. Connie, która pewnie uczyła się w liceum w Petalumie. Chodziła po niskich schodach, jadła lunch przy popękanych stołach piknikowych. Nie miałam pojęcia, jak o niej myśleć.

Jessamine była zła kniona moich opowieści o domu, wyobrażając sobie, że mieszkam w cieniu napisu Hollywood. W domu dzięki kalifornijskim pieniądzom różowym jak sorbet, z ogrodnikiem zamiatającym kort tenisowy. Nie miało znaczenia, że pochodziłam z nabiłowego miasteczka, i tak jej powiedziałam. Inne fakty okazały się bardziej ekscytujące, na przykład to, kim była moja babka. Pozwoliłam sobie wkroczyć w ramy wszystkich założeń na temat przyczyn mojego milczenia, które Jessamine poczyniła na początku roku. Opowiadałam o chłopaku, jednym z licznej gromady.

– Był sławny – mówiłam. – Nie mogę powiedzieć, kto to. Ale przez pewien czas z nim mieszkaliśmy. Jego fiut był fiołkowy. – Parsknęłam i Jessamine także się śmiała, rzucając mi spojrzenie otulone zazdrością i podziwem. Tak pewnie

patrzyłam na Suzanne.

Jak łatwo było utrzymywać strumień tej historii, życzeniowej narracji, pożyczyć najlepsze cechy rancza i złożyć je w nowy kształt, jak origami. Świat, gdzie wszystko działo się tak, jak bym tego chciała.

Francuskiego uczyła śliczna, świeżo zaręczona nauczycielka, która popularnym dziewczynom pozwalała przymierzyć swój pierścionek zaręczynowy. Lekcje sztuki prowadziła panna Cooke, jej gorliwość podsycił niepokój towarzyszący pierwszej pracy. Linia makijażu, którą czasami dostrzegałam na jej szczęce, budziła we mnie litość do niej, chociaż usiłowała być dla mnie miła. Nie komentowała, kiedy widziała mnie gapiącą się w przestrzeń albo opierającą głowę na złożonych rękach. Raz zabrała mnie z kampusu na napój słodowy i hot doga, który smakował ciepłą wodą. Opowiedziała mi, jak wyprowadziła się z Nowego Jorku, żeby podjąć tę pracę, jak miejski asfalt odbijał tafle słońca, jak pies sąsiada srał na schodach kamienicy, jak trochę wariowała.

– Skubałam tylko rogi jedzenia współlokatorki. Potem nic nie zostawało, a mnie było niedobrze. – Okulary panny Cooke uciskały jej oczy. – Nigdy nie czułam takiego smutku, a nie było do tego żadnego prawdziwego powodu, wiesz?

Wyraźnie czekała, żebym do jej historii dopasowała własną. Spodziewała się smutnej, łatwej do opanowania opowieści o przeniecierstwie chłopaka z rodzinnego miasteczka albo o matce w szpitalu, okrutnych szeptów o wrednej współlokatorce. O sytuacji, której dla mnie mogłaby nadać heroiczny sens, ustawić ją w starszej i mądrzejszej perspektywie. Myśl o tym, że mówię pannie Cooke prawdę, sprawiła, że usta zacisnęły mi się od nierealnej wesołości. Wiedziała o nadal nierozwiązanych morderstwach – wszyscy wiedzieli. Ludzie zamykali drzwi na klucz, montowali zasuwę, kupowali psy obronne po zawyżonych cenach. Zdesperowana policja nie dostała nic od Mitcha, który przerażony uciekł na południe Francji, chociaż jego dom zostanie zburzony dopiero w następnym roku. Pielgrzymi zaczęli przejeżdżać przed bramą w nadziei, że wychwycą koszar jak opar z powietrza. Siedzieli w samochodach na jałowym biegu tak długo, aż zmęczeni sąsiedzi ich przeganiali. Pod jego nieobecność detektywi podążali za tropami uzyskanymi od dilerów narkotyków, znudzonych gospodyń domowych. Zatrudnili nawet jasnowidza, który przeszedł przez pokoje domu Mitcha, natężając się, by wyłapać wibracje.

– Zabójca jest samotnym mężczyzną w średnim wieku – usłyszałam jasnowidza w jednej z audycji z telefonami od słuchaczy. – W młodości ukarano go za coś, czego nie zrobił. Widzę literę K. Widzę miasteczko Vallejo.

Nawet gdyby panna Cooke mi uwierzyła, co bym jej powiedziała? Że od sierpnia nie sypiam dobrze, ponieważ za bardzo się boję niekontrolowanego terytorium rojeń sennych? Że się budzę przekonana, iż Russell jest w pokoju – z trudem oddychając, z nieruchomym powietrzem jak dłoń na moich ustach? Że

ukłucie zarazy nadal we mnie jest: istnieje równoległy świat, gdzie tamta noc się nie zdarzyła, gdzie się uparłam, żeby Suzanne opuściła ranczo. Gdzie blondynka i jej synek jak przytulanka pchają wózek sklepową alejką, planując niedzielny obiad, czepialscy i znużeni. Gdzie Gwen owija wilgotne włosy ręcznikiem i smaruje balsamem nogi. Scotty czyści ze śmieci filtry jacuzzi na patio. Cichy łuk spryskiwacza, piosenka płynąca nad podwórzem z pobliskiego radia.

Listy, które pisałam do matki, na początku były życzeniowymi aktami teatralnymi. Potem stały się prawdą.

Lekcje były interesujące.

Miałam przyjaciółki.

W przyszłym tygodniu pojedziemy do akwarium obserwować meduzy rozdziawiające otwory gębowe i walczące w oświetlonych zbiornikach, zawieszane w wodzie jak delikatne chusteczki do nosa.

Kiedy doszłam do najdalej oddalonej mierzei, wiatr przybrał na sile. Plaża opustoszała, wszyscy piknikowicze i psiarze zniknęli. Przekraczałam kamienie, zmierzając z powrotem do głównego pasa piasku. Podążając linią pomiędzy klifem a falą. Odbyłam ten spacer wiele razy. Zastanawiałam się, jak daleko odjechali Sasha, Julian i Zav. Przypuszczalnie do LA nadal mieli godzinę. Bez konieczności myślenia o tym wiedziałam, że Julian i Zav siedzą z przodu, Sasha z tyłu. Mogłam sobie wyobrazić, jak od czasu do czasu się pochyla, prosząc o powtórzenie żartu albo wskazując jakiś zabawny znak przy drodze. Próbując walczyć o własne istnienie, zanim w końcu się podda i położy na siedzeniu. Pozwoli, by ich rozmowa zgęstniała w bezsensowny hałas, i będzie patrzyła na drogę, mijane sady. Gałęzie błyskające srebrnymi wstążkami odstraszającymi ptaki.

Przechodziłyśmy z Jessamine obok wspólnego pokoju w drodze do sklepiku, kiedy jakaś dziewczyna zawołała:

– Siostra szuka cię na parterze.

Nie spojrzałam na nią, nie mogła do mnie mówić. Ale mówiła. Zrozumienie, o co chodzi, zajęło mi chwilę.

Jessamine była urażona.

– Nie wiedziałam, że masz siostrę.

Przypuszczam, że wiedziałam, że Suzanne po mnie przyjdzie.

Bawełniane otępienie, w którym przebywałam w szkole, nie było nieprzyjemne w ten sam sposób, w jaki nie jest nieprzyjemna ścierpnięta kończyzna, dopóki nie zdamy sobie z tego sprawy. Wtedy zaczyna się klucie, żądło powrotu – widok Suzanne opierającej się w cieniu wejścia do akademika. Nieuczesane włosy, spękane usta – jej obecność rozsunała tafle czasu.

Wszystko do mnie wracało. Serce bezradnie mi waliło, była w tym odrobina strachu. Ale co Suzanne mogła mi zrobić? Był środek dnia, szkoła wypełniona świadkami. Patrzyłam, jak notuje w myślach wypracowany krajobraz, nauczycieli

w drodze na spotkania z uczniami, dziewczęta przemierzające dziedziniec z torbami tenisowymi i czekoladowym mlekiem w oddechach, chodzące dowody starań niewidocznych matek. W twarzy Suzanne był jakiś ciekawy, zwierzęcy dystans, ocena dziwnego miejsca, w którym się znalazła.

Wyprostowała się, kiedy podeszłam.

– Popatrz na siebie – powiedziała – cała czysta i wyszorowana. – Zobaczyłam nową szorstkość w jej twarzy: krwawy pęcherz pod paznokciem.

Nic nie odpowiedziałam. Nie byłam w stanie. Ciągle dotykałam końcówek swoich włosów. Były krótsze – Jessamine obcięła je w łazience, zerkając na instruktażowy artykuł w czasopiśmie.

– Wyglądasz na szczęśliwą ze spotkania ze mną – powiedziała Suzanne, uśmiechając się.

Odwzajemniłam uśmiech, ale był płytki. To jakoś mgliście sprawiło Suzanne przyjemność. Mój strach.

Wiedziałam, że powinnam coś zrobić – stałyśmy pod markizą, zwiększając szanse, że ktoś się zatrzyma, żeby mnie o coś zapytać, albo przedstawi się mojej siostrze. Nie byłam jednak w stanie zmusić się do ruchu. Russell i pozostali nie mogli być daleko – czy mnie obserwowali? Okna budynku wydawały się żywe, moje myśli biegły do snajperów i przeciągłych spojrzeń Russella.

– Pokaż mi swój pokój – oznajmiła Suzanne. – Chcę go zobaczyć.

Pokój był pusty, Jessamine nie wróciła jeszcze ze sklepiku i Suzanne przepchnęła się koło mnie do środka, zanim zdążyłam ją zatrzymać.

– Po prostu uroczy – zaświergotała z udawanym angielskim akcentem.

Usiadła na łóżku Jessamine. Podskakiwała na nim. Patrzyła na przyklejony plakat z hawajskim krajobrazem, nierealnym oceanem i niebem, między którymi jak w kanapce rozciągało się cukrowe żebro plaży. Komplet *World Book*, którego Jessamine nigdy nie otworzyła, prezent od jej ojca. Jessamine trzymała listy w rzeźbionym drewnianym pudełku i Suzanne natychmiast podniosła wieko, przejrzała zawartość.

– „Jessamine Singer” – przeczytała na kopercie. – Jessamine – powtórzyła. Puściła wieko, a ono z trzaskiem się zamknęło, i wstała. – Więc to jest twoje łóżko.

– Kpiącym gestem poruszyła koc. Żołądek mi się skurczył: obraz nas w pościeli Mitcha. Włosy klejące się do jej czoła i karku.

– Podoba ci się tu?

– Jest w porządku. – Nadal stałam w progu.

– W porządku – powiedziała Suzanne, uśmiechając się. – Evie mówi, że szkoła jest w porządku.

Ciągle obserwowałam jej dłonie. Zastanawiałam się, co właściwie zrobiły, jakby procent miał znaczenie. Podążyła za moim wzrokiem: musiała wiedzieć, o czym myślę. Gwałtownie wstała.

– Teraz ja mam ci coś do pokazania – powiedziała Suzanne.

Autobus był zaparkowany w bocznej uliczce, tuż koło szkolnej bramy. W środku dostrzegałam kłębiące się postaci. Russell i ci, co jeszcze zostali – założyłam, że wszyscy. Przemalowali maskę. Poza tym nic się nie zmieniło. Autobus bestialski i niezniszczalny. Nagła niepewność: otoczą mnie. Zapędzą z powrotem do kąta.

Gdyby ktoś widział nas stojące na zboczu, wyglądałybyśmy jak przyjaciółki. Rozmawiające w sobotnim powietrzu, moje ręce w kieszeniach, Suzanne przysłaniająca oczy.

– Wyjeżdżamy na trochę na pustynię – oznajmiła Suzanne, obserwując zdenerwowanie, które musiało być widoczne na mojej twarzy.

Czułam mizerne granice swojego życia: przewidziane na wieczór spotkanie Klubu Francuskiego – madame Guevel obiecała maślane tarty. Stęchła trawka, którą Jessamine chciała wypalić po ciszy nocnej. Nawet kiedy wiedziałam to, co wiedziałam, czy część mnie chciała odejść? Wilgotny oddech Suzanne i jej zimne dłonie. Sypianie na ziemi, żucie liści pokrzyw, żeby zwilżyć gardło.

– On nie jest na ciebie wściekły – powiedziała, utrzymując stałe wrzenie kontaktu wzrokowego. – Wie, że niczego byś nie powiedziała.

I to była prawda: nic nie powiedziałam. Milczenie utrzymywało mnie w królestwie niewidzialnych. Byłam przerażona, owszem. Pewnie można to milczenie po części przypisać strachowi, strachowi, który potrafiłam przywołać także później, kiedy Russell, Suzanne i pozostali byli w więzieniu. Ale było coś jeszcze. Bezradne myśli o Suzanne, która czasami malowała sobie sutki tanią szminką. Suzanne, która poruszała się brutalnie, jakby wiedziała, że próbujesz coś jej odebrać. Nikomu nic nie powiedziałam, ponieważ chciałam, żeby była bezpieczna. Bo kto poza mną ją kochał? Kto kiedykolwiek trzymał ją w objęciach i mówił, że serce bijące w jej piersi jest tam w określonym celu?

Dłonie mi się pociły, ale nie mogłam wytrzeć ich w spodnie. Próbowałam znaleźć sens w tej chwili, zachować obraz Suzanne w pamięci. Suzanne Parker. Atomy na nowo porządkujące się w powietrzu, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam ją w parku. To, jak jej usta uśmiechnęły się przy moich.

Przed Suzanne nikt nigdy na mnie nie patrzył, właściwie nie, dlatego ona stała się moją definicją. Jej spojrzenie z taką łatwością zmiękczało moje wnętrze, że nawet jej fotografie zdawały się skierowane do mnie, płonące prywatnym znaczeniem. To spojrzenie różniło się od spojrzenia Russella, ten sposób, w jaki na mnie patrzyła, ponieważ Russell także się w nim mieścił: pomniejszało jego i wszystkich innych. Byłyśmy z mężczyznami, pozwalałyśmy im na wszystko, na co mieli ochotę. Ale oni nigdy nie poznają tych naszych części, które przed nimi ukrywałyśmy – nigdy nie wyczują braku ani nawet nie będą wiedzieli, że powinni szukać czegoś więcej.

Suzanne nie była dobrą osobą. To rozumiałam, choć tę wiedzę odsuwałam od siebie. Koroner powiedział, że dwa palce, mały i serdeczny, lewej dłoni Lindy zostały odcięte, ponieważ próbowała osłaniać twarz.

Suzanne patrzyła na mnie, jakby mogło istnieć jakieś wyjaśnienie, ale potem lekki ruch za zasłoniętą przednią szybą autobusu przykuł jej uwagę – nawet wtedy była czujna na każdą zmianę pozycji Russella – i zaczęła zachowywać się rzeczowo.

– Okay – powiedziała, ponaglana tykaniem niewidocznego zegara. – Zbieram się. – Niemal pragnęłam nitki. Jakiejś wskazówki, że może wrócić, że powinnam się jej bać albo że mogłabym sprowadzić ją z powrotem właściwą kombinacją słów.

Później widziałam ją tylko na fotografiach i w relacjach telewizyjnych. A jednak. Nigdy nie umiałam wyobrazić sobie jej nieobecności jako rzeczy stałej. Suzanne i pozostali dla mnie zawsze będą istnieć; wierzyłam, że nigdy nie umrą. Że będą się czaić w tle zwyczajnego życia, krążąc po autostradach i obrzeżach parków. Poruszani siłą, która nigdy się nie wyczerpie ani nie zmniejszy.

Tamtego dnia Suzanne nieznacznie wzruszyła ramionami, potem ruszyła w dół trawiastego zbocza i zniknęła w autobusie. Dziwne upomnienie w jej uśmiechu. Jakbyśmy miały się spotkać, ona i ja, w wyznaczonym miejscu i czasie, i wiedziała, że o tym zapomnę.

Chciałam wierzyć, że Suzanne wykopała mnie z samochodu, ponieważ dostrzegła różnicę między nami. Że dla niej było oczywiste, że nikogo nie umiałabym zabić, że była na tyle przytomna, by pojąć, że to ona jest powodem, dla którego znalazłam się w samochodzie. Chciała mnie chronić przed tym, co miało się wydarzyć. To było łatwe wyjaśnienie.

Istniał jednak komplikujący sprawę fakt.

Nienawiść, którą musiała czuć, żeby zrobić to, co zrobiła, uderzać nożem raz po raz, jakby próbowała pozbyć się szaleńczej choroby – tego rodzaju nienawiść nie była mi obca.

Nienawiść była łatwa. Permutacje stałe przez lata: nieznajomy na targu, który przez szorty położył dłoń na moim kroczu. Facet na chodniku, który szarpnął się w moim kierunku, a kiedy się wzdrygnęłam, wybuchnął śmiechem. Wieczór, kiedy starszy mężczyzna zabrał mnie do eleganckiej restauracji, chociaż nie miałam dość lat, żeby lubić ostrygi. Nawet nie skończyłam dwudziestu. Do naszego stolika przysiadł się właściciel, a także znany filmowiec. Mężczyźni nawiązali gorącą dyskusję, nie umożliwiając mi udziału: bawiłam się ciężką serwetką z materiału, piłam wodę, wpatrując się w ścianę.

– Jedz warzywa – nagle warknął na mnie filmowiec. – Jeszcze rośniesz.

Filmowiec chciał dać mi do zrozumienia to, co już wiedziałam: nie mam żadnej władzy. Zobaczył moją potrzebę i wykorzystał ją przeciwko mnie.

Momentalnie poczułam do niego nienawiść. Jak pierwszy łyk mleka, które się zepsuło – zgnilizna bombardująca nozdrza, zalewająca całą czaszkę. Filmowiec śmiał się ze mnie, tak samo jak pozostali, także starszy mężczyzna, który położył moją dłoń na swoim fiucie, kiedy odwoził mnie do domu.

Nic z tego nie należało do rzadkości. Tego rodzaju rzeczy zdarzały się setki razy. Może więcej. Nienawiść, która wibrowała pod powierzchnią mojej dziewczęcej twarzy – myślę, że Suzanne ją rozpoznała. Oczywiście, że moja dłoń czekałaby na ciężar noża. Szczególne ugięcie ludzkiego ciała. Tyle było do zniszczenia.

Suzanne powstrzymała mnie od zrobienia czegoś, do czego może byłam zdolna. Uwolniła mnie jak awatara dziewczyny, którą sama nie będzie. Nigdy nie pójdzie do szkoły z internatem, ale ja nadal mogłam, wysłała mnie więc oddalającą się od niej wirującym ruchem jak posłańca do jej alternatywnego wcielenia. Suzanne mi to dała: plakat z Hawajami na ścianie, plażę i błękitne niebo jak powszechny mianownik fantazji. Szansę na uczestniczenie w lekcjach poezji, na zostawianie worków z praniem przed drzwiami i jedzenie kapiących od soli i krwi steków w dzień wizyt rodziców.

To był dar. Co z nim zrobiłam? Życie nie narosło, jak kiedyś sobie wyobrażałam. Skończyłam szkołę z internatem, potem byłam dwa lata w college'u. Przetrwiałam dziesięć nijakich lat w Los Angeles. Pochowałam najpierw matkę, potem ojca. Jego włosy stały się wiotkie jak u dziecka. Płaciłam rachunki, robiłam zakupy i badałam oczy, podczas gdy dni się kruszyły jak kamyki z klifu. Życie było nieustannym cofaniem się od krawędzi.

Bywały chwile zapomnienia. Letnia wizyta u Jessamine po narodzinach jej pierwszego dziecka – kiedy zobaczyłam ją czekającą przy krawężniku z włosami schowanymi pod kołnierzem płaszcza, lata się spruły i poczułam się przez moment tą słodką i niewinną dziewczyną, którą kiedyś byłam. Rok z mężczyzną z Oregonu, wspólna kuchnia z wiszącymi roślinami, indiańskie koce na siedzeniach naszego samochodu przykrywające pęknięcia. Jedliśmy zimną pitę z masłem orzechowym i chodziliśmy po mokrej zieleni. Biwakowaliśmy na wzgórzach dokoła kanionu Hot Springs, daleko na wybrzeżu, blisko grupy znającej wszystkie słowa z *The People's Song Book*. Rozgrzana słońcem skała, na której leżeliśmy, wysychając po kąpieli w jeziorze, nasze ciała zostawiające połączoną plamę.

Ale nieobecność znowu się otworzyła. Byłam niemal żoną, ale straciłam męża. Byłam niemal rozpoznawalna jako przyjaciółka. A potem przestałam nią być. Noce, kiedy gasiłam lampę przy łóżku i stwierdzałam, że jestem w lekkomyślnym samotnym mroku. Okresy, kiedy myślałam ze skurczem przerażenia, że nic z tego nie było darem. Po skazaniu Suzanne dostała odkupienie, więzienne grupy biblijne, wywiady w czasie największej oglądalności i korespondencyjny dyplom college'u. Ja dostałam zgaszoną opowieść gapia,

uciekiniera bez zbrodni, w połowie mającego nadzieję, w połowie przerażonego, że nikt nigdy po mnie nie przyjdzie.

W końcu to Helen się wygadała. Miała dopiero osiemnaście lat, nadal pożądała uwagi – jestem zaskoczona, że przez tak długi okres udało się im uniknąć więzienia. Helen aresztowano w Bakersfield za używanie kradzionej karty. Tylko tydzień w areszcie hrabstwa i puściliby ją, ale nie mogła się powstrzymać od przechwałek przed koleżanką z celi. W świetlicowym telewizorze na monety nadawano relację o trwającym śledztwie.

– Dom jest o wiele większy, niż wygląda na tych zdjęciach – tak według współwięźniarki powiedziała Helen.

Mogę ją sobie wyobrazić: nonszalancka, zadzierająca brodę. Zapewne początkowo współwięźniarka ją zignorowała, przewracając oczami na taką dziewczęcą fanfaronadę. Ale Helen mówiła dalej i nagle kobieta słuchała uważnie, kalkulując nagrodę, skrócony wyrok. Ponaglając dziewczynę, żeby powiedziała więcej, nie przestawała. Przypuszczalnie Helen pochlebilo zainteresowanie i zrelacjonowała wszystko. Może nawet przesadzając, oddzielając słowa strasznymi przerwami, jak przy recytowaniu opowieści o duchach w czasie noclegu u przyjaciółki. Wszyscy chcemy, żeby nas widziano.

Do końca grudnia aresztują całą grupę. Russella, Suzanne, Guya, pozostałych. Policja zrobiła nalot na biwak w Panamint Springs: podarte flanelowe śpiwory i niebieskie nylonowe płachty, martwe popioły ogniska. Russell rzucił się do ucieczki, jakby mógł przegonić cały oddział funkcjonariuszy. Reflektory wozów policyjnych żarzyły się w wybielonym różu poranka. Jakie to żałosne, ta nagłość ujęcia Russella, zmuszonego klęczeć w karłowatej trawie z rękoma na głowie. Skuty Guy, oszołomiony odkryciem, że są granice brawury, która tak daleko go zawiodła. Małe dzieci zaprowadzono do furgonetki opieki społecznej, owinięto w koce i wręczono im zimne kanapki z serem. Wydęte brzuszki, głowy rojące się od wszy. Władze nie wiedziały, kto co zrobił, jeszcze nie, tak więc Suzanne była po prostu jedną z kościstej plataniny dziewcząt. Dziewcząt, które pluły na ziemię jak wściekłe psy i wiotczały, kiedy policjanci próbowali założyć im kajdanki. Była jakaś oszaląca godność w ich oporze – żadna nie uciekała. Nawet na końcu dziewczęta okazały się silniejsze niż Russell.

W tamtym tygodniu w Carmel napadała drobniutka warstwa śniegu. Lekcje zostały odwołane, szron cicho trzaskał pod naszymi butami, kiedy maszerowałyśmy przez dziedziniec w naszych dżinsowych kurtkach. Wydawało się, że to ostatni poranek na ziemi, i spoglądałyśmy w szare niebo, jakby kolejne cuda miały się zdarzyć, chociaż śnieg stopniał i zmienił się w bagno w niecałą godzinę.

Byłam w połowie drogi do parkingu przy plaży, kiedy zobaczyłam tego mężczyznę. Idącego w moim kierunku. Oddalonego może o sto metrów. Ogolona

głowa odsłaniała agresywny kształt jego czaszki. Miał na sobie T-shirt, co było dziwne – na wietrze skóra mu poczerwieniała. Nie chciałam się czuć tak niespokojnie, jak się czułam. Bezradne wyliczenie faktów: byłam sama na plaży. Nadal daleko od parkingu. W okolicy nikogo prócz mnie i tego mężczyzny. Ponury zarys klifu, widoczne każde żłobienie, każdy puls porostu. Wiatr smagający włosami w moją twarz, zmieniającą się i bezbronną. Układający na nowo piasek w bruzdy. Szłam naprzeciw mężczyzny. Zmuszając się do zachowania tempa.

Odległość między nami wynosiła teraz pięćdziesiąt metrów. Ręce poprzecinaniane mięśniami. Brutalny fakt gołej czaszki. Zwolniłam kroku, ale to nie miało znaczenia – on nadal energicznie się do mnie zbliżał. Gdy szedł, głowa mu podskakiwała szalonym rytmicznym tikiem.

Kamień, pomyślałam rozgorączkowana. Podnieś kamień. Rozwali mi czaszkę, mój mózg wypłynie na piasek. Zaciśnię na moim gardle ręce, aż krtań się zapadnie.

Głupstwa, o których myślałam:

Sasha i jej słone dziecinne usta. Jak słońce zaglądało w korony drzew rosnących wzdłuż podjazdu z czasów mojego dzieciństwa. Czy Suzanne wiedziała, że o niej myślałam. Jak matka na koniec musiała błagać.

Mężczyzna był coraz bliżej. Dłonie miałam wiotkie i wilgotne. Proszę, pomyślałam. Proszę. Do kogo się zwracałam? Do mężczyzny? Do Boga? Do tego, kto takimi sprawami się zajmował.

A potem był tuż przede mną.

Och, pomyślałam. Och. Ponieważ był po prostu normalnym facetem, nieszkodliwym, kiwającym głową do wtóru białych słuchawek wetkniętych w uszy. Zwykły człowiek idący plażą, cieszący się muzyką, słabym słońcem przebijającym się przez mgłę. Mijając mnie, uśmiechnął się, a ja odpowiedziałam uśmiechem, tak jak się uśmiecha do każdego obcego, każdej nieznannej osoby.

